



De II 1

STOSUNEK

# WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY DO HUSYTÓW CZESKICH.

NAPISAŁ

*Julian Sutowicz.*

Nieodżałowanej pamięci Franciszek Palacki, opowiadając w swoich *Dziejach narodu czeskiego* losy husytyzmu, przytacza fakta, świadczące, jak daleko wychylały się wyobrażenia husyckie poza obręb kraju, w którym się urodziły. Tak np. synod w Salzburgu zebrany grozi surowemi karami księżom i kaznodziejom, którzyby się ważyli publicznie głosić naukę Wiklefa lub Husa; w Magdeburgu i Ratyzbonie spalono dwu księży, obwinionych o husytyzm; obwinienia takie często dawały się słyszeć w Prusiech, Brandenbурgu, w Niderlandach. Zachodził husytyzm i do krajów romańskich: we Francyi, jak świadczy Mansi, dał on początek pewnym sektom i wywołał rozruchy; a Jan z Segowii, członek i historyk soboru Bazylejskiego, twierdzi, że listy i manifesty heretyków czeskich rozchodziły się po Hiszpanii, gdzie z tego powodu wielu chwiać się zaczęło w wierze <sup>1)</sup>. Znacznie silniejszym być musiał i był rzeczywiście wpływ husytyzmu w krajach, bezpośrednio stykających się z Czechami, a związanych z nimi pokrewieństwem szczepowém i językowém, jako to w Polsce, oraz między Słowianami w Węgrzech i Austrii.

Nie wspomina wszakże znakomity dziejopis czeski, że husytyzm nigdzie, z wyjątkiem swojej kolebki, nie zakorzenił się ani głęboko, ani na długo, chociażby się należało tego spodziewać ze względu na jego pochodzenie. Był on owocem żywego zajęcia, z jakim roztrząsano wówczas w całej Europie wielką kwestyę reformy kościelnej i stosunku władzy duchownej do świeckiej. Mówili i pisali o tych rzeczach uczeni, dotykali ich kaznodzieje, obradowały nad nimi sobory, a wszystko daremnie, bo kwestya, o której rozprawiano, zamykała się w inną, do rozwiązania nierównie trudniejszą, mianowicie: jaki powinien zachodzić stosunek między powagą a wolnością w zakresie myśli ludzkiej? Od natury myślenia bowiem zawisł charakter działania tak jednostki, jak ogółu, a więc i charakter urzadzania społeczeństwa. W wieku XVI

<sup>1)</sup> Palacky, *Geschichte von Böhmen*, III Band, Prag 1845 — 1854.



podjął się rozstrzygnięcia téj trudnej kwestyi protestantyzm i zdaje się niektórym, że dokazał sztuki. Niestety, nie! Społeczeństwo średniowieczne było w taki sposób uorganizowane, że Kościół górował nad Państwem, arbitralność jednostki ustępowała przed uświęconą tradycją, wiedza korzyła się wobec wiary. Tę średniowieczną budowę protestantyzm przewrócił do góry nogami, nic więcéj. Ale do czego się posunął wiek XVI, na to wiek XV jeszcze się nie odważył: jeszcze nie śmiał, jak tamten, targnąć się na właściwą podwalinę ówczesnych stosunków społecznych, na pierwszeństwo powagi przed wolnością myślenia.

Husytyzm, co prawda, zatrzęsł tą podwaliną, ale usunąć jéj nie zdołał, i wszędzie pozagranicami Czech przeminął, niby meteor. Nawet we własnej ojczyźnie cofnął się poniekąd przed dziełem, które widocznie przechodziło jego siły. Światlejsi i roztrośniejsi jego wyznawcy, utrakwiści, zerwawszy ze skrajną partją *taborzan*, szukali z katolikami porozumienia, chcieli istnieć jako odrębna społeczność religijna, lecz za zgodą i pod opieką rzymskiego Kościoła. W takich warunkach musiałyby husytyzm i na własnej ziemi zmarnieć, jak gdzieindziej, gdyby już prawie przy swoim ukazaniu się nie był przybrał znaczenia ruchu narodowego, a po części i socyalnego. Obok czysto kosmopolitycznego nowatorstwa religijnego i kościelnego, widzimy w husytyzmie pierwszą silną opozycję języka i obyczaju czeskiego przeciw niemczyźnie, która zwłaszcza pod rządami Luksemburczyków bardzo się była w Czechach rozpanoszyła; widzimy nadto opozycją starostwianąską gminy demokratycznej przeciw feudalnej monarchii germańskiej. Tą narodową szatą, jakby pancerzem, odziany husytyzm zwycięzko wytrzymał pięć wojen krzyżowych, któremi go raz poraz usiłowano zgniebić, i dotrwał aż do pokrewnej sobie reformacji, w której się rozplynął, jak strumień w większej rzece. To téż z dumą rozprawiają o nim patryoci czescy, jako o chlubném świadectwie żywotności swojego narodu, i niezawodnie mają słusność. Ale i to także prawda, że tryumfy husyckie wielce były podobne do Pirrusowych. Im potężniej uwydatniał się w husytyzmie żywioł narodowy, tém bardziej się zacieśniał uniwersalny tego zjawiska charakter, tém coraz gorszy utrwał się w Europie sąd o husytyzmie, jako o miejscowej herezyi, o której mówiono jużto z pogardą, już ze wstrętem, tak iż pomiędzy Czechami a całym światem cywilizowanym zaczął powoli wznosić się niby jakiś mur chiński, niewidzialny, lecz dający się czuć. Jakoż w rzeczy samej czuli go Czesi, czuli tak żywo, że nawet upojenie świetnemi zwycięztwy nad tłumami nieprzyjaciół nie mogło im odjąć tego przykrego, gnębiącego uczucia samotności, na jaką skazani zostali, a która daleko pewniej zabiłaby husytm, niż najliczniejsza armia Krzyżowców. Oglądali się tedy za przyjaciółmi, którzyby ich wywiedli z zakłétego koła bannicy i udali się z prośbami do Władysława Jagiełły, gdyż z ówczesnego stanu rzeczy w Polsce wróżyli sobie, że tam właśnie znajdują, czego potrzebowali.

W husytyzmie wystąpiła narodowość czeska do walki z niemiecką, ależ i Polska już przeszło od wieku mocowała się z tym samym wrogiem, wcielonym w drapieżny zakon krzyżacki, który w swoim pochodzie na Wschód, ku ziemiom litewskim i ruskim, wcześniej zrozumiał, że droga tamtędy idzie przez Polskę. Więc opanujmy Polskę! zawyrokowali Krzyżacy. Bitwa grunwaldzka odebrała im na zawsze możliwość wykonania tego zamiaru; co większa, samym zakonem tak dalece zachwiała, że rycerstwo zachodnie nie miało odtąd ochoty zaciągać się pod jego chorągwie. Datki pieniężne, które przedtém obficie płynęły do jego szkatuły z całej Europy, zaczęły ustawać, powątpiewano bowiem o jego przyszości. Pomimo to nic się nie odmieniło w polityce tych pionierów niemieczyny względem Polski; toczyła się więc dalej walka, z ich strony zawsze zaczepna, a w jakim celu, widać to z faktu, że w trzynaście lat po klęsce grunwaldzkiej, zakon zawiera z cesarzem Zygmuntem przymierze, którego rezultatem miał być rozbiór Polski <sup>1)</sup>.

Jednakie tedy było stanowisko Polaków i Czechów w obec Niemców; jeżeli zaś wspólność interesu i obce sobie narody kojarzy, cóż dopiero narody, tak blisko z sobą spowinowacone? Jeszcze dziś Polak z łatwością rozumie Czecha, i odwrotnie; w wieku XV nie było prawie różnicy między czeszczyzną a mową polską. Nieraz też przypominano sobie nawzajem swoje powinowactwo. Oto co wyrzekł Władysław Warneńczyk do posłów Albrechta Habsburga, obranego królem czeskim przez jedno stronnictwo, podczas gdy drugie powoływało do korony małoletniego jeszcze Kazimierza Jagiellończyka: „Polacy i Czesi używają jednego języka i z jednego pochodzą szczepu, a z Niemcami nic wspólnego nie mają; nie byłoby też dla Czechów nic niewłaściwszego, ani szkodliwszego, jak nie rozumieć mowy swojego króla i w każdej okoliczności dla porozumienia się z nim używać tłómacza” <sup>2)</sup>. W kilkadziesiąt lat później, z okazji obrania królem czeskim syna tegoż Kazimierza, powiedziano, że stało się to na zaszczyt imienia słowiańskiego <sup>3)</sup>. Z tego stanowiska rozważana sprawa husytyzmu cieszyła się w Polsce wielką popularnością, tak iż ochotnicy polscy woleli darmo bić się po stronie Czechów, aniżeli w szeregach ich nieprzyjaciół za pieniądze.

Jako herezja, husytyzm wstrętny był duchowieństwu polskiemu i nie przypadł do smaku królowi, który w dojrzałym wieku nawróciłszy się z bałwochwalstwa, właśnie dla tego że *neofita*, wielce się troszczył o reputacyą dobrego katolika. Przykład dworu i gorliwość kleru sprawiły, że naród wytrwał w wierze swych ojców; zwłaszcza lud prosty ani na chwilę się nie zachwiał. Donosząc Wacławowi, patriarsze antyochańskiemu, o pobycie w Polsce znanego Hieronima z Pragi, Woj-

1) Grünhagen, *Geschichtsquellen der Hussitenkriege*, Breslau 1871 r. str. 30.

2) Aeneas Silvius, *Hist. Bohem.* cap. 55.

3) Długosz, wydanie lipskie, ks. XIII, str. 466 i 467.



ciech Jastrzębiec, biskup krakowski, tak pisze: „Ziemia nasza za suchą się okazuje do przyjęcia jego (Hieronima) zasiewu i wydania owocu, gdyż ograniczony lud ek niezdolny jest pojąć nauki takiego mędrca.” Ale na umartwienie biskupa, nie była ograniczoną szlachta: z pomiędzy niej wielu chwyciło się husytyzmu, bodaj jako broni przeciw duchowieństwu, z którym stan szlachecki zwodził właśnie zacięte spory o dziesięciny. W innym ustępie tegoż listu pisze Jastrzębiec, że Hieronim dwa razy odwiedził króla w Krakowie, w obecności królowej i licznie zgromadzonych panów, a choć krótko bawił, wywołał jednak zamieszanie w umysłach, jakiego jeszcze w dycyceji krakowskiej nie zapamiętano <sup>1)</sup>. Wolno sądzić, że i gdzieindziej działo się coś podobnego, kędy apostoł czeski przejeżdżał; przejechał zaś przez całą Polskę, był w Litwie i na Białej Rusi, gdzie Witold zasięgał podobno jego rady względem niezgody kościołów rzymskiego i greckiego. Było to w roku 1413. Późniejsze jego uwięzienie w Konstancji nie podobano się Polakom, jak równie uwięzienie jego przyjaciela Husa, za którym wspólnie z czeskiemi panami wstawiali się u soboru i polscy, jako to Boruta, Dunin, Balicki, a nawet posłowie królewscy na sobór, Janusz z Tuliszkowa i Zawisza Czarny <sup>2)</sup>. W dziejach tych czasów figurują jeszcze inni panowie polscy, którzy byli otwartymi wyznawcami nauki husyckiej, albo jej sprzyjali: Abraham ze Zbąszyna, Dobiesław Puchała, Spyttek Melsztyński. Na jej szeregienie się w Polsce narzekał papież Marcin V, w bulli pisaniej 8 września 1422, to jest w czasie, kiedy zwycięztwa broni czeskiej trwały husytyzmowi rokowały przyszłość, co naturalnie tém korzystniej musiało dlań usposabiać umysły w pobratymczym kraju, tém więcej musiało mu zwolenników jednać. Że w tym czasie husytyzm, jako nowatorstwo religijno-kościelne, miał wziętość w Polsce, świadczą niektóre późniejsze okoliczności. Za Kazimierza Jagiellończyka stracił on już był wszelki kredyt w Europie, i u nas nic prawie o nim nie słyhać; jednak wówczas to wystąpił Jan Ostroróg ze swoim projektem reform, w którym omal nie żądał narodowego kościoła, wyraźny wpływ wyobrażeń husyckich.

Do omówionych dopiero względów, które pochylały Czechów ku Polsce, jeszcze jeden dodać należy. Nie była to już Polska z czasów króla Ludwika, ani z owych kilku lat nieszczęsnych po jego śmierci, szczupła, bez obronnych granic, bo od jedyniej, jaką posiadała za Kazimierza Wielkiego, od Karpat odciął był ją monarcha ojczym przez zagrabienie Rusi Czerwoniej: bez znaczenia w stosunkach międzynarodowych, a co gorsza, dotknięta złym rządem i wewnętrznemi zawichrzeniami, w których marniały siły narodu, obudzone z letargu pracą dwu ostatnich Piastów. Przeciwnie, było to państwo rozległe, o niezłomnej sile odporniej, prawda, że zaczętnie względem sąsiadów nie występujące, nie dla braku środków, tylko skutkiem łagodnego charakteru na-

<sup>1)</sup> Palacky.

<sup>2)</sup> Tenże.

rodu, ale też w biernej, nieużytecznej światu egzystencji bynajmniej nie zasklepione, słowem, wielkie mocarstwo, którego żywotność i potęga tak jemu samemu, jak całej Europie dobrze była znana. Szczęśliwy ten zwrot w losach naszego narodu rozpoczął się w chwili wyniesienia na tron Władysława Jagiełły, był zaś wypływem warunku, pod jakim wyniesienie to nastąpiło, mianowicie ażeby wielone zostało do Polski ogromne państwo litewsko-ruskie, stworzone orężem dziada i ojca królewskiego. Ależ warunku tego nie dopełnił ani Jagiełło, ani jego najbliżsi następcy; dopiero za jego prawnuka, prawie po dwu wiekach sporów, zajęć gwałtownych, ba! nawet wojen, ziściła się unia obojga narodów. Jakże więc ówczesną wielkość Polski wywodzić z faktu, jeszcze nie dokonanego, tylko spodziewanego? Zapewne niedorzeczną byłaby taka dedukcja, gdyby ów fakt oznaczał tylko materialną aneksję. Było to coś większego i szczytniejszego. Unia, chociaż nie spełniona, ale że uroczyście zawarowana, stała się przez to tytułem prawnym, na mocy którego Polska podjęła się ucywilizowania rozległych krajów, aż do owego czasu całkiem obcych europejskiej kulturze.

Zdrowa ta i szlachetna praca, wskazując Polsce, że tak powiem, cel jęj istnienia w chrześcijańskiej rodzinie narodów, krzepiąc jęj ducha, ćwicząc i potęgując jęj własne siły, wlewała zarazem życie i moc w państwo litewsko-ruskie. Nie należy bowiem łudzić się zewnętrznym blaskiem tego państwa w epoce Gedymina i Olgerda. Wyrosłszy jedynie z podboju, na podobieństwo azyatyckich tworów politycznych, zaczęło ono, podobnie jak tamte, upadać, skoro okres podbijania się zamknął, bo i ono nie było organizmem, tylko, podobnie jak tamte, aglomeratem, w ogromnym cielsku nie było duszy. Duszę tę miała mu dać dopiero Polska przez zaszczerpienie europejskiej cywilizacji. Rozumiał to Witold i dla tego w ciągu swoich długich rządów na Litwie przestrzegał związku z Polską, jakkolwiek nie był szczerym jęj przyjacielem; tylko na schyłku życia zachciało mu się oddzielnej korony, ale czy jedynie skutkiem ambicji? czy nie wyobrażał sobie, że kraj, któremu od lat tylu z chwałą i pożytkiem panował pod zwierzchnictwem Polski, potrafiłby już o własnej dźwigać się mocy? I Litwinom szeptał instynkt zachowawczy, że powinni żyć w zespoleniu z chrześcijańskim Zachodem, a ponieważ do tego zespolenia wiodła ich Polska, więc pomimo wszelkie z nią kłótnie, nigdy się seryo nie przyłożyli do obalenia unii. Tego rodzaju próbom sprzyjali raczej Rusini, którzy moralnie i religijnie zasilani z Bizancjum, niechętni byli Polakom, jako łącznikiem. We wskazany to powyżęj sposób pojęta unia, nie zaś jako materialne tylko zjednoczenie dwóch państw, stała się źródłem potęgi Polski i podstawą jęj szaczonego stanowiska w Europie. Na tę okoliczność, do której wypadnie mi jeszcze wrócić przy końcu niniejszej rozprawy, kładę szczególny nacisk: z nią to bowiem przedewszystkiem należy się rachować przy ocenieniu stosunków dworu polskiego z Czechami.

Przystępuję teraz do określenia tych stosunków.

W ostatnich latach panowania w Czechach Wacława IV obustronne rozjątrzenie katolików i husytów doszło do tego stopnia, że lada chwila należało się spodziewać najgroźniejszych między nimi zatargów. Jeszcze ich wstrzymywało od tego całkiem neutralne zachowanie się monarchy; ale gdy król, zniewolony pogrózkami swojego brata, cesarza Zygmunta, wydał kilka rozporządzeń przeciw husytom, wnet nastąpiło starcie się obu religijnych obozów. Odniesione z tego wrażenie przyplacił Wacław śmiertelnym atakiem apopleksyi. Po jego śmierci, umarł 16 sierpnia 1419, wzmógł się nieład. Pospólstwo zaczęło burzyć w Pradze kościoły i klasztory, a przykład ten znalazł naśladowców i w innych stronach Królestwa; zgromadzenia ludowe, czyli tak zwane *tabory*, w których wodzili rej radykalniejsi wyznawcy husytyzmu, odbywały się jedno po drugim wśród ogromnego natłoku ludności wiejskiej i miejskiej. Następca Wacława, cesarz Zygmunt siedział podówczas w Budzie. Radzono mu, aby niezwłocznie udał się do Pragi i obecnością swoją przywrócić porządek; lecz on, zajęty sprawami tureckimi, oraz rolą rozjemcy między Polską a Zakonem Krzyżackim, poruczył rządu wdowiątłej królowej Zofii, swojej bratowej, dodając do jej boku radę, na czele której postawił najwyższego burgrafa królestwa, Czenka Wartenberga. Pierwszą czynnością tego rządu prowizorycznego było zwołanie stanów na sejm do Pragi, i tu spisane zostały postulata kraju, tak polityczne jak religijne. Te drugie obejmowały mniej więcej wszystko, co trochę później sformułowano pod nazwą *czterech artykułów Fraskich*, a były wyrazem żądań umiarkowanego stronnictwa husyckiego. Domagano się zaś w artykułach: 1. wolnego głoszenia słowa Bożego, 2. komunii pod dwiema postaciami, 3. odebrania duchowieństwu dóbr ziemskich, 4. karania wszystkich grzechów śmiertelnych, do których zaliczano także opłaty od chrzcin, ślubów, pogrzebów, fundacye mszalne i t. p. Dwuznaczna odpowiedź Zygmunta, że będzie rządzić tak, jak niegdyś jego sławny ojciec, nie mogła zadowolnić kraju; owszem następne jego oświadczenia dowodziły, że on, cesarz rzymski i obrońca Kościoła, nie myśli robić heretykom żadnych ustępstw. Skutkiem tego było jeszcze większe roznamiętnienie umysłów, tak iż w listopadzie przyszło w Pradze do krwawych rozruchów, które kilka dni trwały; wreszcie skończyły się zawieszeniem broni między załogą królewską a ludnością husycką aż do 23 kwietnia następnego roku. Nie przeszkadzało to jednak trwaniu zatargów gdzieindziej; szczególnie górnicy w *Kutnohorze*, wyznania katolickiego a Niemcy, dopuszczali się swoich okrucieństw na husytach. Wszystkie zaś kroki Zygmunta były tego rodzaju, że tylko pogorszyły stan rzeczy. W ostatnich dniach grudnia 1419 zwołał on stany czeskie do *Berna*, gdzie mu wprawdzie złożyli hołd i katolicy i husyci, oraz deputowani miasta Pragi; ale już wtedy można było przewidzieć bliską wojnę, gdyż Zygmunt usunął niebawem wszystkich burgrawów, przychylnych husytyzmowi, a urzędy ich poobsadzał katolikami, oraz rozkazał, aby unikano wszelkiej he-



rezy i nie ważono się nic przedsiębrać przeciw kościołowi katolickiemu. W obec tych rozporządzeń z nowym panem trzymała tylko ludność katolicka, będąca w znacznej mniejszości; husyci zaś albo zajęli stanowisko wyczekujące, jak *utrakwiści*, albo gotowali się do zbrojnego oporu, jak *taborzanie*, którzy pod wodzą Żyżki już wtedy opanowali byli Pilzno, a potem założyli sobie nowe miasto *Tabor*, które się stało ogniskiem ich ruchu. Z Berna pojechał Zygmunt do Wrocławia, gdzie bawił całe trzy miesiące, od 5 stycznia do kwietnia 1420 r., pośrednicząc między Krzyżakami a królem polskim i Witoldem. Głównie jednak zaprzętała cesarza sprawa husycka. Na jego żądanie wydał papież Marcin V bullę *Omnium plasmatoris domini*, powołującą świat chrześcijański do krzyżowej wyprawy na Czechy. Bullę tę ogłosił we Wrocławiu legat Stolicy Apostolskiej, Ferdynand, biskup lukski, 17 marca, w obecności duchowieństwa, książąt Rzeszy Niemieckiej i posłów cudzoziemskich; na kilka zaś dni przedtém, jakby dla pokazania, że to nie płonny tylko postrach, kazał Zygmunt roztarzać koźmi a potem spalić kupca praskiego Jana Krasę, który pozwoił sobie nieprzyzwoitych wyrażen o soborze Konstancyjskim i o Kościele <sup>1)</sup>.

Wiadomość o tych wypadkach przyspieszyła w Czechach wybuch powstania. Jan, były mnich zakonu Premonstratensów, kaznodzieja u Panny Maryi Śnieżnej na Nowém Mieście w Pradze, używający wielkiego wpływu, utworzył dla obrony wyznania husyckiego związek, do którego przystąpiło wkrótce wiele szlachty; z Pragi wyszedł ognisty manifest przeciw Kościołowi katolickiemu. Gdy ubiegł termin zawieszenia broni, o którym wyżej była mowa, wielu panów wypowiedziało posłuszeństwo Zygmunutowi; niektórzy zaś, z Czenkiem Wartembergiem na czele, już wtedy wyprawili do Władysława Jagiełły tajemne poselstwo z zapytaniem, czyby nie przyjął korony czeskiej <sup>2)</sup>.

Jagiełło znalazł się w kłopotliwém położeniu. Był on szczerym katolikiem i chciał, aby go za takiego uważano; dla tego nie życzył sobie panowania nad narodem, dotkniętym klątwą kościelną i zagrożonym krucyatą. Zresztą najprostsza roztropność nie pozwalała wówczas królowi przychylić się do żądania panów husyckich: powstanie było dopiero w zawiązku, więc nie mógł Jagiełło, biorąc w swoją opiekę sprawę niepewną, narażać się na wojnę z całym Chrześcijaństwem. Lecz z drugiej strony nastęrczała mu się sposobność zemsty na cesarzu Zygmuncie, który podczas owego zjazdu wrocławskiego do żywego obraził Jagiełłę i Witolda wydaniem sądu polubownego w ich za targach z zakonem krzyżackim: odsądził Witolda od połowy Żmudzi, a drugą połowę przyznał mu tylko tytułem dożywocia <sup>3)</sup>. Odpowiedział tedy król posłowi czeskiemu, Wernerowi z Rankowa, którego przyjmował w Kowalu na Kujawach, że w sprawie ofiarowanego so-

1) Palacky. 2) Długosz XI 428.

3) Dogiel, *Codez diplom. regni Polon.* tom IV.

bie tronu musi zasięgnąć zdania panów koronnych. Tak też uczynił, a na radzie odbytej w Łęczycy w dzień ś. Jakóba 1420 r., uchwalono ażeby król nie przyjmował korony z rąk heretyków; jednakże gdyby zjechało nowe poselstwo, aby nie odmawiał stanowczo, lecz owszem żywił nadzieję Czechów <sup>1)</sup>. Oczywiście chciano zawiesić groźbę nad głową Zygmunta, aby go tym sposobem odstraszyć od popierania Krzyżaków.

Tymczasem zaraz po zjeździe wrocławskim rozpoczęła się wojna. W oczekiwaniu krzyżowców, zajął Zygmunt kilka miast w sąsiedztwie Pragi i chciał odciąć zastępy Żyżki, które śpieszyły na obronę stolicy. To mu się nie udało: w końcu maja taborzanie weszli ze swym sławnym wodzem do Pragi. W miesiąc potem nadciągnęło wojsko krzyżowe, złożone przeważnie z Niemców, w liczbie 100,000 ludzi, i obległo Pragę. Obleżenie trwało cały miesiąc i z powodów nie dość dobrze znanych skończyło się haniebnym rozbitciem olbrzymiego przedsięwzięcia; krzyżowcy cofnęli się od miasta 30 lipca, zwalając winę niepowodzenia na Zygmunta, który niby paktował z kacerzami. Układy między nim a Prażanami rzeczywiście się toczyły za pośrednictwem pewnych panów, którzy zawsze jeszcze się spodziewali, że Zygmunt przystanie na cztery artykuły Praskie, podówczas właśnie ułożone. Ale układy te spetzły na niczém, gdyż dopóki trwało obleżenie, Zygmunt stawiał wielkie trudności, a po odniesioném zwycięztwie już husyci, nie ufając cesarzowi, nie chcieli z nim się wdawać w rokowania. Gdy nie powiodła się wyprawa, po której Zygmunt spodziewał się przywrócenia w Czechach katolicyzmu, chciał on przynajmniej w oczach świata uświęcić swoje prawo do tronu czeskiego, i nakrótka przed odejściem krzyżowców, 28 lipca kazał się ukoronować na króla w kościele ś. Wita. Ani wątpić że ten akt, jakkolwiek dopełniony śród niezwykłych okoliczności, był zupełnie prawny i ważny w opinii katolików. Ale i nieprzyjaciele Zygmunta, chociaż dowodzili, że koronacja odbyła się nieprawnie, w duchu jednak musieli jój przypisywać więcej wagi, aniżeli utrzymywali; po szesnastu latach, gdy Czesi, pogodziwszy się z Zygmuntem, uznali go swoim panem, nie ponowił on koronacy i nikt nie żądał jój ponowienia: oczywiście dawniejszy akt uchodził za ważny. Otóż aby może odjąć ukoronowaniu Zygmunta cechę prawowitości, zaczęli Czesi powtórnie krzątać się około obsadzenia swojego tronu innym królem, i odnowili kwietniowe negocyacye z Jagiełłą. Ale pobudzała ich do tego jeszcze następująca, wielkiej wagi, okoliczność. Husyci, jak wiadomo, dzielili się na dwa stronnictwa: umiarkowane, tak zwanych *utraktwistów*, i radykalne, w którym *laborzanie*, główną rolę odegrywali. Tamci, a należała do ich obozu Praga, oraz wiele innych miast i prawie cała szlachta husycka, w materji religijnj nie przekraczali granic czterech artykułów praskich i na ich podstawie gotowi byli pojednać się z rzymskim Kościołem,

<sup>1)</sup> Długosz, XI, 430.



pod względem politycznym zaś byli zawsze zwolennikami rządu monarchicznego. Przeciwnie, taborzanie odrzucali wszystkie sakramenta, z wyjątkiem chrztu i eucharystyi, wszelkie obrzędy kościelne, posty, msze zaduszne, modlitwy do świętych, relikwie; jako jedyną powagę w rzeczach religijnych, uznawali Pismo Święte, lecz i to wolno było każdemu tłómaczyć wedle swego upodobania; co się tyczy przekonań politycznych, skłaniali się do form republikańskich. Nieporozumienia między obydwojma stronnictwami zachodziły już przed oblężeniem, jak równie po oblężeniu Pragi, gdy taborzanie nader gorliwie wzięli się byli do reformowania zbyt wykwintnych, jak sądzili, obyczajów Prażan, obcinali mężczyznom wasy i loczki, zapuszczane kształtem żydowskich pejsaków, kobietom zdzierali z głów zastony, a jeszcze gorliwiej burzyli klasztory i kościoły, żywcem palili mnichów i niszczyli obrazy święte, oraz pamiątki sztuki religijnej. Wandalizm i skrajne wyobrażenia tych radykalnych wyznawców husytyzmu nie pomiały zastraszać Prażan i umiarkowanych utrakwistów, którzy o ile w nich widzieli dzielnych wojowników, zdolnych odeprzeć nieprzyjaciela, o tyle bali się ich przewagi i połączonej z tém anarchii. Powodowani temi względami, mieszkańcy Pragi, wspólnie z możniejszymi panami, wyprawili w sierpniu 1420, drugie poselstwo dla Polski, już nie tajemne lecz jawne i uroczyste. Taborzanie woleli całkiem obejść się bez króla, jednakże nie opierali się gwałtownie życzeniu utrakwistów, zapewne przez wzgląd na swego wodza Żyżkę, który był przyjacielem Polaków, bił się razem z nimi pod Grunwaldem i zwykle po polsku się ubierał. Eneasz Sylwiusz i Długosz utrzymują, że i Żyżka sprzeciwiał się wysłaniu tego poselstwa. Jeżeli tak było, a trzeba wiedzieć, że nasz Długosz nie fałszuje dziejów rozmyślnie, to musiał Żyżka odmienić zdanie, bo przyłożył swoją pieczęć do wierzytelnych listów, posłom wręczonych <sup>1)</sup>.

Pobył wysłańców husyckich w Polsce nie był dla nich arcy miłym: gdziekolwiek się ukazali, ustawała służba Boża, ponieważ obecność ich, jako zostających pod klątwą Kościoła, wszędzie pociągała za sobą rzucenie interdyktu. Króla zastali w Wolborzu, w województwie Sieradzkiem, i tam na przemowę, w której ofiarowali Jagielle tron czeski w imieniu całego kraju, pod jedynym warunkiem uznania artykułów praskich, otrzymali odpowiedź zupełnie podobną do téj, jaką w Kowalu dostał był Werner z Rankowa. Zgodnie z przyjętą w Łęczycy zasadą utrzymywania Czechów w nadziei, a Zygmunta w obawie, król odrzekł, że odczuwa krzywdy zadane Czechom przez cesarza, tak jak gdyby jemu samemu były wyrządzone, jednakże nie postanowić nie może, nie poradziwszy się wprzód Witolda. W skutek tego, dwu posłów udało się zaraz na Litwę, dla pozyskania wielkiego księcia; resztę poselstwa odesłał król do Niepołomic, a to, jak Długosz mówi, aby nie obciążać miejscowości ludniejszych interdyktem, który wszędzie towa-

<sup>1)</sup> Palacky.

rzyszył heretykom <sup>1)</sup>. Dogadzało to także poselstwu: na Niepołomicach szedł wówczas główny trakt z Krakowa ku południowym granicom państwa; więc siedząc tam, łatwo mogli Czesi porozumiewać się ze swym krajem. Gdy król czekał na wiadomości z Litwy, doszedł go list papieżki z upomnieniem, aby się nie wdawał z heretykami <sup>2)</sup>. Wiadomo, jak czułym był Jagiełło na tego rodzaju przestrogi. Naturalna więc, że zapragnął oczyścić z podejrzeń swą prawowierność; ale i żał było uronić korzyści, jakich się spodziewano dla Polski po owym systemie straszenia Zygmunta husytami. Łaskawość, okazana przez Witolda dwu wyprawionym do niego posłom czeskim, podała sposób zadośćuczynienia jednemu i drugiemu życzeniu królewskiemu. Oto widzimy, że Jagiełło umywa ręce od sprawy, a przynajmniej na drugi plan się usuwa; na pierwszym zaczyna Witold figurować. Tu, mojem zdaniem, należy szukać komentarza do odpowiedzi królewskiej, udzielonej Czechom w Niepołomicach dnia 12 listopada. Oświadczone im, że Jagiełło przestaje na swoim królestwie polskim, czeskiego zaś wraz z artykułami potępionemi przez Kościół, w żaden sposób przyjąć nie może <sup>3)</sup>. Wnet zobaczymy, że i po tej, tak niby stanowczej odprawie, jeszcze nie zaniechali Czesi ponowienia swych prośb. Zaprawdę, nie byłoby sobie zadali tej fatygi, gdyby nie tuszyli, że orędownictwo łaskawego dla nich Witolda potrafi usunąć religijne skrupuły króla. Dwór polski zaś nie uważał jeszcze za potrzebne wyprowadzać ich z błędu.

Bezskuteczna wyprawa krzyżowa nie odstraszyła Zygmunta od dalszych kroków wojennych, zwłaszcza, że zamek praski i Wyszehrad były jeszcze w ręku załogi królewskiej. Ale bitwa pod Wyszehradem, stoczona dnia 1 listopada 1420 r., nietylko uwolniła Prażan od wszelkiego niebezpieczeństwa, lecz i postawiła stolicę na czele ruchu, gdyż taborzanie ucierali się podówczas w południowej części kraju ze stronnikami Zygmunta, a drobne te bitwy nie pozwalały im uchwycić kierownictwa sprawy husyckiej. Chociaż i w Pradze mieli oni swoich zwolenników, to jednak górował tam żywioł umiarkowany tak dalece, że nawet wpływowi przywódcy taborzan, jak wspomniany ów Jan kaznodzieja, uważali za stosowne utrzymywać przynajmniej równowagę między stronnictwami. Umiarkowani, którym chodziło równie o wolność wyznania, jak o stały rząd monarchiczny, wystosowawszy do kraju odezwę, odsądzającą Zygmunta od tronu, jako nieprzyjaciela husytyzmu i zawziętego wroga narodowości czeskiej; wkrótce potem wyprawili nowe poselstwo do Jagiełły, już po raz trzeci ofiarując mu koronę. Jeden z przywódców taborzan, Mikołaj Hus, bardzo się temu opierał; zmuszono go do milczenia okazaniem pieczęci, którą Żyżka przyłożył był do wierzytelnych listów poprzedniego poselstwa. Różne okoliczności w których utrakwiści dali uczuć swoje przewagę, tak rozdrażniły Husa,

<sup>1)</sup> Długosz, XI, 432—433.

<sup>2)</sup> Daniłowicz: *Skarbiec dyplom.*, tom II, str. 69.

<sup>3)</sup> Długosz, XI, 435.

że się wydalili z miasta, a rychło potem umarł ze złamania nogi. Śmierć jego zapewniła Żyżce przewodnictwo w obozie taborzan, Żyżka zaś sprzyjał podówczas Prażanom. W połączeniu z nimi, zmusił on w marcu 1421 r. Zygmunta do opuszczenia Czech, poczem mnóstwo miast poddało się wojsku husyckiemu, bądź dobrowolnie, bądź przemocą. Zapewniwszy sobie w ten sposób stanowczą przewagę w Czechach, wtargnęli husyci do Moraw, gdzie nanowo rozbudzili przytłumiony dawniej ruch religijny. Panowie morawscy przybyli do obozu czeskiego, i wspólnie uradzili zwołać na 1 czerwca stany czeskie i morawskie do Czesławy, dla zaprowadzenia w kraju ładu i rządu. Daremnie oświadczył Zygmunt, że przystaje na cztery artykuły praskie aż do czasu dysputy publicznej, która miała o ich losie postanowić. Po odniesionych zwycięztwach, a zwłaszcza po przejściu na husytyzm nawet arcybiskupa praskiego Konrada, oświadczenia tego nikt nie uważał za łaskę, ani za ustępstwo. Więc też sejm czesławski, ustanowiwszy rząd tymczasowy z dwudziestu osób, odsadził Zygmunta od korony i zobowiązał się nie uznawać go królem, chyba by inaczej Bóg zrządził, albo gdyby się inaczej stało za wolą miasta Pragi, panów czeskich, taborzan, rycerstwa, szlachty, miast i innych gmin czeskich, trzymających się wiernie wyznania husyckiego. Zastrzeżenie to uczynił sejm przez wzgląd na Morawian, którzy nie chcieli podpisać jego uchwał, nie wypowiedziawszy wprzód posłuszeństwa Zygmunutowi. Zato przeciwnicy Zygmunta ze swjej strony oświadczyli, że zastrzeżenie powyższe bynajmniej nie tamuje rozpoczętych rokowań z Polską i Litwą<sup>1)</sup>. Właściwie z Litwą, bo już zbliżała się chwila, w której Czesi mieli się przekonać, że król polski nie spełni ich życzeń.

Trzecie poselstwo husyckie zjechało jeszcze w miesiącu lutym do Wilna, gdyż tam bawił podówczas król. Powtórzoną została odpowiedź niepołomicka, jednakże i tym razem z pozostawieniem Czechom jakiegś nadziei. Wracając bowiem w marcu do Polski, Jagiełło zabrał z sobą posłów, następnie odesłał ich do Niepołomic, a ztamtąd w drugiej połowie sierpnia zaprosił na zjazd rady koronnej do Lublina. Tu dopiero usłyszeli *dictum acerbum*. Jagiełło wezwał naród czeski do pojednania się z Kościołem katolickim, oświadczając, że zamierza wyprawić poselstwo do cesarza Zygmunta, przez które będzie się starał skutecznie to pojednanie w sposób dla królestwa czeskiego zaszczytny, i dodał, że skoro Czesi wrócą do katolicyzmu, wtedy Zygmunt, któremu zaciężko byłoby trzy korony dźwigać: cesarską, czeską i węgierską, zrzecze się niezawodnie korony czeskiej i zezwoli na elekcyą nowego pana<sup>2)</sup>. Nie ulega wątpliwości, że Czesi tak dalece nienawidzili wówczas Zygmunta, że nawet wyparłszy się odszczepieństwa, woleliby na swym tronie widzieć Jagiełłę niż jego; z drugiej strony pokazuje się, że i Jagiełło chętnieby im królował — nawróconym. Z tem wszystkiem,

1) Palacky.

2) Długosz, XI, 439.



czyniąc wzmiankę o abdykacji monarchy, dobrze znanego z chciwości władzy, a przynajmniej tytułów, i to jeszcze o abdykacji dobrowolnej, widocznie ośladzał tylko Czechom gorycz odprawy. Łudzić ich nie chciał, a i oni nie mieli się czém łudzić, bo sytuacja już się wyjaśniła. Czesi oddawali się pod jego rządy jedynie dla obrony husytyzmu; on zaś kacerstwem czeskiem brzydził się, i nareszcie, wyraźnie dał to do zrozumienia. Naciskany przez własne duchowieństwo, szczególnie przez sekretarza swego Zbigniewa Oleśnickiego, podówczas proboszcza u Ś-go Floryana w Krakowie, napominany od papieża, ostrzegany wreszcie przez elektorów Rzeszy Niemieckiej, byłby rad wcześniej zaświadczył swą prawowierność, gdyby nie owe związki Zygmunta z Krzyżakami, które jakimkolwiek sposobem należało paraliżować. Otóż zdawało się królowi, że już nie trzeba będzie, przynajmniej własnoręcznie, postąpić w tym celu husyckim straszdyłem. Cesarz Zygmunt, licznymi porażkami w Czechach dotknięty, a nie bardzo wierząc w skuteczność nowej krucjaty, którą w Niemczech przygotowywał legat papieżki kardynał Branda, postanowił raczej zjednać sobie Jagiełłę, i w tej myśli kilkakrotnie proponował mu osobisty zjazd gdzieś na granicy. Jagiełło nie był przeciwny układom z Zygmuntem, byle tenże dał się odciągnąć od popierania Krzyżaków. W połowie września pojechali do Węgier, do Tyrnawy, gdzie podówczas Zygmunt przebywał, Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, i Zbigniew Oleśnicki, z ofiarowaniem w imieniu Jagiełły pomocy do nawrócenia Czechów i odzyskania tronu, a zato żądali, aby Zygmunt pomógł Jagielle wypędzić z nad Bałtyku Krzyżaków, poczem Pomorze i ziemie Chełmińska i Michałowska miały wrócić do Polski, Prusami zaś podzieliłyby się król z cesarzem. O rugowaniu Krzyżaków Zygmunt ani myślał, jeszcze ostrzegł wielkiego mistrza o zamiarze królewskim; natomiast zaproponował Jagielle, który trzeci raz był wdowcem, a nie miał jeszcze potomka płci męskiej, związek małżeński, najprzód z córką swoją, dwunastoletnią Elżbietą, a gdy się to nie zdało dla nieestosownego wieku cesarzówny, z Zofią, wdową po królu Wacławie, i obiecywał w posagu Szlązk<sup>1)</sup>; król i rada koronna przychylali się do małżeństwa z Zofią, za którym miało pójść odzyskanie pięknej prowincyi. Zaraz też rozpoczęły się swadziebne układy, lecz spełzły na niczém, ponieważ Witold wszelkimi siłami starał się przeszkodzić związkowi Jagiełły z Zygmuntem. Gdy ostatni pełnomocnik królewski do tych układów, Zawisza Czarny z Garbowa, towarzysząc cesarzowi na wojnę przeciw husytom, wziął udział w nieśczęśliwej dla niego bitwie pod Niemieckim Brodem i dostał się do niewoli, pisze Długosz, że Witold niezmiernie się cieszył i z przegranej Zygmunta i z ujęcia Zawiszy<sup>2)</sup>. On też sprawił, że Jagiełło pojął za żonę Zofią, księżniczkę kijowską.

1) Długosz, XI, 439—442.

2) Tenże, XI, 446.

Na przymierzu z cesarzem Zygmuntem, który, jak wiadomo, nie odznaczał się sumiennością, Jagiełło niezawodnieby źle wyszedł. Ale nie z troskliwości o dobro swojego zwierzchnika, a tém mniej Polski, sprzeciwił się Witold temu przymierzowi. Cenił on korzyści, jakie spływały na Litwę z pobratania się jej z Polską, i dlatego związku z Koroną nie zrywał; lecz na wcielenie do niej poruczonego sobie państwa bynajmniej się nie zgadzał. Był to przecież kardynalny warunek elekcyi Jagiełłowej, o którego spełnienie Polska mogłaby się była skutecznie upomnieć, gdyby od Zachodu sąsiedzi nie nabawiali jej bezustannych a nader ciężkich kłopotów. Zawsze naprężone w tamtęj stronie stosunki były tedy Witoldowi na rękę, i owszem, sam dolewał nieraz oliwy do ognia: np. gdy brał w opiekę przeciw Polsce nawet jej i Litwy wspólnego nieprzyjaciela — zakon krzyżacki. O ileż pożądanszą była dlań sytuacja, któraby go nazawsze uwolniła od wszelkich obaw o udzielność litewską! Otóż upatrzył ją sobie w obrocie, jaki król polski dał swym stosunkom z husytami czeskimi. Widzieliśmy, że odtrącił ofiarowaną sobie koronę; lecz nie zabraniał Czechom kusić nią Witolda, a gdy temu pokusa zasmakowała, Jagiełło, na którego dworze Witold miał swoich agentów i orędowników, może mu jeszcze wdzięcznym był, że na siebie wziąć raczył tak ślizką sprawę. Już podczas owych wileńskich rokowań trzeciego poselstwa czeskiego z królem w m. lutym, pytany Witold od postów, czyby się nie podjął panowania w ich kraju, odpowiedział przyzwalająco, wprawdzie z zastrzeżeniem, ale nader ogólnikowém, ażeby Czesi nic nie przedsiębrali przeciw wierze świętej <sup>1)</sup>.

Nikt zapewne nie posądzi Witolda o skłonność do husytyzmu, nie unosiła go też nigdy żądza czczych tytułów. Jakiż więc pożytek mógł sobie obiecywać z zawładnięcia krajem dalekim, który przytém należało jeszcze z bronią w rękę zdobyć na nieprzyjacielu domowym i obcym? Oto ten: będąc panem Litwy i Czech, nie tylkoby wybił z głowy Polakom wszelkie względem ziem litewsko-ruskich aneksyjne zamiary, ale raczej o aneksyi Polski mógłby pomyśleć. Zaraz po odprawie, danej poselstwu ze strony króla na zjeździe lubelskim, nieprzyjaciele Zygmunta, zgromadziwszy się w Kutnohorze w miesiącu wrześniu, uradzili wysłać do Witolda, jako do swego przyszłego władcy, uroczystą deputacyę, złożoną z panów Wilhelma Kostki, Hłasa Kamienieckiego, Wacława Jenzštejna i Wańka Pawlikowca. Gdy w drogę ruszywszy, deputowani stanęli w Raciborzu, panujący tam książę Janusz kazał ich uwięzić. Postępek ten Raciborczyka wielkie oburzenie wywołał, nie tylko w Czechach, ale i w Polsce. Witold listownie upomniał Janusza, aby uwolnił schwytych; Jagiełło wyprawił doń dwu postów, zapewne w tej samej sprawie <sup>2)</sup>. Ciekawe są listy Zygmunta Korybuta, synowca królewskiego i Abrahama Czarnego, żupnika wielickiego, pisane do te-

1) Długosz, XI, 437.

2) Grünhagen 12.

goż Janusza. Korybut wzywa go, aby niezwłocznie więźniów wypuścić, jeżeli nie chce swojej zguby, gdyż Jagiełło i Witold nie myślą Czechów opuszczać; owszem mają stałe postanowienie bronić ich, jako swoich poddanych; list zaś Abrahama, jeden z najwymowniejszych dowodów, jak popularnym był w Polsce husytyzm, zapowiada Januszowi niechybną wojnę, jeżeli dłużej trzymać będzie deputowanych w więzieniu <sup>1)</sup>. Usposobienie umysłów w Polsce było rzeczywiście tak groźne, że cesarz rozkazał Wrocławianom, aby gotowi byli wesprzeć Janusza, gdyby Polacy i Litwini dobyli uń oręża <sup>2)</sup>. Pomimo to Janusz nie wypuścił uwięzionych na wolność, lecz wydał ich cesarzowi; ten zaś osadził deputowanych w Trenczynie, a orszak ich ściąć kazał. Jakoż nie miał się czego Raciborczyk obawiać, zamiast grozić mu wojną, Jagiełło wybrał się do Wrocławia na osobiste układy z Zygmuntem, który pisząc z tego powodu do burmistrza i radców wrocławskich, żądał aby urządzili dom na przyjęcie dostojnego gościa <sup>3)</sup>. Wolno zatem wnosić, że król polski tylko pod naciskiem powszechnego oburzenia uczynił krok jakiś w celu uwolnienia czterech panów czeskich. Inaczej Witold: ten bardzo gorąco wziął sprawę do serca i w końcu października wzywał Czechów, aby dla uwolnienia więźniów i ukarania zdradzieckiego czynu Janusza ruszyli z jednem wojskiem, obiecując wyprawić drugie pod dowództwem Korybuta. Ale Czesi domowemi wówczas szarpali się rozterkami, do których, mówiąc nawiasem, regularnie wracali po każdym pobiciu zagranicznego nieprzyjaciela. Było to właśnie po ucieczce drugiego wojska krzyżowego, które licznie wkroczywszy do Czech około św. Bartłomieja, obległo miasto Zatec, lecz na wiadomość o zbliżeniu się Żyżki, w miesiącu października w największym niefortunnie pierzchnęło do Niemiec. Otóż w Pradze odnowiły się dawne nieporozumienia między utrakwistami a taborzanami. Ustały wprawdzie, gdy cesarz z wojskiem węgierskiem ponownie wpadł do kraju; atoli jeszcze gwałtowniej wybuchły, skoro Czesi zadali Węgrom srogą klęskę w styczniu 1422 r. pod Niemieckim Brodem <sup>4)</sup>.

*(Dokończenie nastąpi).*

---

1) Grönhagen, 10, 13,

2) Tenże 14.

3) Tenże 16.

4) Palacky.



# CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOTIE \*).

PRZEZ

Wojciecha hr. *Dzieduszyckiego.*

III.

I n d y e.

Gdy się Bóg Izraela zjawił Mojżeszowi w płonącym krzewie, rzekł mu: „Jam jest, który jest.” I te słowa stały się imieniem Jego, przenaświętszą formułą, którą niewolnik Jego nieśmiało wymówił na nieświętym miejscu; gdy z pochyloną głową i przytłumionym głosem nazywał Pana swego, wołając: „Jehowa,” czy Jahwe, jak chcą dziś orientaliści, uznawał własną nicość i to, że byt stworzenia, nie bytem na prawdę, jeno nicością w obliczu Bożem.

Inaczej było u wschodnich synów Jafeta.

Nad Gangesem natura już zbyt potężną matką dla człowieka. Gdy się wichur zerwie, pochwyci w wir powietrzny miasto całe jakby żdźbło słomy. Gdy ulewa lunie, z kraju ludnego za godzin kilka uczyni morze pełne olbrzymich jaszczurek. Gdy posucha zawładnie pęka ziemia i ludzie mrą jak muchy. Wyobraźnia ludzka słabnie i opada wobec widowisk przyrody; las tak bujny, że go człowiek nierozpozna; liście różnych drzew ściśnięte, zmieszane, nierozróżnione jak najbujniejszy wzór wschodni. Gdy widzisz purpurę i błękit, nie wiesz czy to kwiat, czy ptak pstropióry, czy jakiś owoc o łudzącej woni, słodki, śmierciodajny. Nieprzejrzanym jest mur indyjskiej zieleni, a morze tam niema dwu brzegów jak morze Śródziemne. Bujają po niem wieloryby co przybyły pod równik wprost od lodowatego bieguna, a fala co bije o brzeg wznosząc spieniony szczyt wysoko ku niebu, wyszła gdzieś z nieskończonej dali, z otchłannej przestrzeni. Góry co stanęły wałem nad Indyami tak wielkie, że oko ich zmierzyć nieśmię, niemoże, wydały ci się ogromnemi z dołu i idąc po ich barkach wyszedłeś tam, gdzie ci się zdawało, że już szczyt—a widzisz przed sobą zawsze jednokie góry w odzieży lasów, w śnieżnym majestacie. Szczytu nie dojdiesz, szczytu nie dojrzysz, nie zmierzysz opoki. Drzewa rosną większe od grodu ludzkiego, gałęzie ich powyżej szczytu wież rozpostarte

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za maj r. b.

zamieniają się w konary, w pnie, w korzenie; nie wiesz czyś w las wszedł czy pod jednem drzewem stoisz; nie dojdiesz liku, nie dojdiesz ładu, i słyszysz jak po ogromnym dachu gałęzi łążą śmiejąc się małe narody, jak papugi jaskrawe wydrzeźniają się z ludzkiej mowy, jak gady syczą. Jesteś w cieniu pod drzewem-lasem, a w głębi widzisz kraj, co płonie w słońcu ognistém, a u widnokregu w majestacie obłoków Himalaję, i czujesz się małym i słabym, i wiesz że lada chwila może się gad z zinném ciałem wkraść pod szaty i ukąsić cię tak, że umrzesz marnie; tygrys wielki wyjść z gąszczy bijąc o boki ogonem i skoczyć na ciebie i pożreć ciebie jak najnędrniejsze stworzenie, jak zwierzyne, co trawę skubie w borze; stół może nadejść dziki, czarny, ogromny, opleść cię trąbą, podnieść do góry wysoko, wstrząsnąć tobą przez chwilę nad głową, potem cisnąć o ziemię i ciężką, dużą czarną stopą roztratować na miazgę. Niemocnym jesteś, czujesz to! Podobnym jesteś do owadu, co siadł na drżącym listku kwiatu polnego. A wtedy Bramin indyjski, jeśli do ciebie pouczająco przemówić raczy, barbarzyńcze północny! powie ci: „Nie lękaj się, bo tém wszystkiém ty jesteś.” Temi słowy przemówił Brahma stwórciel, gdy do mędrców pierwotnych do siedmiu Maharydźych ozwał się głosem mądrości, gdy im oddał Wedy czworakie, księgi najlepsze. Wtedy dane było dawnym ludziom doskonałym najświętsze słowo: *Tat twam azy*, tém jesteś ty!

Pomyśl, a pomyśl z całego serca; pomyśl najwpierw o drugim człowieku i powiedz czy niewiesz na pewne, że jeśli jest czém inném jak snem tylko, to istotą jego to samo co istotą twoją: coś co czuje i myśli? Może mieć bystrzejsze lub łepsze uczucie, trafniejsze lub błędniejsze myśli, ale myśli i uczuć podstawa, sama istota bytu, to co o sobie mówi: ja! jest to samo co u ciebie. I gdy w skali tworów wzniesiesz się lub zniżysz, gdy pomyślisz o duchach ojców sprawiedliwych, co blade, mieszkają na białej księżycy twarzy, o Rakszasach, ludożercach obrzydłych o ludzkiej postaci a kłach stonia, o przemiennych synach obłoków skrzydlatych, wielokształtnych jasných Gandarwach, co zaludniły powietrze, o bogach co na górze Meru przez krocie lat szczęśliwe wiodą życie, o Maharydźych, mędrcach wyższych od bogów i nawet o władzcach wszechświata, o trzech osobach Najwyższej Istoty; albo gdy zwracając myśl w przeciwną stronę przebiegniesz zwierząt tłum wielokształtny, zawsze spytany o odpowiedź sumienną, daną z całego serca, rzekniesz: albo to złudy tylko i marzenia nieistotne senne, albo istotą ich to samo co u mnie mówi: ja! Być może że myśli bogów tak promienne w porównaniu moich, jak słońce ogniste co świeci nad nami gdy je porównasz do odbłyску gwiazdy na wodzie strumyka; pewno myśli zwierza, bledsze stokrotnie, tysiąckrotnie od moich, a myśl i uczucie u drzewa co stanęło w uroczystym pokoju, tak ciche i niewyraźne jak senne marzenia dziecka w powiciu, co ledwo przed chwilą ujrzało pierwszy odblask dzienny. Ale to pewna, że wiesz, że istotą wszystkiego to samo, co w tobie mówi: „jestem,” co w tobie mówi: „ja!” Istotą wszystkiego ty jesteś, a wszystko jest tobą.

I niech cię nie łudzą, i niech ci nie kłamią myśli, uczucia, ciała, co ciebie odgraniczyły, co ciebie od świata różnią. Wszak pomyśl znowu, pomyśl z serca całego! Pomyśl, żeby ciebie nie było. Może istnieć ciało twoje; może w niem płonąć namiętność, może różnemi obrazami walczyć myśl różna; ale w tém ciebie, ale wśród tych namiętności i myśli nie masz ciebie. Namiętności nikt nie uczuł, myśli nie pomyślał nikt; i czyż one były? Wszak nie; wszak same niczém, a są tylko przez ciebie, i to nie istotą twoją jeno marzeniem twojém. A gdyby nie było żadnej duszy co widzi i poznaje, żadnej siły wewnętrznej co chce; czémby było ciało twoje? Czémby był cały ów świat zewnętrzny, barwny, groźny, cudny? Wyjmże ze świata twoją istotę, owę istotę co jest siłą i myślą, co sama jedna na świecie poznaje, sama widzi, czuje, kocha, nienawidzi, a czyż będą dalej jaśnieć słońca bez treści, świecić dnie bez widza, poruszać się ciała niewidziane, niepoznane, niedotknięte, nieuczute? Wszak wszystko co nie jest tobą, co nie jest duszą twoją, jest ułudą i niczém, czy to myśl, czy to uczucie, czy ciało. Ułuda przeto i nic tylko zdaje się dzielić twoją istotę na części mnogie. Ty jesteś tylko i to, co jest, tyle jest, ile jest tobą.

Pomiń myślą świat i kształt wszelki widomy, uczuty, poznany; pomyśl o najwyższej, nieskończonej istocie której imię Paramatma, to jest Praduch. Wszak wiesz, że jeśli jest ta istota okiem niezmierną, czém inném jak myślą tylko i niczém, jest tobą i... wszystkiém. Więc nie lękaj się i nie pożądaj niczego, boś ty wszystko i wszechrzeczy Bóg wszechmocny i twórca.

Na początku nic niebyło prócz Paramatmy—prócz tego co w tobie jest prawdą i treścią; tylko wielki oddech świata istniał wśród otchłani; i oto powstała w nim żądza i usłuchał żądzę i stał się światem, rozdzielił się, rozgraniczył, udreńczył muogą ułudą kształtów. Jako słońce promienie, tak on wydał z siebie byt, i jako promienie słońca łąmia się na fali morza i na każdej z fal niezliczonych tworzą drobne widmo słońca jedynego, tak byt odzwierciedlił się tysiąckroć, tysiąc tysięcy razy na głuchych falach nicości, na martwém morzu tego co nie jest i z tego powstały niby osobne duchy, co naprawdę jednym duchem są; tysiąckroć, tysiąctysięcy razy zapomniał Paramatma o sobie i uwierzył w ułudę, w boginią kłamiwą, w to co myli, w to co dzieli, w to co dreczy: w Maję, kształt zewnętrzny i przemijający, źródło osobiste go istnienia i kłamiwej różnorodności.

Tobie tego Bramin nie powiedział, boś nie jeden z dwakroć urodzonych, boś barbarzyńiec z Zachodu, Jawana błąd, co mięso jada i nieczystym jest, i boś niegodzien słuchać czterech ksiąg Wedy: Rydź, Sama, Jadźur i Atharwan, ksiąg w których ujęta mądrość a z których tryska źródło zbawienia; raczej jużby ci opowiedział baśni tysiąc, bujnych jak roślinność indyjska, fantastycznych jak bóstwa Indyi wielogłowe i wielonogie. I gdybym miał pisać mitologią i teogonią indyjską, albo dzieje Hindostanu, albo nawet wykład filozoficznych i religijnych wyobrażeń narodu pokutników i nieokiełznanych poetów, bodaj



czybym nie musiał zerwać liść za liściem z lotusu dziwnego indyjskiej baśni, i czybym z liści tych nie ułożył przed wami wzorzystego kobierca, niepozabawionego wdzięku, lecz nadto pstrego i jaskrawego dla oczu północnych. Ale gdybym w to się wdał, odszedłbym od założenia i musiałbym spisać grubą księgę o czém inném jak o tém co zamierzałem. Wyłożywszy przeto kardynalną, że tak po polsku rzeknę, węgielną zasadę, na której oparta wszelka myśl indyjska, zasadę, co sama jedna nadaje podstawę i wyższe namaszczenie wyobrażeniom moralnym sześciuset milionów wyznawców Brahmy i Buddy (jeśli można twierdzić, że naród w Chinach i Japonii Budaizm wyznaje), możemy i musimy zamilknąć. Wyda się, że dla całości obrazu potrzeba przynajmniej opowiadać jako świat powstał, albo jak się zbudziły najwyższe bogi; wyda się że to albo owo powiedzić niezaawadzi; ale niedamy się skusić pomni tego, że zbyteczném będzie każde słowo co nie podąży do założonego celu, a że wszystko co w księżce zbyteczne—złe.

Oto to tylko wiedzić trzeba, że Paramatma wydał z siebie Brahmę, a Brahma świat, w którym przebywa w różnych stopniach, to bardziej, to mniej pogrążony w ułudzie. Każda iskra bóstwa przybiera coraz to nowe kształty; gdy przybierze kształt jaki, rodzi się; gdy kształt ten zrzuci, umiera. Czém mniej ma poznania, tém głębiej zanurzona dusza w Mai, tém bardziej upadła, tém bardziej opanowana ślepym popędem co nią miota, by opanowała to co nią przecie jest, i uniknęła śmierci, co wyswobodzeniem. Jednostka, co potrafi oczyścić się z namiętności, odrodzi się w doskonalszym kształcie, a zwierząt to i duchów niższych los niezmienny, skoro u nich ułuda tak wielką, że owe istoty nie mogą same kierować swym losem. Ludzie, wyższe duchy i bogowie władają już swemi czynami i mogą czasem znowu, jak na początku Paramatma uledez chuci i po śmierci spaść niżej. Mogą się także cnotą i pokutą dorobić tego, że po śmierci odrodzą się doskonalszymi i bliższymi zupełnego poznania. Za życia przenigdy nie przejdzie ni człowiek, ni duch, ni zwierzę do wyższego stanu w hierarchii zjawisk. Wszak nikt nie widział, by pajak stał się słońciem, by tygrys został człowiekiem, by człowiek opuścił bryłę ziemi i zasiadł na górze Meru z promienistém ciałem, pozabawion i potu i trudu, i z okiem wiecznie otwartém i jaśniejącém.

A jako są mnogie i niezliczone rodzaje zwierząt, tak są także mnogie i niezliczone rodzaje i ludzi i bogów. Kto w jednym ludzkim rodzaju się narodził, ten już w tym rodzaju żyć powinien i umrzeć, podany wyższym i niepragnąc wywyższenia, bo pragnienie także chucią i zgubą. Kto do bogów przeszedł, ten także pozostanie w swojej warstwie do śmierci; bo i bogowie umierają, a choć dziwném zrządzeniem czy trafem, są rodzaje ludzi, jako to w Indyach Czandale i Paryasy, a poza Indyanami Mleczy i mnodzy barbarzyńcy, którzy w hierarchii bytu poniżej zwierząt wielu policzeni i choć z bogów niektórzy, jako to ludożerce Rakszasy poniżej ludzi stanęli, i imby nie było szemrać wolno,

gdyby nawet o swojej klątwie wiedzieli; prawda, że o tém wiedzieć nie mogą, skoro im zabroniono Wedy czytanie.

Oto hierarchia ludzka: bo o zwierzęcej i boskiej nie tu miejsce mówić. Bezpośrednio pod bogami stoją ludzie dwakroć zrodzeni, Aryjczycy, Dwidży. Bogowie wszyscy czytują i znają Wedy, a z ludzi tylko Aryjczycy. Zupełną ich wiadomość mają sami tylko Bramini synowie modlitwy, czy raczej modlitewnicy. Im jednym dozwolone Wed rozmyślanie, im jednym dozwolona bez cudu wiedza doskonała o rzeczach boskich. Ujrzymy, że czasem, cudem, ta wiedza dana rycerzom, ale to cud taki, jak gdy zwierz niemy przemówi. Jak mowa ludziom tylko dana, tak Braminom tylko dana znajomość rzeczy świętych, tak dla nich tylko wprost otwarta droga do zbawienia. Kszatrya, rycerz, wprost pod Braminem stanął, a na ziemi przy Braminie; jemu dano Wedy słuchać i on ma na ziemi panowanie orężne. Gdy rycerz ma sto lat, a Bramin ma rok, powinien rycerz Bramina czcić jako ojca swego.

Trzecim z Aryjskich stanów Wajszya, kupiec i rolnik. Choć Wed niesłyszcy, zna pieśni święte i książki, w których nauka streszczona, i ma przystęp do świątyni Brahmy i sam może nieść ofiary. Nawspół z obydwojma wyższymi stanami nosi od siedmiu lat na szyi sznurek, znak odrodzenia.

Szudras to stan czwarty. Oto wieczny sługa i niewolnik Aryjczyków o ciemniejszej skórze, któremu już niewolno słuchać świętej nauki i co winien wiedzieć tylko, że niewolnikiem jest.

Bramina cnotą, mądrością i nabożeństwem; Kszatryi cnotą, wspaniałomyślnością i odwagą; Wajszyi pracowitością i bogactwem; Szudry posłuszeństwem. Dla tych czterech warstw otwartą drogą do zbawienia. Kto w nich cnotliwie wiedzie życie, ten w wyższej warstwie się odrodzi, a Bramin świętobliwy odrodzi się bogiem, co ma ciało jaśniejsze i żyje lat krocie. Ale gdy kto zawini, należąc do jednej z tych warstw, i nie uczyni pokuty i nie oczyści się wedle obrządku, ten spadnie wedle win w hierarchii stworzenia. A jeśli zawinął ciężko, może długie wieki być w pierw w okropnym piekle, a potem przejść przez wszystkie nieskończenie liczne stopnie bytu, i w jakiejś niskiej zwierzęcej postaci odradzać się po tysiąc razy, nim wróci do godności człowieka.

Ludzie stojący poniżej Szudry niemają właściwej cnoty, nie mogą czynić uczynków świętobliwych, żadnej nie mogą osiągnąć zasługi, i jeśli mają jaki obowiązek, to nim jest występki, podobnie jak mord i świętokradztwo jakoby obowiązkiem tygrysa i hyeny; nieczystość wszelka, morderstwo, kradzież, kłamstwo ich przeznaczeniem, i los ich nie poprawi się jedno raczej pogorszy, jeśli nie uczynią zadość przeznaczeniu temu. W tym stanie wszystkie ludy nie Aryjskie, czyto niezamieszkujące Hindostanu, czyto w Hindostanie osiadłe ale nie uległe zakonowi Manu i nieposłuszne od wiek wieka; im teraz już i posłuszeństwo zabronione; niewolno im się stykać z ludźmi znającymi prawo i cnotę, choćby na to by im służyć najpokorniej. Gdy są w królestwach, kędy władają Aryjscy, prawi królowie, muszą mieszkać jak zwierzyzna w niedo-

stępnym lesie, albo gdzieś poza miastem w dzikim obozowisku, najczęściej po cmentarzach; gdy się chcą przyodziać, niech grób wykopią i wdzieją świętokradzko szaty zmarłego; gdy się chcą pożywić, niech kradną, albo niech ludzi mordują i ciało ludzkie pożerają; poślubić żonę im niepodobna, wolno im tylko czynić złą rozpustę; o pokucie, modlitwie, ofierze nie masz u nich mowy; a po śmierci czeka ich wszystkich prawie na miliony lat piekło, gdzie będą ich ciało szarpać psy o dyamentowych zębach, a po milionie lat odrodzą się pająkiem, albo stonogą. Bodaj czy między nimi nie masz i takich przeklętych rodów, dla których nadzieja zbawienia i lepszej doli na wieki zaparta; bodaj czy nie ma rodzajów ludzkich, wśród których kto umrze, po śmierci po piekło, i stokrotnym lub milionkrotnym odrodzeniu w najobrzydliwszych ciałach zwierzęcych, wróci wreszcie nazad do przeklętego żywota ludzkiego, w tym samym rodzaju dla którego nie masz nadziei; ale nikt bez poprzedniej winy w takim ciele się nie zrodził, a końcem tej pokuty będzie przecie po nieprzejrzanej lat kolei, konieczny, nieuchronny koniec wszechrzeczy.

Rodzajem mieszać się zabroniono, i gdy człowiek jaki poślubi nierównego sobie, i sam ulegnie strasznej klątwie i będzie miał dzieci, którym będzie dany żywot tam na samym dole tworu, w ludzkiej postaci, i z ludzką rozpaczą, ale z przeznaczeniem gorszym od przeznaczenia stonogi.

Jeszcze i Szudra niewiele może mieć cnoty. Niech będzie posłusznym a dostąpi lepszego żywota; niech będzie pokornym, niech wie, że jest stworzeniem nieczystym i że cień jego nawet kała Bramina; niech mięsa nie spożywa i wszystkich słucha, niech nie marzy o tém, by mógł mieć prawą żonę, a doczeka się lepszego żywota: może, w najlepszym razie odrodzi się Aryjskim rolnikiem, ale najczęściej stanie się po śmierci dobry niewolnik krową, koniem, słoniem albo innym szlachetnym i użytecznym zwierzęciem, któremu już niedaleko do Aryi, do człowieka na prawdę i do boga.

Wajszya może już być pobożnym i dobroczynnym dla Braminów, może dawać jałmużnę i czynić pokutę, ale przedewszystkiem winien być skrzętnym, by Kszatrya miał skarby złożone z rolników dani. Boć Kszatrya nietylko mężnym być winien, ale i wspaniałym; przy jego stole zasiada zawsze Bramin, jemu radzi, służy mu nawet czasami; onto rumaki chowa, i najsutsze bogom niesie ofiary, on bitwy stacza i prawdę mówi. Mężtwo i bogactwo jego ozdobą, jako grzywa ozdobą lwa. Jemu niezabronione i cnoty owe, które zdobią Bramina, choć za życia Braminem nie będzie, i choć się po śmierci, jak Bramin, bogiem nie odrodzi. Czynna, sławna cnota przez wieszczów opiewana, najczęściej Kszatryi udziałem. Odwaga rycerzy i wiara ich żon, szczodrość obu i pokuta: oto wieczna treść pieśni. Bogowie radzi wstępowały na dwór Kszatryi i przy rycerskich zasiadali godach. Wisznu, druga osoba trójcy najwyższej, jawił się nieraz na ziemi w rycerskim ciele.



I znowu tu musimy się oprzeć pokusie i powiedzieć sobie, że nie wolno nam opowiedzieć w całości, choćby tylko jedną z bajecznych i dziecinnych, a jednak przeslicznych opowieści indyjskich. Toć żywot synów króla Pandu, arcywzór cnoty bohaterkiej, sam prawie tylko zapełnił dwakroć sto tysięcy wierszy wielkiej indyjskiej epepei *Mahabharaty*. I jakżeż tu powtórzyć; tłumaczenie lub tylko wyciąg — to dzieło; streszczenie — to coś podobnego do suchego spisu przedmiotów u końca szacownej książki.

Warto czytać, jak to pięciu Pandawów się biło dzielnie, po rycersku, gdy przyszli się upomnąć o swoją włość i swoje prawo: jako otoczeni przez rój przyjaciół królów sąsiednich, co z własnej woli w bój ciągnęli, jako to na rydwanach złocistych i pod słońców zastoną, pociągnęli na pole Kurukszety, gdzie rycerskim obyczajem, bez podstępów, wezwali wrogów swych i braci stryjecznych Kurawów na bój wielki, święty, rozstrzygający. Warto słyszeć, jak przez niezliczone dwuwiersze *Mahabharaty* tętnią kopyta końskie i syczą strzały, jak mężowie z sobą się mierzą i mieczem i buławą; jak dwaj królowie całą dobę na siebie nacierają, a wreszcie jeden z nadludzką mocą, osiłą rydwanu, porwaną oburącz, drugiego zabija. A pośród wszystkich wzorem cnoty jaśnieje Ardżuna w złotym pancerzu. On, co ma łuk tak ciężki, że prócz niego nikt nim nie władnie; on, co tak jak Odyszej na Itace łuku strzałem swoje odzyskał Penelopę, dla braci zdobył królownę Draupadi, naginając łuk, którego nikt nie nagnie, i zawstydzając tém wszystkich gachów w złotogłowiach, wszystkich królów Indyi. Ardżuna mężów zabija strzałami; on tłumy wrogów porze, podobny do słońca wściekłego co wpadł między węży, albo do statku, co kraje fale. On we wszystkiem wzorem rycerskiej cnoty. Młodzieńcem i dzieckiem wraz z braćmi chował się pokorny i nagi w borze; nie jadał nic prócz ryżu, usługiwał Braminowi i uczył się, jako się zaprzeć i siebie i wszelkiej chuci; później poślubił po rycersku żonę, porywając ukochaną a piękną królownę gwałtem z domu ojcowskiego; nareszcie teraz w boju rej wodzi. Weźmy jego drugi wzór rycerza—Krysznę. Gdy tarcze się łamią, gdy strzały syczą, gdy dokoła giną i mężowie, i słońce, i rumaki, nie lęk obydwoj trzymać rydwan, i tu wśród pobożowiska zagłębić się w rozmyślanie o rzeczy istotcie. Kryszna wtedy mówi długo, jako w nim samym świat cały ujęty, jaką on sam jasnością słońca i wonią kwiatu, a Ardżuna słucha, i słucha rad, bo gdy mu słowa woźnicy i przyjaciela zpoprzed oczu zdzierają płaszcz utudy, zapomina o gniewie i strachu bitwy; bo wśród myśli o prawdzie i czas co kłamstwem tylko staje, znika groza, marnieje, ulata bój.

Jako rycerze osiągli Pandawy na ziemi zwycięztwo. Teraz stali się królami Indyi, i jako tacy uczynili znowu rzecz świętą: konia pięknego, białego jak mléko, długogrzywego puszczone z królewskich stajni, a za nim jeźdzca, mądrego woźnicę Kryszny. I po wszystkich krajach świata, dokoła wielkiego ładu pędził Kryszna konia, tak, że się każdego królestwa dotknął kopytem. Król każdy, na którego ziemi

stanął rumak poświęcony, musiał zgromadzić wojsko swe, i pociągnąć w świat, by złożyć Bogu ofiarę w złotej stolicy pięciu braci—w Indraprstrze; a bracia szczodroblwi, każdemu królowi i wojsku, każdemu zapłacili drogę, każdemu doma sutą sprawili biesiadę. Wreszcie rumaka zabito, a duch jego zajaśniał na niebie słońcem.

A po boju i panowaniu, nabożnie skończyli bracia Pandrawy. Wiedzieli, że świetność wszelka, że wszelki blask i chwała, ułudą tylko i kłamstwem, co nie dają człowiekowi poznać własnego bóstwa, a chcieli się wyzbyć Maii. Poszli tedy rycerze w las; berło i koronę, skarby i wojska oddali dzieciom swym, sami przyodziali szaty z kory i zasiedli wśród puszczy, zagłębieni w sobie, rozmyślając tylko o nieskończonej prawdzie; a z nimi szła i królowa Draupadi. Myśl stawała im się wždy jaśniejszą, ciało bledło im z poprzed oczu, gasło samolubstwo, bór zniknął w kłamliwym majestacie, i wreszcie ciała z nich spadły, jak martwe liście spadają z drzewa, a duchy ich wcieliły się w promienne, napoty boskie postacie ojców, co na księżycu i pod księżycem w szczęściu czekały na chwilę, gdy się nanowo Braminowi wcielią. Tam-to, na górnym świecie, w niebie rycerzy sprawiedliwych, spotkali ojca swego, króla Pandu, co jaśniał wśród sprawiedliwych, skoro w najświętszej pokucie, chcąc się przedźić wyzbyć kłamliwego ciała, wyszedł aż na zamrożone szczyty Himalai, aż tam, dokąd nie dolatują ni wichry, ni śępy, i gdzie się jego ciało stało lodem twardym i białym jak śnieg, co tam spoczął w wiecznej zimy mieszkaniu.

Na ziemi zostali synowie, by ich modlitwą i ofiarą utrzymać przy życiu niebieskiem; aby nie dać, by ich duchy omdlały i spadły na ziemię, i stały się nicością, aby dać im siłę, by się kiedyś po wiekach odrodzili jako cnotliwi Bramini.

Że tedy potomkowie po mieczu ratują umarłe duchy od nieszczęścia i zagłady, pierwszym kobiety obowiązkiem rodzić synów mężom. W ogóle dla mężów tylko żyć winny, i z nimi dopiero pospołu iść na pokutę, z nimi razem zagłębiać się w swojej istocie. Los przeznaczał każdej niewieście męża wedle zastug i wydarzeń poprzedniego jęj ludzkiego żywota; u Wajszyów objawiał swoją wolę los przez kupno i sprzedaż, przez interes, przez umowę, bo u nich, jakby u synów Chama, interes winien był górować nad wszystkim. U najwyższych kast rozstrzygały o ślubach świętych miłość albo siła. Czasem dawano rycerską córę temu, co przy popisie najdzielniejszym się okazał, albo temu się dostawała, co ją porwał gwałtem; i tego nawet chce zakon święty Hindusów, księga Manu, a Ardżuna, wzór rycerzy, niemało sobie przysporzył chwały, szukając w ten sposób żony, jakieśmy o tém już wspomnieli. Czasem kilku braci mogło i w Indyach mieć żonę wspólną; częściej rycerz wzięwszy żonę jedną rycerskim obyczajem, kupował drugą i trzecią, wybierając wprawdzie zawsze spośród rodzin szlachejnych i równych jemu, choć zubożonych. Ale prawdziwie królewskim było wesele królewnęj Damajanti, co niewiast wzorem, podobnie jak Ardżuna wzorem rycerzy.

Niedługo będziemy mówić o wdziękach Damajanti: była piękną, jak królewna w bajce, i dość na tém, a gdy się raz z towarzyszkami bawiła w ogrodzie, zleciały do niej gęsi indyjskie złotopióre; pochwyciła jedną z nich, a złota gąska przemówiła cudownym sposobem, jako swatka losów, i powiedziała Damajanti, że poślubi ją król Nal, najpiękniejszy i najdzielniejszy z mężów, który prócz innych cudownych własności posiadał i tę, co największą królów ozdoba: znał się na koniach jak nikt prócz bogów nieśmiertelnych. Damajanti puściła gęś-wróźbiarkę nazad w powietrze, ale odtąd marzyła tylko o królewiczu Nalu, tak jak marzyć powinna, skoro wiedziała o losów wyroku.

Niedługo, a ojciec królewny sprosił gachów do swęj stolicy, wzywając wszystkich królów i królewiczów Indyi, by stanęli na dzień oznaczony w strojach świątecznych, by Damajanti mogła jednego z pośredka nich wybrać. Wybrał się i Nal, wybrał się co żywo, usłyszawszy cuda o królewny; wybrali się nawet czterej wielcy i bardzo możni bogowie: Indra, pan sklepu niebieskiego, król bogów i władzca piorunów, Agni, bóg ognia i pośrednik między ludźmi i bogami, Waju, bożek wicherów, który był w indyjskim panteonie figurą nielada, i bezporównania więcej znaczył od greckiego Eola, i wreszcie Waruna, brat Indry, i pan morskiej toni; omało żem nie zapomniał o tém, że wybrali się także Kali i Dwapara, niedobrzy bogowie, z których jeden jest kusicielem i niszczycielem, a drugi bóstwem niepewności i wątpienia; a dlatego zapomniałem o tych dwu gachach, ponieważ spóźnili się szczęściem na gody.

Czterej bogowie niebiescy: Indra, Agni, Waju i Waruna, spotkali Nala, gdy powoził w sposób nieporównany po drodze do bohđanki nieznamój.

— A dokądże jedziesz tygrysie mężów, królu Nalu?

— Jadę na gody po królewnę Damajanti.

— I nam tam droga, i nam bogom nieśmiertelnym. Słuchaj Nalu, gdzież tobie się mierzyć z nami; nie chciéj mieć bogów przeciwnikami; bądź raczej ich sługą i posłem. Wedrzéj się do komnat królewny i powiedz jéj o naszej jeździe: niech się namyśli kogo wybierze z nieśmiertelnych.

— Ale jakżeż mogę być waszym swatem u dziewczyny, którą sam pragnę posiąść?

— Nie pytaj się, a bądź posłusznym, bo moje imię jest Indra, a tyś jest mąż śmiertelny!

Nie było na to rady. Nal opuścił głowę i podążył do zamku bogów oblubienicy; przedarł się przez strażę, stanął przed Damajanti, i rażony jéj pięknoscią, zrazu nie mógł i słowa wymówić. I on stał nieruchomie, i ona zerwała się z kobierca, i patrzyła weń jak w nadzieję. Wreszcie, Nal przyznał się kim jest i poco przyszedł, a Damajanti, posłuszna miłości i obowiązkwowi, oświadczyła wyraźnie, że obierze sobie za małżonka Nala, a żadnego z bogów. Niech staną do wyboru wszyscy, ona Nala wybierze.



Stanęli gachowie: i o dziwo! pięciu Nalów stanęło przed królową w wielkiej zamku komnacie, wśród mnogiego królów roju. Chwilę stanęła dziewica osłupiała; po chwili znalazła radę. Klekła przed Nalami pięcioma, i zawołała załamując ręce:

— Nie chcecie mnie okłamać, bogowie nieśmiertelni! nie chcecie podstępem wziąć niechętnéj! Cóż wam po mimowolnéj żonie? Przybierzcie prawdziwe wasze postacie, bym Nala i wybrać i poznać mogła!

I długo błagała i długo prosiła klęcząc przed bogami, aż im serce wzruszyła, i aż jeden z nich po drugim przybrał postać przyrodzoną; łatwo wtedy poznać było bogów od ludzi. Nieśmiertelni nie tykali się już ziemi stopami, jeno promieniejąc unosili się w powietrzu. Ciążyła ich i oblicza zajaśniały dziwnym blaskiem, a z oczu biła boska potęga, wiecznie szczęśliwa i pewna siebie. Nal stał u dołu, w prochu, z trudem na twarzy i potem na czole; stopy jego lgnęły do ziemi, a wzrok był jak u śmiertelnych niepewny, i nieraz mrużyły się powieki. Bez wahania się przystąpiła Damajanti do Nala i obrała go mężem; i nie pomogły wielkie bogów obietnice, nie pomogły słowa Indry, co obiecywał swéj żonie nieśmiertelność, wieczną młodość i barwne, cudne szaty, tkane z promieni. Damajanti chciała los śmiertelny i ziemski dzielić z Nalem, a zebrani królowie podziwiali jéj cnotę. Wreszcie i bogowie pobłogosławili owéj miłości i siedli na rydwany swoje, by wracać do nieba. Po drodze spotkali Kalego i Dwaparę, co się na wybór spóźnili, i opowiedzieli im co Damajanti uczyniła. Oburzył się na to zły bóg Kali, i zawołał, że głupią dziewczkę ukarze za to, że bogami wzgardziła.

I oto w lat kilka przyjechał do Nala i Damajanti brat Nalów, Pratarasztra, i siadł z Nalem do gry w kostki: a wciąż wygrywał, aż Nal przegrał połowę królestwa. Wtedy to lud przerażony wysłał do pana swego prośbę, by grać przestał; ale Nal na prośby nie zważał i grał dalej, aż przegrał trzy ćwierci królestwa. Wtedy to przybiegła Damajanti z dziećmi drobnymi na rękę i błagała Nala ze łzami, by grać przestał; ale Nal nie słuchał i grał dalej, aż przegrał całe królestwo swoje. Wtedy zawołał Pratarasztra:

— O! bracie mój, królu Nalu! już nic ci nie zostało prócz Damajanti i twoich dzieci. Słuchaj: raz jeszcze poprobujemy szczęścia. Jałożę na kostki królestwo twoje, które mojem jest, a tyłożysz Damajanti.

Na te dopiero słowa opuścił Nala szak, co go był opanował. Zerwał się z krzesła, zapłakał głośno, zrzucił z siebie odzież królewską; oddał wszystko co miał bratu szczęśliwemu, i w jednéj tylko sukni pociągnął w bór straszliwy: za nim pociągnęła wierna żona.

Nie uszli daleko, a trafili na stadko ptaków; a głodnymi byli, i Nal nie miał ni łuku, ni strzały; zdjął tedy suknię i rzucił nią niby siatką na ptaki, a rzucił celnie, tak że ptaki szatą przykrył: ale ptaków nie złowił, jedno ptaki uleciały wołając głośno: „Myśmy kostki:

myśmy przysłane przez los i szczęście, by ci zabrać ostatnią suknię! — Nal został się wśród boru nagi, a Damajanti zdjęła z siebie swoją suknię, i przecięła ją na dwoje: połowę dała Nalowi, połowę zostawiła sobie, i napół przyodziana, poszła dalej z mężem w straszny bór, jako żona wierna bez szemrania. Nal ją prosił i namawiał, by do rodziców wróciła, tam dokąd on ze sromu iść nie śmie; ale ona iść nie chciała. Wołała łaknąć i ginąć z mężem razem w puszczy. Aż nowy zły błąd przyszedł na Nala. Gdy Damajanti pod drzewem usnęła, pomyślał sobie: gdy ją porzucę, wróci do rodziców, — i porzucił biedną, półnagą, i poszedł szukać służby. Tylko cnota żony nie porzuciła. Długo wśród puszczy szukała męża płacząc, nim do rodziców wróciła; ale ani zwierzy, ani człowiek zły nic jój złego nie uczynił. Tygrys ją ominął spokojnie spytany o droge; położy ją obwinął splotami zimnemi i już chciał dusić, gdy ją wybawiła strzała myśliwca; a od myśliwca wybawiła ją kłatwa; słowa święte, wymówione przez czyste usta, powaliły o ziemię trupem zbyt zuchwałego wybawcę: boć takie słowa kłatwą naj-silniejszą. A gdy Damajanti wróciła do domu ojca, nie miała żalu do wiarołomnego, lekkomyślnego męża; o nim tylko myślała, i wysłała przemyślnych Braminów na wszystkie części świata, by odszukać Nala.

Tymczasem Nal zmienił był postać i stan i imię. Król węzów Karhatoha ukąsił był go w ramię, tak że stał się brzydkim, małym i kulawym garbuskiem; i Nal w téj zmienionej postaci i przybrawszy nowe imię, przyjął rycerską służbę woźnicy u jednego z królów Indyi, którego nazwiska nie pomnę, u króla, co posiadał dziwny dar liczb. Mimo to wszystko, poznał go tu jeden z Braminów wysłanych przez Damajanti, a poznał po żalu za nierównaną, za opuszczoną żoną. U nasby gotowa królowna niewierzyć, że mąż jój został w brzydkiego garbusa przemieniony, ale w Indyach za dni bajecznych, wydało się to rzeczą wcale prawdopodobną; wysłała tedy Damajanti mądrego Bramina napowrót do króla, u którego Nal był woźnicą, i kazała mu opowiedzieć bajeczkę, że postanowiła drugiego obrać męża, i że znowu wszystkich królów wzywa na gachów do ojcowskiego zamku. Król kazał woźnicy zajechać i udać się w drogę po Damajanti; i tak-to wioził sam Nal gacha po własną swoją żonę.

Ale nikt ani w Indyach ani na świecie nie znał się na koniach tak jak Nal, jak o tém już wiecie. To też nie mógł król pan jego przyjść do siebie z podziwu, gdy patrzył na to, jak konie leciały przez góry i doliny piorunem. Gdy raz płaszcz zleciał królewski, spadł nie pod koła, jeno o milę od rydwanu: takim leciał król pędem. Potém domyślił się król łatwo, że Nal posiadał dar koni, to jest cudowną sztukę i znanstwo nadprzyrodzone będące najwyższą ozdobą indyjskiego rycerza.

— Woźnico mój, woźnico! zawołał król łakomie, widzę że masz dar koni; udziel mi tego daru a ja ci daru mego, daru liczb, udziele.

— Mam dar koni, prawda, odrzekł Nal; przekonałeś się o tém i wiész napewne, bo własnym wierzysz oczom. I udzieliłbym ci tego

daru za dar liczby, gdybym wiedział na pewno, że możesz dać to o czém prawisz. Ale się nie przekonał i nie chce jak dziecko lub głupiec wierzyć językowi tylko.

— Gdy tak mówili mijali cwałem drzewo, a król zawołał: oto na tém drzewie owoców sto cztery równo, ni mniej ni więcej. Raz tylko spojrzalem, i policzyłem na dowód że mam dar liczby—rzekł król, a Nal na miejscu osadził konie.

— Co ty robisz woźnico?—król zawoła.

— Chcę na drzewie policzyć owoce, dokładnie po jednemu.

— Ależ niema na to czasu. Śpieszno mi do Damajanti.

— A jakżeż chcecie bym tak na słowo uwierzył że jest owoców sto cztery. Poczekajcie, poracludę. albo wam daru koni nie udzielię.“

I policzył Nal owoce na drzewie, i przekonał się że ich było sto cztery. Udzielił tedy królowi daru koni, a sam otrzymał dar liczby, tak że do zamku dojechali obaj z bogaceni; Nal podobno więcej od króla, bo odtąd pozbył się nazawsze złego obłędu: kto raz dar liczby posiada, do tego niemają dostępu ni obład ni pokusa.

Gdy do zamku Damajanti zajechali, poznał król że tu gachów wcale niesproszono. Wywinął się tedy gładko, mówiąc że przyjechał, ot tak sobie, w odwiedziny, a Damajanti dowiedziawszy się na pewne za pomocą znaków czarodziejskich że woźnica jęj mężem, pobiegła do brzydkiego garbusa, co w stajni we wzgardzie nocował, uściskała go i siadła przed nim w pokorze, jak na żonę przystało, mimo śmiechu ojca i czeladzi. A wynadgrodziły ją za to bogi, bo Nalowi przywróciły postać dawną, i stracone królestwo, i oboje żyli potem z sobą, długo i szczęśliwie.

Podanie nie mówi jak skończyła Damajanti. Ale kto zna Indye, ten wie że gdy mąż żonę odumrze a nie zostawi drobnych dzieci któreby matki potrzebowały, żona wierna i nieodstępna, wstępuje na stos męzowski i żywa płonie wraz z jego ciałem. Tak uczyniła pewno Damajanti.

Gdyśmy to fantastyczne podanie powtarzali, zauważyliśmy pewno jak wiele mogą w Indyach czary; jakie przedewszystkien wielkie słów znaczenie; zauważyliśmy pewno jako kłątwy Damajanti zabiły i położa i myśliwca niedobrego, i jako Nal z królem mieniali się na umiejętności bez trudu, za pomocą słów tylko i myśli. Oto przekonanie o takięj myśli i słów ludzkich wszechmocy musiało istnieć w kraju, gdzie prawdziwa istota człowieka uchodziła za istotę wszechświata, gdzie człowiek cały był wszechświatem; niedziw przeto że mógł być wszechmocnym, skoro chciał czego z całego serca! I nie indyjska to tylko wiara; i chrześcian ucza, że gdyby mieli wiary i woli na ziarnko gorczycy, poruszaliby góry.

Zauważyliśmy jeszcze rzecz drugą, jeźliśmy na powieść baczyli. Oto to, że kto posiadał dar liczb, ten błędzić i grzeszyć nie może. Dogmat ten spotkamy znowu, zaraz w pierwszym rozdziale następnej księgi, a spotkawszy go, wtedy przypatrzymy mu się lepięj. Zazna-



czyliśmy go tu, aby wskazać że nie jest własnością wyłączną Greków, i dlatego że to dogmat ważny. Ale wytłómaczymy mówiąc o Grekach. W Indjach ważniejszą sprawą święte zaklęcia.

Jużeśmy to powiedzieli, że wiara w skuteczność zaklęć miała swój początek i swoje źródło głębiej w myśli indyjskiej, a mówimy tu o początku w porządku metafizycznym a nie historycznym czy raczej domyślnym czasie. Mimo to wiara ta przybrała często i przeważnie postać zabobonu, i przypisywano czarodziejską moc pewnym formułom i pewnym zaklęciom, których umiejętność była przeważnie własnością Braminów, a które spisane w Atarwan Wedzie, w czwartej świętej księdze indyjskiej wiary. Posiadanie owych świętych a wszechmocnych formułek i znajomość nieprzewycięzonych a często dzieciennych obrzędów, któremi i bogów można było do wszystkiego przymusić i zamienić w posłuszne niewolniki, była nawet najwyższą cechą Bramina, ale moc ta niezawsze dopisywała i owemu świętemu porządkowi ludzi; i często się zdarzało że królowie niewiele stali o Bramińskie klątwy i raczej za błaznów jak za ojców i duchownych panów mieli ludzi najświętszych i najbliższych zbawienia. A pochodziło to ztąd, że nie wszyscy Bramini spełniali swój zakon własny a najtrudniejszy, że nie wszyscy spędzali całe życie swoje na zwalczaniu ułudy i opanowywaniu owęj mądrości, którą później niektórzy z nich tak zadziwili Greków i Rzymian, gdy między nich przybyli.

Bramin co stał już u szczytu ludzkiej piramidy, miał do wyboru jedno z dwojga: albo stać się godnym żywota bogów, a może nawet i ostatecznego wyzwolenia; albo spaść znowu gdzie nisko, między zwierzęta, albo najpodlejsze ludzkie. Występnym był gdy żył tak jak rycerz, albo jak rolnik, gdy myślał o boju i miłości, albo o zysku. Jedna dla niego istniała tylko cnota, a tą cnotą była pokuta, i zupełne od świata oderwanie. Być może, i to pewno nawet, że wielu Braminów było w Indjach szalbierzami tylko, ale wielu spełniało zakon; i choć znowu rzeczą niewątpliwą, że i tych często cieszyły pochwały i podziw ludzi, był to zakon straszliwy, i nie dla wygody kapłanów wymyślony; była to i jest cnota, w którą wierzyć musi kto ją pełni; a mówimy była i jest, bo podziśdzien pełno świętych pokutników w Indjach.

Ledwo się Bramin doczekał siódmego roku, a oddawano go do pustelni świętego starca, gdzie się uczył od dzieciństwa oderwania od rzeczy tego świata i od wszelkich rozkoszy. Spał niewiele i na rogoży albo na nagiej ziemi, jadał tylko po garści ryżu na dzień, milczał wciąż, czytał cicho księgi świętych, słuchał świętej nauki, a jeśli mówił to na to tylko, by oddać cześć nauczycielowi i na to, by odmówić święte formuły modlitwy. Tak miał żyć nagi i bezbronny wśród strasznych niebezpieczeństw indyjskiej puszczy, narażony codzień na pożarcie lub roztratowanie lub na to, by spłonąć wraz z syczącymi drzewami boru w czasie wielkiego nocnego pożaru, i tak miał żyć do lat trzydziestu

sam z nauczycielem i przyrodą, a nieinaczej żyły i córny Braminów, do lat szesnastu.

W owymto czasie jedyną rozkoszą zezwoloną, było patrzenie na piękność przyrody, na rozmaitość kwiatów, ptaków i zwierząt. Człowiek nie dostępował jeszcze wyższych stopni wtajemniczenia, nie odrywał się od wszechrzeczy widomych, ale uczył się zapominać o sobie, zapanaować zupełnie nad sercem i rozumiejąc a kochając wielkie i mnogie życie natury, pojąć tém lepiej świętą formułę: *tat twam azy*, tém jesteście ty; formułę, której zrozumienie było podstawą wszelkiej cnoty.

Po latach nauki przystępował Bramin do obowiązków czynnych swego stanu. Wychodził z boru, osiadał pomiędzy ludźmi i poślubił żonę na to, by zasłużone dusze mogły się zbawić w jego dzieciach i żyjąc w świętym Braminów stanie, dostąpić zbawienia. Wtedy téż winien był sobie obrać stan czynny, z tych, które także Braminom albo Braminom tylko były zezwolonę; miał się stać doradcą króla i śpiewakiem, kapłanem w świątyni, filozofem, strażnikiem ksiąg świętych, lekarzem, sędzią, trefnisiem albo nawet kucharzem, i w tym stanie miał baczyć, by prawo zostało wykonaném. Gdy Bramin w tym stanie zostawał, życie jego było najpodobniejszém do życia innych ludzi. Ale gdy dzieci jego już nie potrzebowały ojcowskiej opieki, przychodziła kolęj na ostateczną pokutę i na zwalczenie ułudy.

Różne obierano sobie do tego drogi. Najczęściej odchodzono w lasy, by się tam oddawać ćwiczeniom, by pościć i rozmyślać o nicestwie rzeczy wszystkich. Siedząc na ziemi i z oczyma otwartymi, ale niepatrzącymi na nic, miano wiecznie powtarzać słowa nieskończoności, aż myśl wszelka o czém inném zakołkuje, aż człowiek zapomni o jadle i o cieie i aż umrze z głodu, nie wiedząc nic o głodzie i siedząc nieruchomy albo stanie się pastwą zwierząt dzikich.

Inni, pewniejsi siebie, nie opuszczali królewskich dworów i ćwiczyli się w rozmyślaniu i cnotie wśród ludzi. Byli między ludźmi, ale nie z nimi działali wśród świata, ale nie myśleli o świecie. Zajmując się obowiązkami swego stanu, odrywali się coraz bardziej od siebie; zagłębiali się w duchownej modlitwie, albo myśleli i mówili o tajemnicach swęj wiary. Wreszcie, gdy uczyli, że ich świat cały już zgoła nie obchodził i że mogli konać w pokoju, kazali sobie wśród dworu królewskiego stos postawić i szli na nim konać obojętnie wśród płomieni, jak wpiery obojętnie żyli wśród ludzi.

Ale najświętszą, najskuteczniejszą była najsurowsza pokuta. Tamte, gdy się udały, prowadziły do nieba między nieśmiertelne bogi; najsurowsza prowadziła wyżej, ona sama jedna dawała zupełne zbawienie, bo i wśród bogów stawał grzech i ich czekała śmierć i u nich mógł się zdarzyć upadek i im trzeba było pokuty, by przejść do wszechjedności, wszechwiedzy i wszechmocy. Oto najsurowsza pokuta mogła wyjątkowo prowadzić Bramina tam, dokąd dążyli bogowie.

Człowiek do ciała i świata przyrósł tyłoma węzłami, że ani długa wędrówka przez różne ciała, ani staranne a surowe wychowanie, ani

ciągłe duchowne ćwiczenia i rozmyślenia, nie mogły go doprowadzić do oderwanéj myśli i zbawienia. Na to trzeba było czegoś więcej, na to trzeba było boleścią i męką cielesną oderwać się od ciała. Kto sobie męką zbrzydził świat, a ducha tak podniósł, że męki nie czuł najsroźszej, ten dostał zbawienia. Siadał tedy Bramin między trzy ognie i piekł się powoli, ciągle i przez lata całe; trzymał ręce podniesione i ściśnięte pięściami, aż ręce skostniały, a paznokcie nawskroś przerosły przez dłoń; na szyję kładł koleczastą obrozę, albo kazał się cały zakopać, zostawiając tylko otwór dla ust, do których sypał jadło przechodzień pobożny, lub wreszcie kazał siebie wieszać wysoko w powietrzu na haku, przeprowadzonym przez ciało w plecach. Nad podziw długo pościł i czuwał, biczował się, wycinał sobie kawałki żywego mięsa, a śmierci nie chciał przyspieszyć; winien był ukochać mękę swoje i chcieć, by trwała przez wieki. To téż wierzył, że pierwszym dowodem jéj skuteczności przedłużenie niezmiernie życia, a drugim moc cudów, a trzecim dopiero zbawienie. Kto zdołał przez długie wieki, przez lat tysiące przedłużyć najsroźszą pokutę, ten stawał się po śmierci Maharidżim, t. j. zasiadając powyżej bogów, trwał w jedności z Brahmaną, pozbawiony uciechy i radości, a cały pogrążony w niepojętej jedności. A takie czyny nie wydawały się niepodobieństwem czcicielom Brahmy. I owszem, choć czynów tych dziś nie widziano, wierzone, że żyli niegdyś ludzie święci, którzy czyny te spełniali w czasie, w którym i lata ludzkie nie na dziesiątki, lecz na tysiące się liczyły; wierzone nawet, że raz jeden, wyjątkowy, nie Bramin, lecz Kszatriya dostał zbawienia. Byłto król Wiszwawitra; możny ten rycerz owładnięty gniewem i pożądlivością, chciał świętemu pustelnikowi Wasyszcie zabrać krowę cudowną, krowę nad wyraz doskonałą i najechał wraz ze zbrojnymi jego pustelnię. Wasyszta wymówił tylko święte zaklęcie i oto z boku krowy ku jéj obronie wyszły wojska nieprzeliczone, nieprzejrzane. I rycerze aryjscy i Jawani t. j. Grecy o bladej twarzy i Mleczy o żółtej cerze i płaskim nosie i dzicz czarna i małpy zbrojne i ludożercy i skrzydlaci duchowie, wyszli ku pustelnikowi obronie i świat cały sobą zakryli. Ostępiały Wiszwawitra, choć byłto rycerz dzielny i choć nie zwykł w boju ustępować, przypadł na kolana i wziął się pustelnika przepraszać i błagać, by mu w zamian za królestwo i wszystkie skarby dał moc cudu; by mu dał być Braminem. Ale darmo! Wasyszta wzgardził królem, co chciał mieć święte moce, na to, by służyły nieświętym chuciom i wrócił do pustelni i zatrzasnął drzwiami za sobą.

Nic już odtąd nie było zdolnym zagasić żądze Wiszwawitry, co chciał koniecznie być Braminem; a niemając innego sposobu postanowił król pokutą i modlitwą, wymusić u bogów to, czego pragnął. A że byłto człowiek mężny, wziął się nielada jak do pokuty; przeszedł niebawem wszystkich Braminów w ćwiczeniach świętych i doznał wkrótce tego, o co się zrazu wcale nie kusił: wzgardził rzeczami świata i jeśli trwał dalej w pokucie, to na to tylko, by się oderwać od ułudy i dostać zbawienia. Ale i na to trzeba było wpiérw zostać Braminem.



Z dniem każdym rósł Wiszwawitra w mocy; po latach tysiącznych, gdy chciał, dotykał się nieba ręką i księżycem bawił się jak piłką, a mimo to nie był jeszcze Braminem; wreszcie zniecierpliwiony zaczął niebo walić i trząść górą Meru. Bogowie przerażeni porzucili beśiady i pobiegli kłęknać przed tronem Brahmy, któremu rząd świata najwyższy powierzony. Indra pan piorunu prosił pana modlitwy, by zechciał się nad bogami zmiłować i ratować ich życie, przemieniając naturę Wiszwawitry. Ale ani słyszeć o tem nie chciał Brahma.

Wtedyto pokutnik straszliwy wziął się do najwyższej trójcy. Brahma rzeczy początek, Wisznu rzeczy trwanie i Siwa rzeczy śmierć i koniec, dostali się w ręce straszliwego pokutnika. Wisznu śnił na ogromnym złotym wężu wśród morza Nektaru. Wiszwawitra rzucił nim w otchłań, by leciał tam, gdzie nicosis, a wąż zdziwiony, że mu ubyło ciężaru, rozwinął swe spłoty, rozciągnął się na morzu słodkiem i podniósł swą głowę. Siwa ze złą żoną swoją, czarną Mahadewą, jechali na wielkim, jak noc czarnym turze, na śmierci. Wiszwawitra wziął tura za rogi i zwałił go o ziem, a wziął się złych bogów dusić łańcuchami z czaszek ludzkich, które nosili na szyi. Wreszcie dobrał się do samego Brahmy i już chciał uszczknąć złoty kwiat lotusu, na którym zasiadał od wieków, gdy Brahma przerażony pochylił wszystkie cztery głowy i „stój” krzyknął, „jesteś Braminem.” I wtedy dopiero Bramin nowy przywrócił dawny rzeczy porządek. Dziesięć tysięcy lat żył jeszcze w pokucie, a potem dostąpił zbawienia wiecznego. Takiego to trudu potrzeba, by Kszatrya został Braminem.

Teraz nie dzieją się już takie rzeczy, choć chodzą jeszcze po świecie święci pokutnicy, mnogo Braminów kłamców i szalbierzy; Kszatryje nie baczą na prawo i nie słuchają kapłanów, a co gorsza zdarza się często, że człowiek niski, sudras albo barbarzyńiec albo niedowiarek, zasiada na królewskiej stolicy; dziś nawet Indyami rządzi kobieta barbarzyńska, co zamieszkała na wyspie gdzieś za morzem i Bramini jęją się kłaniają. Porządek świata zepsuty i po wszystkiemu znać, że zbliża się już pralaja czyli rozkład.

Dla Brahmy, podobnie jak dla nas, są dnie i noce, tylko że dzień Brahmy trwa niezmiernie długo, przez miliony lat. Trwanie takiego dnia, to trwanie jednego świata. Na początku, gdy młodym świat, taka kwitnie w nim sprawiedliwość i prawo, ludzie żyją tysiące mnogie lat, bogowie obcuja ze śmiertelnymi, niemasz namiętności na ziemi, niemasz grzechu, jeno jest święta pokuta; przejrzysta jest wtedy zasłona ułudy i czas ten pierwszy zwie się wiekiem bogów: Dëwan Juga. Potem przychodzi gorszy już czas drugi, wiek ofiary: Toita Juga. Muszą się w nim już ludzie modlić usilnie o zbawienie, muszą sobie zadawać srogie katusze. Trzecią dobą doba wątpienia: Dwapara Juga, a po niej dopiero nastala doba zła, doba grzechu, doba dzisiejsza: Kali Juga. Wszystko grzeszy, wszystko cierpi, wszystko błądzi i gdy wieków tysiące miną, gdy się skończy ta czwarta doba, nastanie noc Brahmy; Rządca świata zmrzy powieki, Maja-Ułuda zniknie; bogowie, lu-

dzie i zwierzęta staną się znów jednym bogiem, a materya i forma, kształt i barwa, myśl i wola będą niczóm. I dnie takie i noce następują po sobie kolejno, aż Brahma dożyje dni tyle, ile stanie na bardzo długi żywot ludzki, okres czasu straszliwy, kilkanaście tysięcy dni Brahmy. Czas to, w którym Paramatma oddycha. Po czasie tym wciągnie w siebie nazad oddech Paramatma i Brahma sam zniknie wraz z trójcą swoim i z tymi, co dostąpili zbawienia i będzie nicość jako na początku, a wśród nicości Paramatma, wielki oddech świata. Ale gdy to się stanie, ty nie zginiesz, boś ty przecie owym oddechem, tyś Paramatmą, tyś panem wszechrzeczy, tyś wiekuista moc, bez początku i bez końca.

Aleć niewielka dla ciebie z bóstwa twego pociecha, gdy żyjesz w świecie złym; niewielka zwłaszcza pociecha, jeśli Braminem nie jesteś lub przynajmniej Kszatrią, skoro masz przez długie wieki istnieć w wiecznej katuszy i toć nie radość bezpieczna, choć zostaniesz bogiem, bo przyjdzie na cię dzień rozkładu i potem popadniesz znów w obłąd i znów będziesz się dręczył przez wieki, przez wieków miliony, aż do dalekiej chwili, gdy byt ustanie i gdy Brahma sam będzie zwolniony od długiej męki, którą sobie zadaje trwając w obłądzie; bo jakżeży Brahma był szczęśliwy, gdy świat Brahmą, a świat pełen rozpaczy? I czyż sam Paramatma szczęśliw póty, póki trwa ułuda? I któż zaręczy, że po milionach milionów lat, gdy nastanie ostatnie i wielkie zniszczenie, ułuda nanowo nie wstanie i nanowo nie zacznie się męczarnia wszechrzeczy? Niemasz, niemasz pociechy dla tych co są! Nicości nie dosięgną, a w bycie chyba są chwile wytchnienia krótkie, chwile, w których się nic nie marzy; zabawa wnet się zamieni w znużenie albo w nudę; szczęście tych, co są niepokojem tylko i trwogą przed klęską, albo nie-nasyceniem i ułudą, pokój wtedy tylko, gdy człowiek usnie lub zgaśnie, ale to pokój nienadługo.

Tak pomyślał Siddharta, królewicz z rodu Sakija. Chowano go w rozkoszy wśród świecidek; miał żonę piękną i ukochaną i królestwo obiecane; był młody i bogaty i szczęśliwy, o ile szczęśliwym być można; nie brakło mu żadnej zabawy, nie brakło wielmożności i mógł, zapominając i nie rozumiejąc, żyć dla własnej chwały. Mógł i co mógł to czynił w pierwszych latach na poły dziecięcej młodości, lecz nie czynił tego długo.

Przywykł od dzieciństwa widzieć tylko dostatek i ledwo czasem wyjeżdżał w świat, wszak nie potrzebował nawet wyjeżdżać na łowy, skoro miał na rozkazy zwierzyniec ojcowski pełen jeleni. Powożąc raz dla krotchwili, wyjechał jednak poza zwierzynica bramę i dostrzegł pod bramą w rowie coś żywego, coś ludzkiego niby, co klepiąc pacierze zebrało miłosierdzia. Królewicz wstrzymał konie, by dać jałmużnę, ale mdlało mu serce patrząc na żebraka. Byłto człowiek niegdyś młody, zdrów może, wesół i piękny, a teraz to się ledwo wlekło; drżały kolana, drżały ręce, twarz stała się nieforemną prawie, skóra obwisła i grzybem porosła: z tego człowieka była szkarada, na którą patrzeć trudno. Okropnością było, że żył prawie; a choć członki go bolały ze

starości i choroby, musiał zebrać wystawiony na niepogodę o głodzie i umrzeć nie mógł, umrzeć nie mógł nie mógł się nawet doczekać pokoju!

Siddharta dał jałmużnę, zwrócił konie i co rychlej wrócił do zamku, do żony. Nie jadał i nie sypiał, nie słuchał gdy mu grano i śpiewano, nie patrzył na płasy; ciągle stał mu w oczach ów starzec i żebrak i żal mu go było, żal straszliwie! Pamiętał, że mógłby i on tak cierpieć i zdało mu się już, że tak cierpi.

Nareszcie rozerwał się i wyjechał znowu w świat za bramę zamku Kapilawastu—bo tak zwał się zamek ojca jego Sudhodany. I oto gdy wyjechał zobaczył leżącego przy drodze człowieka porażonego trądem; nie mógł na to spojrzeć, zwrócił konie i uciekł do zamku. Zdrowie wydało mu się snem tylko i marą którą trąd lada chwila porazi a piękność żony, uśmiech i pieszczota synka, były dlań tylko przypomnieniem owiej za bramą zamkową dostrzeżonej ohydy. Nic go w zamku rozerwać nie mogło; spróbował tedy czy go co nierozewnie poza zamkiem, i znów wyjechał i spotkał pogrzeb i płaczki. Niestraszne to zwykle spotkanie i obojętnie każdy mija orszaki żałobne, ale Siddharta myślał teraz już tylko o nędzy ludzkiej i miał oko dla nędzy tylko, niewidział już tego co na świecie cieszyć mogło, a pogrzebu spotkanie przywiodło przed oczy jego wyobraźni całą okropną śmierci grozę, i strach ciała, co się przed nią kuli. I odtąd coraz to wyraźniej stawało mu w myśli pytanie: I pocóż się ludzie rodzą, gdy jest na świecie śmierć i choroba? A obok tej myśli stanęła myśl druga, stanął zamiar szalony, co mógł się tylko zrodzić w głowie indyjskiej karmionej powieściami o cudownej Braminów mocy. Siddharta przedsięwziął śmierć przezwyciężyć. Postanowił że to sprawi, by nie było ni urodzin ni pogrzebów, i uwierzył że zdoła sprawić ten cud nad cuda.

Niedługo potem ukazał się Siddharta przed ojcem i oświadczył mu, iż postanowił obracć sobie stan pokutnika. Zdziwił się i zmartwił ojciec tą wieścią; żal mu było królewicza i następcy swego, a niegodziło się nawet młodzieńcowi uchodzić w lasy, i porzucać żonę przy małym dziecku, zanim zaznał boju i panowania. Matki już nie było ale żona Gula wstrzymywała Siddhartę łzami; Sudhodana obstał zamek strażami i zakazał wypuszczać królewicza poza zamkowe zwierzyńce. Na nic to się nieprzydało. Siddharta wyrwał się z zamku pokryjomu, dostał się w lasy i do pustelni Braminów; i jak drugi Wiszwawitra domagał się ich nauki. Bramini wieku grzechu i pokusy nieodmówili jej królewiczowi. Być może że ich świętość do tyła nawet podupadła, że to im pochlebiało, że możny tej ziemi rzuciwszy skarby chciał przystać do nich, padły przed nim szańce rodzajów ludzkich i Siddharta żył jako Bramin i przybrał że tak rzekę klasztorne imię: Sakia Muni—to jest, pustelnik z rodu Sakia. Ale nie zasmakował nowy pokutnik w Braminów nauce; nie widział w niej drogi do



zbawienia, widział tylko wieczne utrwalenie męki bytu; rzucił tedy ich szkoły i próbował w samotności dojść zbawienia.

Udał się przeto do miejsca zwanego Urowilwa i zamieszkał tam w samotności pod jednym z owych ogromnych drzew figowych, co w Indyach same jedne rozrastają się w las o setnych pułach. Tu z razu chciał dojść prawdy za pomocą postu i biczowania po Bramińsku, ale po latach kilku dał temu pokój i rozmyślał tylko o zbawieniu, żyjąc bez zbytniej surowości. Postanowił zarzucić drogę, po której stąpali Bramini, zarzucając jęj niejedną błąd, ale błędy mnogie, i wpatrywał się w świat cały, bolejąc cierpieniem każdej istoty. Bramin chciał dostąpić zbawienia pracując tylko dla siebie, o drugich nie myślał, i był w pokucie samolubem, niedopuszczającym prócz siebie nikogo do zbawienia. Gdyby nie to że w pieśni czasem się wzniósł nad poziom świata, była jego świętość suchą i zimną, — a najczęściej i pieśń była dlań formularzem. Zdawało mu się, że się od świata odrywa, a naprawdę żył w nim; cieszyło jego dumę wywyższenie nad innych ludzi, a jeżeli miał dla kogo serce, to dla własnej tylko rodziny, dla rzeczy ziemskiej, dla rzeczy swojej i wyłącznej, dla rzeczy co się domagała własności i troski o chleb powszedni dni swoich. Zależało mu na tém, by zdobyć poklask ludzi i poczesne dla siebie miejsce, i na tém, by utrwalić przez dzieci swoje świata istnienie, kładąc serce w mieniu i rzeczach doczesnych. Na starość dopiero używał przywileju zbawienia, i wtedy odrywał się od świata, a że wpieryw przyrósł doń, więc nie wierzył by to mógł uczynić własnymi siły; szukał pomocy czarów i zaklęć niedorzecznych, bezmyślnych, a gdy te nie pomogły, niezbywszy się dumy myślał że choć siebie nadewszystko ceni, pozbędzie się siebie, i że boleść istnienia zwalczy gdy boleści bez końca namnoży. I nie rad z cierpienia, którego i tak dość na świecie, męczył się Bramin pokutujący w sposób najdziksz, aż ogłupiał i umarł w męczarniach niepozbywszy się miłości siebie co w dumie leży. Niejednemu z Braminów wydała się już pewną, jałową drogą po której dążyli do zbawienia, ale samolubstwo dumy i próżności utrzymało ich na niej. Sakia Muni nie był Braminem z rodu; co im się wydało przywilejem było dlań krzywdą, choć czuł że więcej od Braminów wart, więc nie trudno mu było odwrócić się od nauki co była tylko dla kilku, i tych kilku łudziła, a nie wiedziała o wszechświecie co także się rodził i umierał; wszak aby siebie zbawić naprawdę, wszechświat zbawić trzeba, trzeba wszędzie zagacić samolubstwo. Nie mękami, nie formułami narzuconemi wyprzesz się siebie! Innej szukaj drogi.

Z wszechświatem cierpiał Sakia Muni nieskończenie wpatrując się we wszechświat, i wnikając myślą we wszechcierpienie. I coraz wyraźniej widział i czuł to co w Indyach mógł czuć każdy co rozumiał świętą formułę *Tat twam-azy* (tém jesteś ty). Czuł, że on to świat cały, że w nim wszechświata cierpienie, że szczęście innych jego szczęściem, innych łzy jego łzami. Bolały jego rany sarneczki, którą szarpał tygrys, bodaj czy go nie bolały cięcia toporu obalającego cedr

na stokach Himalaj; nad wyraz go bolało upokorzenie niewolnika i wyrzutka co mieszkał na cmentarzu, i widział jako na dłoni, że on już tysiąc tysięcy razy przeszedł przez śmierć i konanie w tworzeniu, że był we wszelkim bycie, że przeszedł wszelkie cierpienie w długiej bytu kolei, on co był wszystkim co istniało. I chciał odtąd ulżyć boleści wszystkiemu temu, co wraz z nim dychało, i wszystkiemu temu, co kiedyś po nim przyjdzie, i stał o to wszystko tak usilnie, jak człowiek powszedni o własne stoi szczęście. Boć to wszystko przecie nim było.

Zdawałoby się że teraz tysiąckrotnie pomnożył swoje cierpienie Sakia Muni. A jednak nie! Gdy to wszystko zrozumiał i ujrzał jak na dłoni, stał się szczęśliwym. Człowiekiem nie był już: uczuł się bogiem, nieprzemijającym, nieśmiertelnym, dla którego czasu już nie masz ni urodzin, ni śmierci, ni cierpienia. I odtąd przezwiał się głośno Buddą to jest Wszechwiednym. Czas stanął—zaczęła się dlań wieczność spokojna. Boć i czém męka jak nie tém, że istota umęczona myśli, że siebie traci, że łamie swoją wolę, że jój ciało niszczy? Czémże ból dla tego, co wie, że trwanie bólu niczém i ledwo chwilą w obec wieczności, że po bólu i po śmierci przyjdzie tysiąc odrodzin dla tego co tysiąc, tysiąc tysięcy żywotów i piękno nieskończone i niewysłowioną błogość wszechrzeczy, ma i trzyma i dzierży w przeszłości, w terażniejszości, w przyszłości, bez początku i końca, bez prawdziwej odmiany, wśród przestrzeni bez końca, wśród nieskończoności wiekuistego pokoju. Dla tego co widzi wszystko, ni myśl nie powstaje, ni troska; jest tylko w ciszy wszechwiednie, a w wszechwidzeniu miłość wielka, litość nieskończenie błoga, podobna do woni kwiatów, i rozkosz w której się człowiek rozplęwa. Lecz jeszcze i wtedy, gdy człowiek własnej świadom rozkoszy, gdy się cieszy wszechwiedzą, gdy czuje swoją wszechmiłość, nie jest Buddą, nie przyszedł do granicy samolubstwa, nie wszedł do Nirwany, do tego co zgasło, do tego czego niema, do tego kędy nikt się nie rodzi i nikt nie umiera, jeno wszystko trwa, lubo nie jest. I o tém nietrzeba pamiętać że się niepamięta o sobie—trzeba przestać istnieć naprawdę by dostąpić wiekuistego zbawienia. I stało się: Sakia Muni nie czuł już siebie, nie czuł własnych uniesień i własnej litości; jako Budda wiekuisty, jako Bóg nad bogi poszedł nawracać ludzi. Widzieli go ludzie jako wśród nich przybywał, jako uczył że wszyscy równymi, że wszyscy wszystkich kochać winni, że wszyscy mogą dostąpić zbawienia gdy usłuchają słów jego a zapomną o sobie. Wiedziano, jako chodząc, w ciele jeszcze, nietylko wyrzutków wśród ludzi, których się Bramin świętobliwy tknąć nieważył, ale nawet zwierzęta, nawet nieme rośliny nawracał słowami nieskończonej miłości z wiekuistym spokojem na twarzy: ale on naprawdę już był w wieczności, w nicości, poza tém wszystkim co jest.

Nie dziw, że w chwili w której mąż odważny nadmiarę, wymowny, a podobno i cudotwórca, Indyom zwiastował, że dla wszystkich bez wyjątku otwarta droga do zbawienia, i to bez Bramińskiej katuszy, In-

dye słuchoły jakby zaczarowane; niedziw, że wtedy gdy ludziom podzielonym na kasty, kazano się kochać dla wiecznej rozkoszy, gdy Braminom kazano poprzestać dobrowolnej męki, gdy znał głowy dumnych Kszatryów zdarto wyższą kapłańską kastę, i zgruchotano krępujący dla nich obyczaj, gdy Wajszyi dano czytać świętej księgi i wiedzieć i kochać i być spełna człowiekiem; gdy wreszcie Surasom i Czandalom i Paryasom prawiono o wszystkich równości i miłości wspólnej rodzaju ludzkiego; gdy wszystkim powiedziano, że mogą się uwolnić od zmory żywotów bez końca: niedziw, powiadam, że wtedy wzniósł się w Indostanie od granicy do granicy wielki okrzyk radości.

Już za życia Buddy nawróciły się całe narody; rodzina jego cała przyjęła jego naukę, i krocie obrały sobie drogę zbawienia. Niewiasty i męże, żona Buddy i jego siostry, i minister pierwszy króla Suddhoda-ny przyoblekli na siebie płaszcz żółty, ogolili sobie głowę, wzięli garnek do ręki, wyrzekli się mienia, rodziny, znaczenia, kasty swojej i nawet osoby, i rozeszli się po świecie, żyjąc jałmużną i rozgłaszając słowo Buddy. Wszyscy w miłosierdziu szukali zapomnienia i Nirwany, wszyscy powtarzali sobie z podziwem powieść o cnotach Buddy i o jego cudach. Nigdy może potem nie miała nauka nicości tak żarliwych, i tylu świętych, i wydało się że ogromne Indye, roisko tylu narodów, podbiła już za życia założyciela. Dokoła figi w Uruwilwie roili się pielgrzymi, a choć złość ludzka nie ustała, choć nieprzestano prowadzić wojen i pełnić zbrodni, mogło się zdawać, że niedługo wszystkie narody podążą do zbawienia i świat zgaśnie.

Przed śmiercią Buddy napadł nieprzyjaciel na jego ojczysty gród, na Kapilawastu, i zamordował wszystkich z rodziny co nie przyjęli zakonnej szaty. W noc po rzezi zjawił się Siddharta, na miejscu gdzie pędził młodość swoją wśród błędu i ułudy i ujrzał rumowisko, a na rumowisku dziewczę to konające, ohydnie skaleczone, a w pierw znieważone ohydniej jeszcze. Były to królowne, rodzone wnuczki owego Siddharty, co przed laty uciekł z zamku pokryjomu, córę króla Ruhali, syna zbawiciela Indyi, a dziś już trupa. Mówię, że gdy Budda ujrzał ten widok okropny, zeszedł z Nirwany; mówię, że nie wszechmiłość nieosobista przymówiła, że przymówiło ludzkie dziada serce, i że zapłakał. A wreszcie przysiadł przy zohydzonych, konających i zaczął im szeptać coś o własnem ich bóstwie, o wszechmiłości, wszechpokoju, wszechradości, i mówił póty aż ból ich nieustął, aż nieuradowało się serce, i aż wreszcie niezgasło w pokoju wiekiustym.

Wreszcie siadł znów starzec pod figą w Uruwilwie. Miał lat ośmdziesiąt. Przyszła już nań ta starość, przed którą zadrzał jako król-wicz za młodu, ale nie była mu ani strachem, ani ciężarem; i przyszła śmierć na Siddhartę, ale dla Buddy śmierci nie było. W postawie w której zwykł był marzyć, przestało żyć ciało, a Budda nie przestał być wśród swoich, poza czasem, w nieskończoności. Przyklekli dokoła uczniowie czując, że pan ich ze wszystkim już zwyciężył śmierć, i z kniei wyleciał zwierz wszelki, by klęknąć przed Buddą. Tygrys



straszliwy był u stóp zmarłego i lizał je, słoń ciężki, mądry, czarny ugiął swoje kolana, podniósł we czci trąbę i spuścił ją, a uderzył czołem przed tym, co weszedł do zbawienia. Cicho z gałęzi drzewa spuściły się małp roje, by uczcić boga nad bogi, i ptastwo umilkło; papugi nawet latały w skrusze dokoła przenajświętszego. Zadrzała wreszcie ziemia, otworzyło się niebo, i zewsząd zpod ziemi, z powietrza, ze świętej góry Meru, lecieli bogowie i boginie, leciały ludożercze duchy, zastępowali w powadze święci Bramini z bogów wieku, owi Maharidzi co siedzieli przy Bramie. Wszyscy przyszli bić czołem przed Buddą; a wreszcie i sama trójca najwyższa, Brama, Wisznu i Siwa zjawiła się widomie; w trzech osobach jaśniejących pod drzewem figowem i we czci i skrusze padła na twarz przed umarłym co być przestał.

Taki oto koniec podania o Buddzie. Ale jakież były losy jego nauki? I o ileż to prawda, że większa część świata podług niej żyje?

Skoro Siddharta umarł, wzięto się naukę jego systematyzować i kodyfikować a słowa jego spisywać, zaczęto prawić o nim cudowne, czasem wzniosłe, a częściej niesmaczne lub śnieszne nawet podania, i ustanowiono całą hierarchią jego sług. Niedługo, a wyłobiono wszędzie w Indjach w żywej epoce ogromne pieczary, wśród których ustawiono olbrzymie posągi Buddy. Przy nich założono klasztory męzkie i żeńskie, gdzie wielka część tych, którzy gonili za zbawieniem przepędzała życie na pieśniach i rozmyślaniu gromadném, podczas gdy inni wierni obiegali świat jako żebracy z ogoloną głową, albo zachodzili nawet wiedzeni miłosierdziem między ludy barbarzyńskie, by im okazać drogę do zbawienia. Uczniów i uczennice podporządkowano pod uczenie obmyśloną hierarchią, i zaprowadzono ogromny rytuał, podobno w wielu rzeczach podobny do katolickiego, o tyle, o ile sam Buddaizm ma pozorne podobieństwo do Chrześcijaństwa.

Ale także okazało się niezadługo, że niepodobieństwem było, by wszyscy zastąpili na drogę zbawienia; mimo nauki Buddy świat chciał żyć. W chwili gdy ją najpierw wygłoszono, mogło się zdawać, że będzie dla wszystkich oswobodzeniem, ale wnet ujrzano, że ogół wołał już suchą Braminów dyscyplinę, i wielkie Braminizmu widzenia. Jakżeż się wszyscy mieli wyprzeć rodziny i wszelkiego ziemskiego szczęścia? Jakżeż się wszyscy mieli oddać rozmyślaniu tylko i nauce? Wszak wołała młodość kochać i patrzeć na świat piękny, wszak starość wołała szukać pociechy wśród rodziny. A poza zakonem nie było zbawienia. Buddaizm nie mógł być wiarą narodów, skoro świeckim nie podawał ręki, skoro szło mu o zagaszenie wszelkiego życia, a świat żyć pragnął.

Świeccy, którzy chcieli zarobić na jaką taką łaskę, nie mieli do kogo się udać, póty póki nieściągali Buddy z Nirwany, póki sobie nie zrobili z niego Boga co się cieszy ofiarami, i lubi wspaniałe obrzędy, a opiekuje się tymi co dla jego świętych stawiają kościoty, i potem daje im ziemskie łaski, gdy niebieskich dać niemoże. To też królowie Indyi sadzili się czas jakiś na wspaniałe datki dla Buddy i zakonników, i gdy Chińczyk Fa-Hyan jeździł po Indjach, podziwiał szczodrość kró-

łów niby nabożnych. Wiedział, jakie sypano ogromne góry z kwiatów naokoło wspaniałych wież świątynnych, tak, że wieża wreszcie znikała pod kwieciami wonnym, jedną ofiarą miłą temu, co świat umiłował i bał w Nirwanie. Ale ofiary te dawano by żyć, a nie by zgarnąć, a dawano temu o którym niewiedzano czy jest czy go niema? Nielepijże było zostać Kszatryą dumnym, pełnić zakon królewski, i po chwili niezbyt długięj stać się Braminem. i potem bogiem biesiadującym na górze Meru?

Buddaizm nigdy Braminizmu w Indjach nie zwyciężył. Nie próbował tego nawet. Nawoływał tylko pewną ilość wybranych do tego by szukali zbawienia, mimo to, że nie byli Braminami, i znajdował opiekę u cesarzy Indji z rodu Sandragupty, co władali po Aleksandrze Wielkim, a byli z rodu nie Kszatryami, jeno niewolnikami Sudrasami. Władcy ci znieawidzeni od Braminów szukali podparcia na mnóstwie mendiaków nowych zakonów, których wzbogacili do tyła, że ludzie nieszli już do bonzeryi czyli klasztoru na to by żyć w czystości, wstrzeźliwości i ubóstwie, ale dla bardzo ziemskiej rozkoszy. Mimo to takie mnogie klasztory posiadające mądrą organizacyę i sparte o rząd, byłyby mogły wyprzeć Bramanizm arystokratyczny, gdyby stanowiły naprawdę religię, i gdyby mogły dać jakąkolwiek pociechę ludziom świeckim, a więc zawsze większości narodu. Ale nauka ta była w tym względzie niemocną, nieznając zbawienia poza klasztornym życiem, i w miarę jak bonzowie bogacili się, tracili na wierze, tracili na wpływie. I sami bali się starych bogów, których Buddaizm bynajmniej nieznosił, a lud coraz liczniej gromadził się dokoła Braminów tak, że nastąpiła nareszcie gwałtowna rewolucya. Król nowy prawowierny zamknął świątynie Buddy, jeżeli można tu na prawdę o świątyniach mówić, i zaczęło się krwawe prześladowanie mnichów, których wytępiono co do nogi, albo rozpedzono na cztery wiatry. A skoro mnichów nie stało, nie stało w Indjach i Buddaizmu. Zostały na placu tylko dumny Braminizm i krwawe zabobony niższych ludów, których Braminizm nie dopuszczał do swojej świątyni.

Buddaizm okazał się tedy w Indjach zupełnie bezsilnym. Trwa natomiast do dziś dnia na wyspach oceanu Indejskiego, w Tybecie, Koczinchinach, Chinach, Mongolii i nawet u Kałmuków nad Wołgą. Trwał do niedawna w Japonii, gdzie jednak w oczach naszych stopniał jak śnieg; ale nigdzie i nigdy prócz Tybetu i Cejlonu nie stał się religią taką, jaką jest chrześcijaństwo, żydowstwo, mahometanizm i bramanizm, ani nawet taką jak wiara ludów klasycznych, albo ludowy politeizm Chin i Japonii.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## Antoni Oleszczyński.

PRZEZ

*Sewerynę z Żochowskich Duchnińską.*

Z nieśmiałością przystępujemy do życiorysu naszego znakomitego artysty. Jakże tu skreślić w szczyptach ramach dziewięćdziesięcioletni żywot męża, tak wielkiej a tak różnostronnej zasługi, który w ciągu lat z górą sześćdziesięciu uprawiał sztukę z najgorętszą miłością; widział w niej bowiem nietylko balsam na rany serca, ale co więcej, potężną dźwignię do wydobycia z duszy ludzkiej wzniosłych uczuć, rodzących wielkie czyny.

Jeden z poetów naszych określił tę niezmordowaną działalność zacnego pracownika w wierszu mu poświęconym:

Tyś krzepkiemi wyniańczył ramiony  
Trzy pokolenia sierot, bo jak dąb zielony  
Tuli chwiejące płonki wśród burzy i spieku,  
Ty na czatach serc naszych stoisz od pół wieku,  
Ze ich słota nie zziębi, ni grom nie dosięże.  
A jednak ty niańczysz niewiasty i mężę;  
Jedne gody u Twego zastawiasz im stołu:  
Pospołu je miłujesz i uczysz pospołu!

Prace Oleszczyńskiego, znane powszechnie, były szczerem wpływem jego uczuć. Umiał on podnosić krążące w czasie zagadnienia do idealnych wyżyn. Któż nie wie, że większą połowę życia artysta nasz spędził na obcej ziemi, w społeczeństwie bezustanną miotanem burzą. O ile te burze wpływały na rozwój talentu naszego rytownika, o tyle znów on wpływał na ich uspokojenie, wskazując walczącym wyższe widnokreśli i wołając: *sursum corda!*

Z nieśmiałością, jak powiedzieliśmy, przystępujemy do skreślenia życia Oleszczyńskiego; bez wahania jednak spełniamy tę świętą dla nas powinność; długoletnia bowiem przyjaźń pozwoliła nam wnikać w tajniki tego pięknego życia; mamy przytém pod ręką liczne materiały, których wskazanie samo, ułatwić może zdolniejszym od nas podjęcie tak ważnego zadania.



## I.

Data urodzenia Antoniego Oleszczyńskiego smutna i pamiętna zarazem: przyszedł na świat w początkach roku 1794. „Nie oznaczam téj daty (pisze on w księdze pamiątek, przemawiając do dzieci swoich), ona mi zbyt bolesną, nie dlatego, że mi przypomina liczbę lat spędzonych w pracy, w czczych ułudach, zdala od ojczystego gniazda, lecz że w tym roku zaszły najboleśniejse w dziejach naszych wypadki.“

Miasto Krasnystaw, w którém urodził się Antoni, należało do działu austriackiego; ojciec urzędował tu jako sędzia. W lat dwa dopiero po zajęciu téj części kraju, Austriacy weszli tryumfalnie do Krakowa; dział zajęty przez nich otrzymał nazwę Galicyi.

Trzechletnie dziecię nie pojmowało znaczenia zmian zaszłych pod jego okiem. Widok przecież wojsk, wchodzących do Krasnegostawu przy odgłosie trąb i huku bębnow, wraził się tak mocno w jego umysł, że chwili téj nigdy nie przepomniął.

„Janczarska muzyka, pisze on, taką napełniła mnie radością i ciekawością, że począłem napierać się by okna otworzono. Ojciec surowo mnie odepchnął, kazał nawet przymknąć okiennice, a sam usiadł smutno obok matki.

Wkrótce potém ojciec otrzymał urząd sędziego w mieście Kurowie. Pojechał tam z żoną dla objęcia posady; mały Antoś został w Krasnymstawie u swéj matki chrzestnej, pani Morawskiej. Piękna to była postać! Wdowa po majorze, poległym w r. 1794, zawsze okryta żałobą, aby tém lepiej uczcić pamięć drogiego męża, otworzyła dom swój dla skaleczonych i biednych jego towarzyszków. Poczciwa majorowa była dla nich matką i opiekunką. W długie wieczory zimowe gwarzyła z nimi przy ognisku o przeszłych i obecnych wypadkach.

Kilka miesięcy pobytu u zacnej majorowej nie przeszły dziecku napróżno. Kiedy matka urządziwszy się w domu, przybyła po niego i zabrała go do Kurowa, ojciec zdziwił się niepomału, widząc, że chłopczyk zna litery i liczby, że umie na pamięć *Ojciec nasz*, a nawet bajeczkę Krasickiego:

„Czego płaczesz? staremu mówił czyżek młody...“

W kilka dni po przybyciu chłopca, poprowadził go na plebanią. Był w Kurowie proboszczem znany ksiądz Piramowicz, oddany całém sercem wychowaniu dzieci; Antoś miał zostać w jego szkole.

Zacny pleban przyjął ojca i dziecię ze zwykłą uprzejmością. Widząc u chłopczyka zapłakane oczy, pogłaskał go po głowie, podał mu rumiane jabłuszko:

— Nie płacz, moje dziecię—rzekł—u mnie się nie znudzisz i nie zapracujesz. Znajdziesz tu takich jak ty swawolników; będziesz z nimi po lekcyjach baraszkował w ogrodzie.

Słowa te uspokoiły chłopczyka; zachęcony przykładem kolegów, uczył się pilnie: w rok potem umiał czytać, kreślił na papierze dosyć kształtne litery. Przeszedł czas na poważniejszą pracę.

Ojciec odwiózł go do Opoła, gdzie u księży Pijarów trzysta uczniów pobierało nauki. Chłopczyk pilnie się uczył; okazywał też niemałą zdolność do muzyki, z którą obznajmił go nadworny kapelmistrz księcia Lubomirskiego. W pierwszym roku, przybywszy na wakacje, z wielką radością ojca, zagrał mu na skrzypcach poloneza Kościuszki i zaśpiewał popularną w te czasy piosenkę:

Oj! biada nam, Mazury,  
Jakićj nigdy nie było;  
Drze nas Niemiec ze skóry,  
O czém nam się nie śniło.

Ow talent do muzyki nabawił chłopca niemałego kłopotu. Co niedziela śpiewał na chórze podczas mszy i nieszpórów: miły głosik jego zwracał uwagę i ściągał zasłużone pochwały. Otóż wypadały wkrótce imieniny księcia Lubomirskiego. Ksiądz prefekt napisał na tę uroczystość dramacik ze śpiewkami, przedstawiający ubogą rodzinę, którą dobroczynny książę wyrывa z nędzy. Główna rola przypadła Antosiewi. Zabrał się do niej z takim zapałem, że inne nauki musiały na tém cierpieć. Obsypano go wprawdzie oklaskami, ale w miesiąc po imieninach przyszedł roczny egzamin. Łatwo pojąć położenie biednego chłopca, kiedy obliczył się z sobą i przekonał, że nic nie umi. Szczęściem, ksiądz prefekt poczuwając się do winy, załagodził rzecz jak mógł: Antos postąpił do klasy wyższej, i zdwojoną pracą powetował wkrótce czas zmarnowany.

Postępując z każdym rokiem wyżej, student nasz dostał się do poetyki. Wielka była radość jego i duma, gdy mógł wypisać na każdym seksternie dewizę Horacego: *Poetis ei pictoribus omnia licet*. Często, mówi on, powtarzając ów sławny przywilej, przychodziło mi na myśl, że w połowie tylko mogę go do siebie zastosować, gdyż będąc *poetą*, nie jestem *pictorem*, zapragnąłem uczyć się rysunku, aby osiągnąć cały zaszczyt. Niestety, nie było wzorów, ani nauczyciela. Musiałem poprzestać na tém, co ksiądz Kolondowski mógł mnie wyuczyć: były to wymęczone arabeski i fantastyczne kwiaty.“

Rad z nabytą nauką, uczeń narysował na papierze wieniec, w środku skreślił list do rodziców. Ojciec w odpowiedzi na to, przysłał mu farby, wzory rysunków i kaligrafii, zalecając, aby na pismo szczególnie zwrócił uwagę. Posłuszny syn gorąco wziął do serca te przestrogi.

„Nakreśliłem, mówi on, kilka kartek pismem rozmaitego rodzaju; jedną z nich, która zarazem miała świadczyć o postępie w sztuce malarskiej, otoczyłem kaliną, barwinkiem i różami. Obraz był okazały, tylko nad jednem i niedostawało kropki. Gdym ją chciał dodać, kapnął z pióra atrament i posadził ogromnego żyda. Dalejże do bi-

buły! Atrament w nią utonął, lecz na papierze niezatarta została plama. Biegnę więc do księdza Kolendowskiego, błagam go o ratunek.

— „Nie troszcz się — rzecze zacny profesor — twój obraz nie na tém nie straci, a może nawet zyska. Na plamie umieszczę chrabąszcza.

„Uczył jak obiecał. Posłałem pismo z wieńcem; odebrałem od rodziców największe pochwały; ojciec upominał jednak, abym na drugi raz unikał podejrzanych chrabąszczyków.“

Nadszedł rok 1809: Antoni ukończył lat piętnaście. Od lat dwu w dziale Polski należącym do Prus, wielkie nastąpiły przemiany. Napoleon ustanowił Księstwo Warszawskie; Opole tymczasem zostawało w mocy Austryaków. Nagle dochodzą dziwne wieści... Zobaczymy, jak naoczny świadek opisuje tę ważną chwilę.

„Słyszemy już o Włodzimierzu Potockim, o Sokolnickim, o bitwie pod murami Sandomierza. Już Zamość wzięty, a książę Józef świeci jak gwiazda w powieściach. Razu jednego wychodzimy na przechadzkę ku Rudzie: przybyliśmy załedwie do stawu, aż tu widzimy dwu galopujących ułanów z chorągiewkami; trzymają w rękę pistolety odwiedzione do strzału.

— „A nie masz tam Austryaków?—wołają zdaleka.

— „Nie ma ich tu, nie ma, chwała Bogu! — krzyczymy całą zgrają.

„Byłaż to radość! Ułani zsiadają z koni, podają nam ręce, my okrążamy ich dokoła: dalejże witać i całować!... Niemogąc docisnąć się do nich, całujemy pałasze, strzemiona i kulbaki! Wydarli się wreszcie z rąk naszych, pomknęli wwał drogą do Józefowa.

„Nadciąga tymczasem wojsko, pyta uprzednią straż o Austryaków. My okrążamy znowu oddział, zmuszamy do spoczynku. Ułani szczęśliwi z naszego uniesienia, pozwalają nam dosiąść koni. Spostrzegamy nareszcie w szeregach kilku naszych kolegów, zbiegłych niedawno z Opola. Nalegamy gwałtem aby i nam pozwolono iść z nimi. Pułkownik Umiński pohamował nasz zapęd.

— „Panowie studenci! — zawołał — stańcie w porządku, mam wam coś ważnego powiedzieć. Miłe dzieci! chwałę wasz zapał; lecz my nie mamy koni dla was, a piechotą za nami nie zdążycie. Lepiej wam poczekać: dorośniecie wnet, a wtedy znajdą się konie, i my was całym sercem przywitamy w szeregach i poprowadzimy do boju; tymczasem wracajcie do szkoły!“

Biędni chłopcy stali jak wryci, łzy płynęły im po licach, kiedy wojsko dosiadło koni i wwał popędziło do Józefowa.

Czas mijał szybko na ławie szkolnej; nadeszły dla ucznia naszego ostatnie wakacje. Po ukończonych egzaminach, pożegnał ostatecznie księży Pijarów, z chlubnymi świadectwami pośpieszył do rodzicielskiego domu. Zastał ojca rozpatrującego się pilnie w kodeksie francuzkim, miał bowiem przenieść się wkrótce do Kazimierza, dokąd



otrzymał nominacją na podsędką i sędziego pokoju. Zajęty był niemniej dostawą żywności dla organizujących się pułków.

Ojciec przemyślał jak pokierować syna. W bliskości Puław mieszkał pan Dembowski, znany ze światła i wielkiej uczynności; do niego to postanowił udać się o radę. Zabiera więc wzory kaligraficzne, a między niemi najpiękniejszy z chrabąszczykiem i pośpiesza do Bronic. Był tam właśnie Stanisław Grabowski, sekretarz rady stanu, zięć p. Dembowskiego. Ów chrabąszcz łążący po piśmie, wpadł mu szczęśliwie w oko.

— Jeśli—rzecze—idzie o los chłopca, to ja biorę go do rady stanu na podsekretarza, z pensją 1,500 złotych. Za kilka tygodni niechaj przybędzie do Warszawy, gdzie jutro właśnie wyjeżdżam.

Pani Grabowska obecna temu, przyglądała się niemniej chrabąszczykowi.

— Zamawiam sobie—dodała uprzejmie—aby syn pański jak przybędzie do Warszawy, narysował coś podobnego w sztambuchu moim.

„Tak więc, mówi nasz artysta, chrabąszcz i kilka kwiatków dopomogły mi do rozpoczęcia kariery w najwyższej krajowej magistraturze, z niewymowną radością rodziców.”

Nazajutrz zaczęły się przygotowania do drogi. W tym celu sprowadzono Kiwę i Abrahama, dwóch najpierwszych w Kurowie krawców, zajęto się pilnie garderobą. We dwa tygodnie potem, pod opieką dawnego profesora, młodzian wyruszył do Warszawy. Tkliwie opisuje chwilę pożegnania z rodzicami.

„Ostatni wieczór mój w Kazimierzu bardzo był smutny. Matka płakała, ojciec krzątał się lub pisał listy. I jam się zamyślił i zatrwożył; co będzie ze mną, pytałem, w dalekich, nieznanym mi stronach; kto wie, czy się tam przydam, czy potrafię podobać.

„Rankiem zaszała bryczka; upadłem do nóg rodzicom, dziękując im za dobrodziejstwa. Matka zanosila się od łez, sam nawet ojciec ocierał oczy ukradkiem; służba płakała rzewnie. Gdym miał już siadać, ojciec z błogosławieństwem oddał mi listy, a z nimi piętnaście dukatów, zalecając pobożność, oszczędność, wstrzemięźliwość i pracowitość.”

Nazajutrz młodzian z mentorem swoim przybywa do Warszawy. Odurzał, jak mówi, na widok pałaców, kościołów i snujących się karet. Z bijącym sercem idzie do p. Grabowskiego, powtarzając sobie w duchu: „obiecanka, cacanka, niemądremu z niej radość.” Szczęściem nie sprawdziło się przysłowie. Sekretarz rady stanu przyjął go najuprzejmie; polecił, aby pojutrze stawił się w kancelaryi.

Dwa dni szybko ubiegły. Mentor oprowadzał młodziana po ulicach Warszawy, najął mu izdebkę i stół na Starém Mieście; wieczorem poszedł z nim do teatru, grano operę: [*Kamilla* czyli *Loch podziemny*]. Łatwo odgadnął jego zachwyty.

Otrzymałszy od rządu jakieś pilne zlecenie, mentor zmuszony był przyspieszyć wyjazd. Antoni ledwie miał czas nakreślić na kolanie kilka słów do rodziców; styl ich przypomina dzisiejsze depesze telegraficzne. „Zdrów jestem. Piękna Warszawa. Hałas w niej wielki. Byłem na teatrze. Jutro wchodzę do obowiązku. Prosi o pamięć syn przywiązany, Antoni urzędnik w biurze rady stanu Księstwa Warszawskiego. 3 sierpnia 1810 roku.”

Ojciec uszczęśliwiony z listu, wyprawił ucztę dla przyjaciół. Podczas gdy spełniano toasty za zdrowie i pomyślność urzędnika, siedmastoletni podsekretarz z trwogą i nieśmiałością przystępował do obowiązków swoich. Wytworne pismo dobrze go zarekomendowało naczelnikowi, ale młodzi koledzy szydzili bez litości z potulnego Lublianianina; długi surdut, arcydzieło Abrahamka i Kiwy, był przedmiotem żłośliwych żartów.

Inne części ubrania grzeszyły też anachronizmem. U płaszcza jeden był kołnierz, w Warszawie zaś noszono trzy kołnierze; frak za mało podcięty nie miał nawet świecących guzików, a moda surowo ich wymagała. Młody urzędnik czuł się na każdym kroku upośledzonym, postanowił też zażartować z kolegów i za pierwsze pieniądze otrzymane z pensji, wystrychnąć się na prawdziwego Warszawiaka.

Mija tymczasem miesiąc jeden, drugi i trzeci, a pieniędzy nie można się doczekać. Skarb publiczny wycieńczony na wojsko, nie był dość regularnym w opłacie cywilnych urzędników. W trzy miesiące jednak Antoni odebrał zaległą pensję; zabrał się natychmiast do zreformowania garderoby, dawną odesłał młodszemu bratu do Opola.

Biuro rady stanu składało się z młodych paniczów, umieszczonych tam przez protekcję. Wszyscy wychowani byli wytwornie. „Każdy z nich, mówi Antoni w pamiętniku, lepiej znał odemnie Roussa, Woltera i Rasyna, a przecież wielu pisało po babsku, na czém cierpiała biórowa służba. Pilniejsi i zdolniejsi w pracy byli nią przeciążeni. Sekretaryat, aby zaradzić temu, zreorganizował biuro. Z trzydziestu wybrano dziesięciu, innym dano odprawę. Jam był pomiędzy wybranymi; podwoiłem też starań, aby na dymisyą nie zasłużyć.”

Niezbyt uciążliwa służba pozwalała mu rozporządzać codziennie kilku godzinami. Ojciec nalegał w każdym liście, aby w chwilach wolnych prowadził dalej nauki, zalecał mu szczególniejszą naukę prawa i administracyi.

Młodzian nie tracił czasu. „Do sądownictwa, mówi on, czułem odrazę, jednak posłuszny ojcu, nie opuściłem żadnej lekcyi księdza Szaniawskiego. Co do administracyi, Bandtke i Surowiecki, a później Krysiński, wykładali kurs zajmująco. Słuchałem także mineralogii Hoffinana i chemii Celińskiego; prócz tego uczyłem się grać na fleciku od Lanckorońskiego, tańca od Żorza i Ledu. W tej sztuce tak postąpiłem, że najtrudniejsze piżony, brize, antrsza, którómi moda zdobiła kontredanse, wykonywałem z nadzwyczajną łatwością.”

Z powodu ówczesnych tańców, znajdujemy w pamiętniku wyborne ich porównanie z dzisiejszemi; przytaczamy ten malowniczy obraz.

„Dziś tancerz zgarbiony, posuwa się naprzód powoli, jakby za pańszczyznę, panna zaś chodzi zamyślona jak desperatka; dawniej tak się tańczyć nie godziło!

„Grzeeczny i żywy młodzieniec trzepał przed panną nogami, jak wietrzny motyl skrzydełkami; to podawał rękę, to wił się w piruetach około niej, a wszystko pod miarą, z wyrachowaniem i w formach zalotnych. Panna zaś w swych podskokach, to krzyżowała nóżki, to je wyrzucała przed siebie, a czasem jak fryga na jednym palcu wykręciwszy się, podawała rączkę swojemu motylowi, rzeżko prowadząc go ku parze naprzeciw stojącej.”

Trudnym był ówczesny taniec, ale młodzian nasz pokonał wkrótce te trudności. Jeśli kontredans szedł mu gładko, cóż powiedzieć o tańcach narodowych? Zobaczmy jak opisuje salonowe swoje tryumfy. „W jednym domu grywałem dueta, w innym akompaniowałem przy fortepianie; tu rysowałem wzorki do haftu, tam prowadziłem rej w mazurze; byłem też kochany i poszukiwany: zjednałem sobie nietylko szacunek, nietylko przyjaciół, ale nawet kochankę! Była nią Franusia Adelt, miła, czuła i rozsądna panienka.”

O tém wszystkiém, prócz o kochance, młodzian doniósł w liście rodzicom. Matka ucieszyła się szczerze, ale rozsądny ojciec uląkł się nieco tych *sukcesów*. „Nie ganię ja tańca, pisał on, na wielkim świecie nie przystoi być niedźwiedziem; lecz tej gimnastyki nie trzeba posuwać do zapamiętałości. Zbyteczny taniec odbiera siłę i czyni młodzieńca lekkomyślnym.

„Donosisz mi o licznych znajomościach, dodaje ojciec; mnie to pochlebia że cię kochają nie z łaski, lecz dla różnych talentów twoich. Lękam się tylko, abyś się nie wplątał w *romanse* i nie został tkliwym i wzdychającym bałamutem. Liczę przecież na twój rozsądek i przywiązanie do rodziców, że ich lekkomyślnością nie zasmucisz!”

Słowa te nie były pustym dźwiękiem. Posłuszny syn postanowił oderwać się od miłej Franusi, kiedy niespodziewany cios wstrząsnął życiem jego tak dotąd swobodnym i szczęśliwym. Nagle dochodzi go wieść o śmierci ojca. Rażony jak gromem pośpiesza co tchu do matki; zastaje ją słabą, przygnębianą, niepodobną do siebie. Położenie jej przecież nie było rozpaczliwe; majątek acz mały wystarczał na wychowanie dwu młodszych synów i trzech dorastających córek.

Zaspokojony o matkę, Antoni wraca do Warszawy; wtém powstaje wojenna burza. Napoleon ciągnie na Północ, wiedzie z sobą nieprzeliczone chmary. Jesień zbiega w oczekiwaniu, nadchodzi zima, straszna, pamiętna w dziejach zima!

„Wkrótce, pisze on, słyszymy o odwrocie. Już lazarety nasze zapełnione stosami rąk i nóg odmrożonych, gościńce zastane chmarą zgnędziałych niedobitków, pokonanych głodem i mrozem, w odzieży podobniejszej do zapustnego przebrania, niżli do mundurów wojsko-



wych. W Warszawie popłoch: rząd i rada stanu wyjeżdża do Torunia, bióra otrzymują urlop nieograniczony."

Antoni pośpiesza znów do matki; tam przebywa czasy zamętu. Odbiera wreszcie list od dawnego kolegi Brodowskiego, z uwiadomieniem, że w Warszawie ustanowiony rząd tymczasowy pod prezydencją księcia Lubeckiego, Wawrzeckiego i Nowosilcowa; że dawne bióro rady stanu organizuje się na nowych prawach; niech przybywa zatem, jeśli nie chce utracić miejsca!

Posłuchał rady: zasiadł przy dawnym stoliku i pracował tak gorąco, że w krótkim czasie pensya jego wzrosła do 2,500 złotych. Przyszłość rozwijała się przed nim, ale wrodzony popęd pchał go na drogę artystyczną. Potrzeba było zewnętrznego potrącenia, by go zwrócić na nowe tory. Zobaczmy jak opowiada ów przełom stanowczy w jego życiu.

„Pojawiły się z niesłychanym tryumfem *Spiewy historyczne* Niemcewicza. Rozrywano je, uczono się na pamięć. Zachwycony niemi, odczytałem je kilkakrotnie. Tam na stronnicy 21 szczególną uwagę zwróciłem na przypisek, w którym Niemcewicz skarży się na przeciwności jakich doznał, z powodu rytowania za granicą dołączonych do tekstu rycin; dodaje nakoniec: „Czemu też który z ziomków naszych, nie poświęci się tak pięknej sztuce?”

„Słowa te utkwiły w myśli mojej. Postanawiam uczyć się rytownictwa, niemając żadnego pojęcia o tój pracy; chciałbym puścić się w obce kraje, powrócić rytownikiem, na tój drodze pracować dla ojczyzny!

„Gdyby żył mój ojciec, dodaje, byłby może powstrzymał ten gorączkowy zapęd, byłby mi przypomniał aforyzm Hipokratesa: *Vita brevis, ars longa*, byłby mi dowiódł, że zapóźno rozpoczynać sztukę od abecadła w dwudziestym trzecim roku, że nie godzi się powierzać losu swego ideałom, choćby nawet szlachetnym, bez głębokiego zastanowienia. Słyszałem to wprawdzie od przyjaciół, lecz ci niemieli ojcowskiej powagi, ani ja synowskiego dla nich posłuszeństwa!”

Stała jeszcze na drodze wielka trudność: zkąd tu wziąć zasobu na podróż? Aż oto cesarz Aleksander przybywa do Warszawy i ogłasza Królestwo Polskie. Sypnęły się nagrody na urzędników; z bióra rady najwyższej przedstawiono trzech, w liczbie ich był Antoni Oleszczyński. Zapytano ich z boku czego pragną? Jeden prosił o wyższy urząd, drugi o krzyż: Oleszczyński pragnął jedynie środków do uczenia się sztuki rytowniczej. Otrzymał bez trudności wstęp do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, a przytém sto dukatów na drogę.

Uszczęśliwiony podaje się do dymisyi. Znajomi w krzyk; jedni obwiniają go o dziwactwo, drudzy utrzymują, że mu piątą klepkę niedostaje. Zatrwożona matka napomina go w liście, że porzuca honorową służbę dla rzemiosła *uposledzającego familią*. Sam Niemcewicz, dowiedziawszy się, iż jego przypis tak zawrócił głowę młodemu urzę-

dnikowi, zaniepokoił się widocznie. „Zachęcałem, rzekł, do tej pracy młodych malarzy, utyskujących na brak zarobku, lecz nie ludzi mających pewne już stanowisko. Nie moja wina, że ktoś mnie źle zrozumiał. Zresztą może ten błąd i nam i jemu wyjdzie kiedyś na korzyść.”

Sto dukatów wręczono bez zwłoki przysłanemu artyście. Pilno mu w podróż; nie tracąc chwili, śpieszy po błogosławieństwo do matki. Zastaje ją w kłopotach gospodarskich: nabyła bowiem wioskę pod Kazimierzem. Matka nie wiedziała nic o zasiłku.

„Biédaku, rzecze do syna, o czémże ty pojedziesz tak daleko? Uciulałeś zapewne z jakie kilkaset złotych, lecz to nienadługo wystarczy. Jam w tej chwili uboga: oto wszystko co ci dać mogę!”

I wyjęła z szufladki trzy dukaty obwiniete w papierek, wsunęła je w rękę synowi. Oczy jego zabiegły łzami.

— Matko!—zawoła—bogatszemu podzielić się z uboższym! Gdybym coś przyjął od ciebie, to jakbym kościół okradł!

Rzekłszy to, wydobywa z kieszeni pełną kieszkę, i tryumfalnie zadzwonił złotem.

— Mam tu—rzecze—sto pięćdziesiąt pięć dukatów: na ubranie wydam dwadzieścia, na podróż wystarczy trzydzieści, dziesięć zachowam na nieprzewidziane wypadki; bierz, matko, połowę moich skarbów: od tego nie odstąpię!

Matka odmawia; walka trwa długo; łzy syna rozbroiły wreszcie jej opór: bierze z kieszi dwanaście dukatów.

— Nie dąsaj się kłótniku—rzecze głęboko wzruszona—skoro chcesz przyjmuję, to złoto; znajdziesz je u mnie jak cię Bóg szczęśliwie przyprowadził

Nadeszła chwila rozstania. Płacz matki, sióstr i domowników rozlega się o ściany. Zajeżdża bryka; w dziedzińcu słychać krzyk przeraźliwy. Antoni biegnie do okna, widzi jak najmłodszy z rodzeństwa Władysław, uzbrojony sękatym kijem, odgania woźnicę od domu.

Uspokojono dziecko. Młodzian odjechał wzmocniony błogosławieństwem dobrej matki. Po krótkim pobycie w Warszawie, puścił się w wielką podróż.

## II.

Pełen otuchy, z wiarą w przyszłość, młodzian nasz pośpiesza w świat daleki, nieznany. Zatrzymuje się chwilę w Tykocinie, ze czcią odwiedza tu pomnik Stefana Czarnieckiego. W Grodnie ściga myślą wspomnienia przyrosłe do murów nieszczęśliwego grodu. Zbliża się nakoniec do Wilna. O kilka mil ztąd, w pustej karczmie żydowskiej spotyka się z innym podróżnym. Spotkanie to silnie oddziało na całą jego przyszłość; powtórzmy ten ustęp z pamiętnika.

„Karczmarz zapowiedział, że niema nic prócz wódki i chleba razowego. Smutny zasiadłem w pierwszej izbie, aż tu spostrzegam w dru-

gięj służbę żwawo się krzątającą. Wreszcie staje we drzwiach jakiś podróżny, dobywa lornetkę, patrzy na mnie badawczym wzrokiem i odchodzi. Po chwili zbliża się do mnie sekretarz, z całą oględnością wypytuje kto jestem, gdzie jadę? Odpowiedziałem na pytanie; widzę tymczasem jak służdy dobywają stołowe srebra, znoszą ciasta, mięso i rozliczne przysmaki. Głód mój podniecony tym widokiem, daje się uczuć coraz dotkliwiej. Wreszcie sekretarz przystępuje znów do mnie.

— Pan generał Pac—rzecz—prosi pana na kolacyą.

Przyjąłem uprzejme wezwanie. Zaspokoiwszy głód wyborym indorem, zaczęliśmy rozmawiać.

— Przebacz pan że go pytam—zagadnie generał—poco jedziesz do Petersburga?

— Sztuka rytownicza—odrzekłem—zaniedbana u nas; pragnę jej się oddać i jeśli Bóg pozwoli, służyć krajowi memu rylcem!

— Zamiar chwalebny!—odpowie Pac—i sztuka pigkna; lecz nadzwyczaj mozolna: rozpoczynać ją w twych latach, panie, kto wie czy nie zapóźno!

— Wiem o tém, panie generale, ależ popęd mój tak gwałtowny: wstrzymać go niepodobna."

— Jeżeli tak, popróbuj szczęścia, nie chcę cię zrażać; radbym jednak widzieć twoje prace, gdy ukończysz nauki.

„Słowa te, wyrzeczone z nieufnością, ubodły mnie i zatrwożyły. Ruszyłem w drogę z ciężkim sercem; proszę Boga, aby mi pozwolił zemścić się w przyszłości na Pacu."

Pod Petersburgiem w Gatchynie nowa niespodzianka. Brakło na poczcie koni do przeprzegu, miały być za godzinę. Chwile oczekiwania w izbie zimnej, wilgotnej, pustej, nie rodzą błogich myśli; cóż dopiero kiedy podróżny zbliża się do nowych miejsc i obcych ludzi z tęsknotą i niepokojem. Wszystkie złowrogie przepowiednie kolegów warszawskich, trwożliwe słowa drogiej matki, ostrzeżenie Paca, stanęły mu naraz w zgorączkowanej wyobraźni, jakby dręczące widma, powtarzając chórem straszliwą wróżbę: zapóźno, już zapóźno! Ale młodzian miał przy sobie talizman, jakim Orfeusz zaklinał niegdyś czarne smoki; dobywa z zanadrza flecik, wygrywa kantatę z Przerwanéj ofiary; pod wpływem melodyjnych dźwięków otucha wstępuje mu do serca. Umilkł: wtém drzwi otwierają się nagle, wchodzi do izby człowiek postaci poważnej i ujmującej. Po zamienieniu pierwszych słów, dowiadyuje się, że młody podróżny jest Polakiem, przemawia doń ojczystrą mową.

— Oczarowałeś mnie pan—rzecz—pozwól niech się odpłacę po swojemu. Dziś, wyjeżdżając z Petersburga, zostawiłem dom mój ogrzany; zajedź tam, proszę, jak do siebie: moi służdy i konie są na twoje rozkazy.

I nie czekając na odpowiedź, wydziera kartkę z pugilaresu, kreśli ołówkiem zlecenie do plenipotenty. „Proszę oddawcy téj kartki dać wszelkie wygody w moim domu, póki będzie tego potrzebował. Chciéj



mu wszystko ułatwić; brat mój niech go oprowadzi po mieście." I podpisał: „Rupejko.”

Młody podróżnik miał zaledwie czas podziękować za uprzejmość, Rupejko odjechał w dalszą drogę; Oleszczyński pośpieszył do Petersburga.

Wkrótce kołacze do wskazanego domu. Lokaj spojrzawszy pogardliwie na podróżny kozuch i kapużę, zatrzymuje go w przedpokoju. List do plenipotenty zmienia zupełnie postać rzeczy. Przeżył, mówi, dwa tygodnie istnie jak sybaryta. Brat Rupejki obwoził go po mieście; plenipotent doprowadził go do ministra i władz akademickich.

Pełnoletni uczeń zamieszkał w pośród dziatwy. Akademia liczyła trzystu uczniów, pomieszczonych na koszcie rządowym, kurs rozłożony był na lat dwanaście. Po pierwszej próbie, złowrogie potwory stanęły mu znów w wyobraźni i szepnęły chórem: *zapóźno!*

Zobaczmy jak sam opowiada początkowe mozoły szkolne.

„Gdy mnie wprowadzono pierwszy raz na salę rysunkową, ujrzałem z podziwem dwunastoletnie dzieci, rysujące z oryginału piękne głowy, figury i całe grupy. Ja, dwudziesto-trzy letni kolega, wydałem się w pośród nich patryarchą, póki nie wziąłem krędy w rękę; pokazało się jednak, że byłem najmłodszym, gdy przyszło narysować oko. Oswojony z okiem dalejże kreślić nosy, uszy i usta, a potem całą głowę. W trzecim miesiącu wystawiam wreszcie na publiczny egzamin, pracę dokonaną z wielkim mozołem. Niestety! rysunek mój otrzymał numer trzydziesty!

„Przerażony zapytuję sam siebie, ile to trzeba czasu, by przejść do numeru pierwszego? ile pracy, aby od figur dobrać do natury, wyuczyć się anatomii, perspektywy, geometryi, archeologii i innych pomocniczych nauk? Aby nakoniec poznać się ze sztuką rytowniczą, przejść wszystkie kratki, strychy i punkta i skleić coś własnego, coby zasłużyło na uznanie? Mniemałem, że na to potrzeba co najmniej lat stu! Uniesiony rozpaczą, biegnę do ministra Sobolewskiego, pokazując mu nieszczęśliwy rysunek.

Minister obejrzał go pilnie.

—Jest tu—rzekł—proporcya i charakter, a śmiałość nabędzie się z czasem!

— Nie zbywa mi na chęci—odpartem zcicha—ale zwątpilem o zdolności mojej. Może lepiej porzucić to, do czego Bóg zapóźno mnie powołał.

Na to minister pokręcił głową.

— Pamiętaj!—rzekł—iż wpośród trzystu uczniów, tyś jeden tylko Polak. Mówią tu o nas, że wszystko zaczynamy skwapliwie, a nie wykończyć nie możemy. Jeżeli opuścisz Akademię, uczynisz nam krzywdę, potwierdzając niestałością twoją tak niepochlebne sądy. Sztuka trudną jest bezwątpienia, lecz wszystko co łatwe, to kraj posiada aż do zbytku; mozolne tylko a pożyteczne zasługi podnieść nas mogą na wyższe stanowisko. Wstyd Polakowi, który wątpi o sobie! Do-

brniesz do celu, ręczę za to, bylebyś myślał o stawie i przyszłych dla kraju zasługach; tak nakazuje honor i obowiązek!”

Słowa te trafiły do serca artysty, rozbudziły w nim ufność. „Chcącemu nie trudnego,” powtórzył sobie w duchu. Odtąd, jak mówi, zapomniał o Pacu, o trudnościach i numerach egzaminowych; nie liczył już dni, ani miesięcy, lecz pracował wytrwale. Numera tymczasem podnosiły się coraz wyżej, trudności nikły; ale w miarę postępu, uczucie piękna rozwijało się także: uczeń nie śmiał dowierzać jeszcze w własne siły!

Mijają szybko tygodnie i miesiące; minister wzywa go do siebie. Artysta nasz idzie z obawą, lęka się nową reprimandę.

„Klamka zapadła, rzecze Sobolewski,” młodzian zbladł w mniemaniu że go oddalają.

„Ze względu na postępy jakie pan czynisz, dodaje minister, otrzymasz z funduszów ministerjum oświecenia Królestwa Polskiego, na uczących się zagranicą, 2,000 złotych rocznej pensji, oprócz tego co ci dawniej przysądzono. Zapadła więc klamka, odtąd kraj nasz będzie miał prawo, wymagać po tobie odpowiedzialności! Możesz kiedyś stać się perłą naszą, postępuj tylko tak jak dotąd.”

Uniesiony radością artysta biegnie do akademii; zastaje list pisany ręką matki. Uskarża się biedna wdowa na klęski gospodarskie; boleje, że musiała wydać owe dwanaście dukatów, które przyrzekła oddać synowi za powrotem.

Dobry syn dziękuje gorąco Opatrzności, że obdarza go właśnie, kiedy matce zasilek tak potrzebny. Piszze bez chwili namysłu.

„Kochana mamol! nie chciałaś przyjąć połowy skarbu mego. Czuję po dziś dzień przykrość jakiej przez to odmówienie doznałem. Przebac, mamol, że przywiązany twój syn, ośmiela się ukarać Ciebie za to. Rząd Królestwa wyznaczył mi 2000 zł. pensji, ja zaś w piśmie do ministerjum, rzekłem się połowy, na twoją korzyść, mamol. Będziesz ją regularnie pobierała, za własnymi kwitami. Ta zemsta moja, czyni mnie najszcześniejszym z Twoich dzieci.”

Zachęcony tym dowodem uznania, artysta nasz pracował z coraz większym zapałem; w ciągu dwu lat ukończył kurs trzyletni. Wzorowym postępowaniem, słodyczą i ogładą w obejściu, zjednał sobie powszechne względy. Biegły w muzyce, miłym był gościem na każdym zebraniu, w domu profesorów i urzędników akademickich. Jako zawołany tancerz, nie mniejsze znalazł powodzenie. Humorystycznie opisuje trumfy swoje na tém polu.

„Stanałem, mówi, do kontredansa, obok córki profesora mego; wypuściłem odrazu cały arsenał, w jaki talent Żorza i Ledu nogi moje uzbroił. Antrsza, balanse, piżony, posypałem tak hojnie, że obecni wchodzili aż na krzesła, aby nie stracić żadnego mego ruchu.”

Pełnym taktu obejściem rozbroił wkrótce Oleszczyński, niechętnych kilku profesorów. Ci którzy zrazu zwali go pogardliwie „Panie Polak,” zaczęli odtąd mienić go Antonim Kazimierzowiczem. Pamiętny

jednak na przestrogi ojca, nie wiele oddawał się zabawom. Wolne chwile spędzał z książką i piórem w ręku: „Sztuka, mówi on, nie była dla mnie ostatecznym celem, raczój środkiem do wypełnienia tego com zamierzył. Wiedziałem, że mnóstwo zaszczytnych dla kraju podań, gnije w niepamięci, lub drżmie w zbutwiałych księgach, gdyż sztuka zaniedbana w kraju naszym, nie podnosi ich i nie rozpowszechnia. Ztąd wakacje i święta spędzałem w bibliotece, posiadającej nieocenione bogactwa, z dawnego księgozbioru Załuskich. Otrzymałem wstęp do inkunabutów i manuskryptów, a to w każdej godzinie. Tam nagromadzone notaty, przerzysy i kalki, posłużyły mi do wykonania wielu mych prac późniejszych.”

Artysta nasz, wyczywszy się biegle rysunku, zaszczycony srebrnym medalem, przystąpił do rytownictwa; spotkał się wreszcie z temi tak niegdyś strasznymi dla niego kratkami, strychami i punktami; wykonywał je rylcem i suchą igłą. Skopiował niebawem obraz Dytrycha, starą kobietę z pękiem chrustu; posłał pracę swoją na warszawską wystawę. Otrzymał medal brązowy, przekonał go, jak mówi, że nie sami święci garnki lepia. Zabrał się następnie do ważniejszej nierównie pracy, do kopii z Edelinga, zwanego Rafaelem w sztuce rytowniczój. Z arcydzieł tego mistrza wybrał wizerunek Filipa de Champagne, gdyż rysy tego słynnego trubadura XIII wieku, przypomniały mu żywo szewca Kilińskiego, z którym znał się dobrze w Warszawie. Praca to była bardzo trudna, ale też artysta, prowadząc ją blisko rok, oswoił się przy niej z wszelkimi tajemnicami sztuki rytowniczój. Akademia nagrodziła ją pierwszym medalem srebrnym.

Szczęśliwy z otrzymanego zaszczytu, wyprawia rycinę na wystawę warszawską, pewien tryumfu w kraju własnym; lecz niestety, spotkał go smutny zawód. Sędziowie tamtejsi przyznają mu brązowy medal, dołączając do tego radę, aby się nieograniczał samém kopowaniem.

Kończył się właśnie rok siódmy pobytu artysty w akademii Petersburskiej. W tym przeciągu czasu odbył on kurs dwunastoletni: przyszła stanowcza chwila ostatniego konkursu. Idąc za radą dyrektora, wykonał z natury portret profesora architektury w akademii.

Z nieśmiałością wystawił pierwszą oryginalną pracę. Sąd już się zebrał; nogi drżą pod artystą: całą noc nie zamknął powiek. Z rana odbiera wiadomość że mu przysądzono złoty medal, z dyplomem pierwszój klasy i honorową szpadą.

Według ustawy, uczeń otrzymujący złoty medal, miał prawo do podróży w obce kraje, z pensją 4000 franków. Artysta nasz postanowił jednak udać się do Warszawy, pewien, że napotka tam równe względy.

Przez ciąg pracy siedmioletniej, wspomnienie Paca tkwiło głęboko w myśli rytownika naszego. Każdy otrzymany medal, każdy zaszczyt, był w mniemaniu jego szlachetną zemstą nad generałem. Marzył o chwili, kiedy wszystkie zdobyte trofea będzie mógł rzucić w oczy



temu, który złowrogim słowem „zapóźno!” nabawił go tylu dręczących niepokojów, a zarazem stał się dlań tak potężnym bodźcem do pracy i postępu.

Wracając do Warszawy, z Kowna zwraca do Raczek, majątności Paca.

„Stałem przed generałem, pisze Oleszczyński; widzę że mnie nie poznał: przystępuję prosto do rzeczy.”

„Generale! przed siedmiu laty, kiedy jechałem do Petersburga, ugościł mnie pan łaskawie, przy twym stole podróżnym, i wyrzekłeś pamiętne dla mnie słowa: „Radbym widzieć twoje prace po ukończeniu nauk!” Oto dyplom, pięć medalów, szpada i ryciny moje!

Pac przypomniał sobie spotkanie, uściśnął mnie, zaprosił do śniadania. Przy pożegnaniu rzekł z wielką uprzejmością:

„Grzeczność twoja jest zarazem wyrzutem, iż nie znam się na ludziach. Żałuję a raczej cieszę się z pomyłki; widząc prace twoje, nie wątpię już teraz iż talentu twego potrafisz użyć dla dobra kraju. Przecież i ja odemszczę się kiedyś! Do miłego widzenia!”

Artysta nasz przybył do Warszawy, gdzie pisma rozgłosiły już wiadomość o jego tryumfach i o rychłym przyjeździe. Powitano go najżyczliwiej. Stanisław Grabowski, naówczas minister oświecenia, przypomniał sobie owego chrapączka, który wpadł mu w oko przed trzynastu laty i sprawił, że wywołał młodzieńca z pod rodzicielskiego dachu, a tym samym położył fundament jego przyszłej kariery. Generał Krasiński, Linde, Edward Raczyński, Staszic, Niemcewicz i inni ludzie wysokiego znaczenia, okazali mu równą życzliwość. Minister tak wysoko posunął względy swoje, że chciał zamianować go profesorem rytownictwa w uniwersytecie. Oleszczyński ze zwykłą sobie skromnością nie przyjął tak wielkiego zaszczytu.

„Dotąd, rzekł, jestem tylko szczęśliwym uczniem; wiem ile mi jeszcze niedostaje, aby godnie odpowiedzieć podobnym obowiązkom.”

Pragnął on usposobić się wprzód na profesora, pod okiem znakomych mistrzów zagranicznych. Minister uwzględnił to żądanie. Przeznaczono mu 4000 złotych pensyi, z pozwoleniem wyjazdu do Paryża.

Z dwóch braci przebywających w Warszawie, Seweryn miał już stanowisko jako profesor kaligrafii; dorastający ledwie Władysław, oddawał się rysunkom ze szczerem zamiłowaniem. Antoni postanowił zabrać go z sobą zagranicę; ukazał więc prace jego księciu Lubeckiemu, ministrowi skarbu, przedstawiając prośbę o zasiłek na kształcenie w sztuce medalierskiej. Minister przychylił się do wniosku, wyznaczył Władysławowi 2,500 złotych pensyi, i powierzył go czujnej opiece starszego brata.

Z radosnym sercem śpieszą obaj do Kazimierza, aby drogą matkę powitać i pożegnać. Przybywają w dzień jej imienin, zastają w domu grono życzliwych sąsiadów.

„Matka była w alkierzu gdym przybył, mówi Antoni, poznała mnie po głosie; wybiega z płaczem, woła: „Moje serce, mój Antoś najdroższy!”

„Uściskałem kochaną matkę, siadam przy niej, poczynam strofować czemu płacze, kiedy radować się przystało. I opowiadał o szczęśliwym losie Władysława. Matka znów płacze, znów ściska mnie z radością. „Bóg wysłuchał gorących modłów moich, powtarza co chwila, a ciebie mój Antosiu wybrał za narzędzie swój łaski!”

Po kilku dniach, najszcześniejszych w życiu, synowie żegnają matkę; Antoni jak dotąd, przeznaczają dla niej część pensyi, Władysław czyni też udział ze swojej. Matka błogosławi ze łzami dobrych synów.

Biedny Antoni! nie zgadywał wówczas, że ten uścisk macierzyński, nigdy się już nie powtórzy! Ale błogosławieństwo matki poszło z nim w daleki świat, napełniło żywot jego słodyczą i spokojem. Bóg odplacił je starcowi miłością i opieką własnych dzieci.

### III.

Podróż z Warszawy do Paryża przeciągnęła się trzy miesiące. W każdym znacniejszem mieście, dwaj bracia zwiedzali kościoły, pomniki, galerie i muzea, szukając przedewszystkiem polskich imion, znanych i czczonych w świecie. Z radością odkrył Antoni w Amsterdamie, medal z wizerunkiem Krysztofa Arciszewskiego, holenderskiego admirała, zdobywcy Brezylji, którego postać uwiecznił później rylcem swoim; z dumą patrzył na pomnik Kostera, który sztukę drukarską rozpoczął od rozprawy Marcina Polaka: „*Ars Moriendi*.” Obaj bracia utrzymywali dyaryusz, zapisując w nim wszystko co widzieli i słyszeli w podróży. Dziennik ten pozostał w rękopiśmie.

Stanęli nareszcie u kresu, w tym Paryżu, który dla Antoniego miał być ostatnim kresem w ziemskiej pielgrzymce. Tu odwiedzili nasamprzód Norblina, malarza rodem z Warszawy, syna sławnego profesora sztuk pięknych z czasów Stanisława Augusta. Ten przyjął ich z polską gościnnością, zajął się nimi jakby własnymi braćmi.

Nie tracąc czasu, Antoni wszedł do pracowni Regnaulta, oddał się sztuce z najwyższym zapałem.

Z rana pracował pod okiem mistrza, po południu rysował z antyków w Luwrze, wieczorem z natury w Akademii. Z ojcowską troskliwością zajmował się też młodszym bratem; umieścił go w pracowni malarza Hema, przeglądał pilnie jego rysunki; w dniu świąteczne zwiedzał z nim muzea i galerie. Rok pierwszy zbiegł im szybko na tych próbach przygotowawczych. W następnym roku Władysław przeszedł do pracowni słynnego rzeźbiarza Dawida z Angers, uczył się niemniej w mennicy sztuki medalierskiej. Otrzymane przez niego nagrody i pochwały, dziwnie radowały serce starszego brata.

Antoni tymczasem odtwarzał rylcem obrazy sławnych mistrzów: *Madonnę Solaria*, *Zdjęcie z krzyża Cranacha*, i inne arcydzieła z gale-

ryi w Luwrze. Zebrawszy liczne rysunki i ryciny, udał się do Richomme'a, najznakomitszego rytownika francuzkiego, z prośbą, aby go przyjął do pracowni, i pod bokiem swoim pozwolił mu wykształcić się na profesora, godnego ofiarowanój mu katedry.

Richomme rozpatrzył się pilnie w tych pracach.

— Pod względem rylca — rzekł — nie masz się czego uczyć, potrzebujesz tylko wyrobić sobie metodę i rozwinąć smak artystyczny. Czas, abyś popróbowował sił na nowój drodze: narysuj model z natury i narytuj go rylcem. Podobne studjum, zwane przez nas akademią, samo z siebie najtrudniejsze w sztuce, pokaże, do czego jesteś zdolny.

Oleszczyński posłuchał rady mistrza; z dwoma kolegami rozpoczęł rysunek modelu w pochylonój postawie. Richomme pilnie doglądał uczniów: dopóty kazał on poprawiać i przerabiać, dopóki rysunek nie doszedł najściślejszój dokładności: poczem rozpoczęli rytowanie.

Praca to była ciężka. „W rytowaniu, mówi nasz artysta, nie idzie już tylko o kontur, o proporcją i anatomią; potrzeba koniecznie, aby ciało ludzkie wykonane zostało w sposób ku naturze zbliżony. Pędzlem rytownika sam tylko rylec, a kolorami jego strychy. Dokładność utworu polega na szerokości tychże strychów, na ich kierunku, a szczególnie na wrażeniu, jakie sprawia umiejętna ich kombinacja. Richomme nadzwyczaj był wymagający: nie przebaczył najmniejszój kropki, któraby nie była usprawiedliwioną. Koledzy, zrażeni trudnościami, porzucili mozolną pracę; i ja w końcu ustałem... nie dlatego, żebym uważał dzieło moje za dostatecznie wykończone, ale czułem się zmordowany!...“

Jak każdy prawdziwy artysta, Oleszczyński tak wzniosłe miał pojęcie ideału, że czuł, o ile środki ludzkie niezdolne do oddania go w całej doskonałości. Ztąd też nazbyt skromnie osądził własne dzieło; inaczej ocenili je znawcy. Odbity jeden egzemplarz posłał nasz rytownik z nieśmiałością do Warszawy. Komisya oświecenia pochwaliła pracę i oddała ją na wystawę publiczną. Inny egzemplarz ofiarował autor księciu Ogińskiemu, przebywającemu we Florencyi; książę lubo nie proszony o to, umieścił go na tamtejszój wystawie.

Wkrótce potem Oleszczyński odbiera od florenckiej Akademii dyplom na profesora pierwszój klasy, z zaszczytnym listem jój prezydenta.

Donosi o tém natychmiast do Warszawy. „Było to, jak mówi, w samą porę. Sąd tamtejszy, uważając pracę moję za studjum, żeby mnie zbyt nie rozpieszczał, już mi przygotował srebrny medal. Przecież dowiedziawszy się, że jedna z najświetniejszych akademii przyznała mi stopień profesora, a zatém prawo przysądzania drugim medalów, sąd warszawski obdarzył mnie złotym medalem.“

Rzecz niepojęta! wraz z pochwalnym listem, nasz artysta odbiera z Warszawy zawiadomienie, że dla braku funduszków, Komisya zmuszona odmówić mu dalszój pomocy; pozwala jednak pozostać mu dłużój w Paryżu. Oleszczyński mógł być odwołać się do Akademii Pe-



tersburskiej, która ze swój strony, jako uczniowi swemu, niemogła odmówić pomocy. Nie uczynił tego. „Krok podobny, mówi on, byłby niejako oskarżeniem, że Komisya opuszcza mnie wówczas, gdy ważną pracą zasłużyłem na tém większe jój względy. Woląłem uleść losowi memu, niż zostać delatorem.“

W tych czasach w Anglii stalorytnictwo zaczęło się coraz bardziej upowszechniać. Było prawdziwy postęp w sztuce. Podczas gdy miedź wydaje zaledwie kilkaset odcisków, stal zapewnia ich kilkanaście tysięcy. Artysta nasz śmiało rzuca się na nową drogę: postanawia iść o własnych siłach, bez przewodnika; on bowiem najpierwszy w Paryżu odważa się rytować na stali.

Zamówiona blacha nadeszła właśnie z Londynu. W chwili, gdy Oleszczyński przemysła coby na nią narytować, wchodzi do niego Zeltner, na którego rękę zmarł Kościuszko w Solurze.

— Nie szukaj długo — rzece Zeltner — ja ci dam najwłaściwszy przedmiot: oto na téj stalowej blasze narytuj człowieka stalowej poczciwości, odtwórz na niej Kościuszkę. Mam jego portret, a w razie potrzeby mogę udzielić mojej rady i uwag.“

Artysta wykonał pracę pod okiem Zeltnera. Przedstawił ją Towarzystwu filotechnicznemu, które zaszczyliło go medalem, a nawet zaprosiło do grona swego. Nadchodziła właśnie rocznica zgonu Kościuszki. W tym dniu Leonard Chodźko wyprawił ucztę dla ziomeków bawiących w Paryżu. Postanowiono oprawić pięknie wizerunek i ofiarować go generałowi Lafayette, niegdyś towarzyszewi Kościuszki, z podpisami wszystkich obecnych.

Pierwsza próba na stali wybornie się udała. Biegły rytownik pokonał w niej wszelkie trudności, umyślił zatem wystąpić z wielką *in folio* kompozycją własnego utworu. Przedmiotem jój miał być Kazimierz Wielki nadający prawa w Wiślicy. Rozpoczął już pracę, lecz niestety nie obliczył przeszkód materyalnych. Na wykonanie jój trzeba było lat czterech: pozbawionemu zasiłku praca ta stała się niepodobną.

Przez ciąg pobytu w Petersburgu, jak mówiliśmy wyżej, Oleszczyński zbierał pilnie ojczyste zabytki: biblioteka Załuskich dostarczyła mu bogatego zasobu. W Warszawie pomnożył zbiory swoje przerysami i kalkami z archiwum Towarzystwa Przyjaciół Nauk; wreszcie, podczas trzymiesięcznej podróży, wertując biblioteki i muzea w Niemczech i Holandyi, gromadził wszystko, co wprost lub pośrednio odnosiło się do dziejów polskich. Widząc w Paryżu, iż niepodobienstwem dla niego rzucić się na kolosalne przedsięwzięcie, chciał pracować dla kraju w skromniejszy, lecz niemniej pożyteczny sposób. Postanowił zatem wydawać pojedynczo zbiory swoje, pod ogólnym tytułem *Rozmaitości*. Że zaś te utwory mało przynosiły dochodu, mozolił się nad nimi póki starczyło środków; gdy się zasoby wyczerpały, gromadził nowe, pracując dla wydawców paryzkich. Tak posuwał się krok za

krokiem, pomnażał ciągle zbiór swój; doprowadził go wreszcie do pięćdziesięciu rycin: później miało ich przybyć drugie tyle.

Prace te skromne, niewielkie rozmiarami, lecz wykonane z wielką biegłością, pozyskały uznanie Ingresa, Verneta, Ary Scheffera i innych pierwszorzędnych mistrzów.

Od pięciu lat Oleszczyński przebywał już w Paryżu, kiedy nastąpiła rewolucya lipcowa. Znajdujemy w pamiętniku szczegóły z tych dni, dotyczące osobiście artysty naszego. „Dwa wypadki, mówi on, ledwie mnie życia nie pozbawiły. Przyszędłszy do arcybiskupstwa, widzę, jak jedni pustoszą je, drudzy rzucają na stos księgi i sprzęty i rozniecają ogień. Wtém wielka księga upada na ziemię: roztwiera się właśnie w miejscu, gdzie ją zdobi rycina Łukasza z Leydy. Omało nie omdlałem na ten widok: postanawiam bądź cobądź ocalić od zguby arcydzieło. Wołam do siebie tuż stojącego chłopczyka.

— „Jeśli—mówię do niego—wydrzesz mi z książki ten obrazek, dostaniesz franka, skoro go tu przyniesiesz.

„Dziecko gotowało się już do spełnienia tak niebezpiecznej operacyi, wtém słyszę przerażający krzyk: widzę, jak inny chłopiec pada na ziemię, starzany we krwi, pod razami pałaszów.

„Pytam o winę: odpowiadają mi, że zamiast wrzucić serwetę do ognia, schował ją do kieszeni!... Po takiem ostrzeżeniu, zatrzymuję silnie mego chłopca: Łukasz z Leydy wcale mnie już nie nęci.

„Okolice Luvru i Tuilleries zasłane były trupami. Podczas szturmego do ratusza byłem tuż nad Sekwaną; tam usiadłem na słupku czekając w tłumie co też nastąpi. Nagle staje przedemną człowiek jakiś zadyszany, zlany potem, z fuzyą przez plecy przewieszoną.

— „Biegnę z Wersalu!—woła—tchu pochwycić nie mogę; ustąp mi na chwilę miejsca, obywatelu, niech spocznę choć minutę!

„Ustąpiłem cożywo. Ledwie że siadł i nabił strzelbę, owóz przylata kula i wybija mu oko. Przenieśliśmy go do poblizkiego szpitala: ja uznałem w tém istny cud Opatrzności! Kula, która miała ugodzić we mnie, świsnęła mi tylko mimo ucha.“

Po gwałtowném wstrząśnieniu powróciła spokojność, ale Paryż opustoszał nagle dla naszego artysty, Władysław bowiem odjechał do kraju, wezwany przez ministra. Cieszyła go jednak nadzieja, że rychno obaj połączą się w Warszawie.

Inaczej się stało. Wypadki warszawskie zatrzymały artystę na obcej ziemi. „Niemogąc i nieumiejąc inaczej, mówi on, wojowałem z chłodem, głodem i wszelkiego rodzaju niedostatkiem!“

W rok potém zgórą odbiera od Komisji Spraw Wewnętrznych i Oświecenia, wyrok pod datą 27 czerwca 1832 r., oznajmiający mu, iż „JCMość najłaskawiej rozkazuje zamieścić p. Antoniego Oleszczyńskiego w Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, jako profesora, z pensją roczną 3,000 rubli, na co ambasada zaliczy mu natychmiast rubli 1,000.

Oleszczyński odmówił. Postanowieniem jego było zostać we Francji. Przybycie brata osłodziło mu niejedną gorycz i uspokoiło dręczącą go tęsknotę. Wkrótce też poznał młodą panienkę, Melanią Girault, świeżo przybyłą z Szampanii; zobaczmy jak kreśli obraz jej w pamiętniku:

„Nic ona nie miała paryzkiego, podobna raczej na szlachciankę sochaczewską, gdyż wychowanie odebrała w klasztorze: u rodziców swoich zajęta krzątaniem około gospodarstwa lub też pracami kobiece, przedstawiała w Paryżu jakby istotę z drugiego świata; gdy tymczasem skromność jej, pracowitość, wstydlivość, prostota, otwartość, świeże wdzięki i kwitnące zdrowie, wzbudzały zajęcie i szacunek. Przywiązałem się do niej, widząc zaś wzajemne jej uczucia, pojąłem ją za żonę, nie pytając o posag. Stało się to niemal tak prędko, jak krótkim jest opis tego aktu.

Artysta nasz nie zawiódł się w nadziejach. Znalazł on w małżonce wierną towarzyszkę życia, wzorową matkę dwojga dzieci, zabiegłą gospodynią, która umiała utrzymać w domu ład i dobrobyt, mimo szczupłych zasobów; wreszcie troskliwą opiekunkę, która jako młodsza i krzepiejsza na siłach, otoczyła niezmordowanym staraniem jego późsze lata.

Wkrótce po ożenieniu nasz artysta opuścił Paryż. Cichy i łagodny z usposobienia, miłośnik pokoju, z charakteru prac swoich, nie mógł patrzeć na gorączkowy zawrót umysłów między ziomkami, tak łatwy zresztą do pojęcia, w chwilach gwałtownego przełomu. „Nie wdawałem się, mówi on, w żadne polityczne spory, do których możebym uczuł pociąg, gdyby opierano się na Skardze, nie zaś na francuzkiej demagogii.” Bez namysłu zatem pozabierał papiery, książki i rytownicze narzędzia, wyjechał do Szampanii, zamieszkał w domu rodziców żony swojej; tam pracował w ciszy i głębokim skupieniu ducha. Do *Rozmaitości* polskich przybywały raz poraz nowe karty, oprócz tego ciągnął dalej erudycyjną pracę rozpoczętą jeszcze w Petersburgu: *Rzut oka na Sztuki i pomniki polskie*. Ramy tego dzieła obejmowały długi szereg wieków, od epoki przedchrześcijańskiej aż do czasów obecnych. W miarę nabywanych wiadomości, autor dopełniał rzecz coraz nowymi szczegółami. Pisał niemniej kurs anatomii artystycznej i kurs perspektywy; w tym ostatnim za demonstracye użył pomników polskich.

W Paryżu tymczasem, po gwałtownym wstrząśnieniu, polskie umysły poczęły przychodzić do stanu normalnego. Oleszczyński powrócił wreszcie, istny gołąb z oliwną różeczką zwiastującą ciszę i spokój; niezmordowany ciągłym trudem, prowadził podwójne prace: jedną dla chleba, drugą dla zadosyćczynienia sercu, rozmiłowanemu w pamiętkach ojczystych. Zbiór *Rozmaitości* przybierał począł co raz to poważniejszą postać, i coraz większe zdobywał sobie względy. Autor zapisuje to z naiwną prostotą. Wdzięczny tym którzy ocenili jego prace, on sam mało je ceni: wolny od wszelkiego zarozumienia,



szczęśliwym się czuje że go pojęto. Słowa jego dziwną stanowią sprzeczność ze skargami tyle niezrozumianych pseudo geniuszów, pionujących na świat i na ludzi: przytaczamy ten ustęp prawdziwie charakterystyczny.

„Rozmaitości, mówi on, pozyskały względy, lubo nie były wyrazem mego usposobienia. Na moje szczęście *zostałem zrozumiany*. W pracach moich nieposzukiwano rytownictwa, ale raczej przedmiotu; odgadniono, ileto trudu potrzeba było, aby wykonać je bez pomocy, nieraz o chłodzie i głodzie, pracując na dzień po siedmnaście godzin.”

Zbytńia praca nadwreżyła wreszcie zdrowie artysty. „Naderwałem oczu, mówi dalej; rytowanie poczęło mnie utrudzać, gdy Bóg lepszy lekarz nad Huffelandów i Boerhawów, cudowne zesał mi lekerstwo, to jest przypuścił gwałtowną chorobę, wymagającą obfitego krwi upuszczenia. Zrazu upadłem na siłach, lecz natomiast oczy tak odmłodniały, że do dziś dnia wiernie mi posługują.”

Imię Oleszczyńskiego zdobyło w tym czasie zasłużony rozgłos. Do Londynu zażądano siedmdziesięciu pięciu egzemplarzy jego Rozmaitości; wiele innych rozeszło się po Niemczech i Ameryce, po Księstwie Poznańskim i Galicyi. Zpoczątkiem roku 1833 przysłano artyście naszemu z Drezna, zeszyt pisma *Artistisches Notizenblatt*, w którym Freuzel, konserwator rycin w królewskiej bibliotece, zaszczycił je najprzychylniejszym sądem. Przytaczamy słowa tego znawcy:

„*Omnia mea mecum porto.*” Powiedział niegdyś mądry Bias: Pozdrowienie umysłem wykształconym! Oni bez powozów i tłomoków obładowanych, choć się dostaną zdala od rodzinnego kraju, mogą tam za pośrednictwem pióra, pędzla lub rylca, utorować sobie byt zaszczytny. Widzimy to w utalentowanym polskim rytowniku, Antonim Oleszczyńskim, który obecnie w Paryżu, w pośród wielu rodaków, zdala od ojczyzny, ale niewynarodowiony, trwa stale w przedsięwzięciu; licznym szeregiem biegle skreślonych rycin, rozpowszechnia rylcem swoim, charakterystyczne rysy polskiego narodu: obrazy bohaterów, poetów, muzyków, artystów, osobliwości z rękopisów dawnych i t. p. Następuje dalej szczegółowe prac wyliczenie.

Artykuł ten nie małej dodał otuchy artyście; stał się nowym dla niego bodźcem. Niemniej ucieszyły go odwiedziny Paca, świeżo przybyłego do Francyi. Generał widział już w Dreźnie Rozmaitości, u pani Klaudivi Potockiej. Ledwie że stanął w Paryżu, odwiedził natychmiast ich autora, przypomniał owo pierwsze spotkanie w karczmie żydowskiej, i niewczesne swe rady. Pamiętał on dobrze zemstę artysty, gdy ten obracając drogę na Raczkę, ukazał mu zdobyte trofea. Teraz, jak mówił, przyszła kolej na niego, i on odemścić się też pragnie. Wspomniał o zamierzonej podróży do Włoch, dając do zrozumienia iż radby tam być w towarzystwie rytownika naszego. Oglądał przytém pilnie przygotowane do druku dzieło: *O Pola-*

*kach słynnych za granicą.* Prosił o udzielenie mu rękopismu, obśpał go słusznemi pochwałami.

Rzecz skończyła się na tém. Pac odjechał z Paryża, udał się naprzód do Rzymu, potem do Smyrny, zkąd niebawem przyszła wieść o jego skonie. Pzysłano do Paryża testament, w którym między innymi legatami znajdował się ten ustęp. „Zapisuję panu Antoniemu Oleszczyńskiemu, rytownikowi, 10,000 franków, zachęcając go aby jak dotąd poświęcał rylec swój wspomnieniom narodowej chwały.”

Oleszczyński szczerze bolał nad śmiercią dobroczyńcy swego.

Czyniąc zadosyć jego woli, zabrał się żywo do wydania *Wspomnień*, o co i Polacy osiedleni w Ameryce, silnie téż nalegali. Czterdzieści cztery ryciny zdobiące tę piękną publikacyą, były już zupełnie gotowe, tekst w wielkiej części napisany, kiedy pocisk wymierzony z Poznania, ugodził boleśnie artystę. Kieleskiński rytownik, czyto skutkiem zawiści czy uprzedzenia, z widoczną niechęcią skrytykował złośliwie jego utwory. To się czepia wizerunku Arciszewskiego odmawiając mu autentyczności, to zarzuca brak archeologicznych studyów w odtwarzaniu skrzydeł husarskich. Na ostatni zarzut tak odpowiada nasz rytownik. „Wiadomo że skrzydła huzarskie nie miały u nas obowiązującej formy; każdy tworząc je, szedł za własną fantazyą, a nadużycie ich tak się stało powszechne, że je czepiano nie tylko do bark, do szyszaków, siodła, lecz nawet do głów i nóg końskich. Skutkiem tych dziwactw, hetman Jabłonowski w ostatnich czasach zakazał ich użycia. Cudzoziemcy oglądając nieraz ze mną te dziwolągi, podobne do pudeł lub worów napchanych pierzem, pytali mnie czyto czasem nie maszyny służące w razie ucieczki do zasłonięcia pleców. Na takie zagadnienie, któżby z nas, pytam, nie wyrzekł się całej skrzydłowej erudycyi. Ja w pracach moich, takie tylko wykonywałem, które miały istotną formę skrzydeł.”

Boleśniej jeszcze nasz artysta utyskuje na te niestuszne zarzuty przy końcu swoich *Wspomnień*.

„Wy! mówi on, dalecy od nas przestrzenia, a dalsi jeszcze sercem i wyrozumieniem, otoczeni rodziną i wszelkimi uciechami życia, wy, którzy przemyślacie nad tém, jakby zarzuty prawne (choćby niesprawiedliwe), zastosować do mozolnych prac dalekich braci waszych, wiedźcież że oni tu nie na różanych spoczywają łożach; lecz wśród znoju lub zimna, w ciągłej niepewności, dnia całe oddając pracy dla wyżywienia, nocę zaś przy smutnym kaganku, poświęcają pracom, o których wy z taką mówicie lekkością, a niekiedy z tak złośliwym przekąsem! Pomnijcie że to biędni żeglarze, co wśród burzy jak Simonides, ledwie życie na wątłej desce uratować zdołali. Dziwićże się tu, jeśli dziś, bez żadnej z nikąd pomocy, a nawet bez żadnej od was pociechy, nie mogą według własnych i waszych życzeń odpowiedzieć wszelkim warunkom pisarskim lub artystycznym? Wy przecież zarzucacie z dumą tym pracownikom, wybór i ubóstwo materyałów!”

Oleszczyński w pełni sił i pomysłów rwał się do pracy odpowiedniej zdolnościom swoim; zmuszony był tymczasem marnować czas na dorywcze szkice, niegodne jego rylca.

Oto mała próbka tych niezliczonych utrapień, tak dotkliwych dla mistrza czującego wysoko własną godność. Pod dyrekcją Gawara rozpoczęto rytowanie muzeum wersalskiego. Małe to było dla rytowników pole, gdyż w wykonaniu przyjęto rodzaj lekki, naśladowający ołówek. Lubo sami Francuzi powołani byli do tej pracy, artyście naszemu dano do narytowania portret Maryi Leszczyńskiej. Jako ziomek królowej, czuł on się w obowiązku posunąć pracę wyżej niż nakazywała przeznaczona zapłata. Gdy przedstawił wykończony portret, odrzucono go z powodu że nie może iść obok innych rycin, które przy nim tracą na porównaniu. Biedny artysta musiał zatem wziąć kamień, osłabić i popsuć rycinę: w takim dopiero stanie znaleziono ją przyzwoitą!

Wydawcy *Polski malowniczej* (Pologne pitoresque), powołali go do współpracownictwa w swojej peryodycznej publikacji. Praca ta miała z konieczności tak pobieżny charakter, że znakomity rytownik nie śmiał kłaść na rycinach imienia swego. Chętnie je przecież wykonywał, dzieło to bowiem w 20,000 egzemplarzach rozrzucone po świecie, obznajmiało obcych z historią Polski, z jej cywilizacją i pomnikami. Trzecia część dochodu szła na wsparcie ubogich ziomeków, co było tém silniejszą dla artysty pobudką.

#### IV.

Nadszedł rok 1843, a z nim otworzyło się Oleszczyńskiemu pole do wykonania pomnikowego dzieła. Uczeni polscy w kraju, zagranicą postanowili uroczyście obchodzić trzechsetletnią pamiątkę ogłoszenia dzieł Kopernika. Adryan Krzyżanowski wystąpił ze znakomitą rozprawą o wielkim astronomie, w której udowodnia polską jego narodowość. Uczony ten obrócił oczy na rytownika naszego: począł listownie nalegać o wizerunek. Artysta odpisał, że od lat wielu pragnął odtworzyć rylcem oblicze Kopernika, lecz mimo usilnych starań nie mógł nigdzie znaleźć wiarogodnego oryginału. Le-Verrier i Arago zapytywani o to, oświadczyli, że żaden z istniejących portretów niema cechy autentycznej. Krzyżanowski podzielał przekonanie francuzkich astronomów, przestał zatem nalegać o portret; lecz usilnie dopominał się o wykonanie pamiątki jubileuszowej, którą uważał za nierównie ważniejszą, mogła bowiem zaszczytnie świadczyć o kraju naszym. Mickiewicz nalegał ze swjej strony, aby przyspieszyć wykonanie pomnika: ułożył napis łaciński, wyrażający jego znaczenie. Napis ten miał być pomieszczony u spodu:

*Saeculare annu 1843, trecentessimu scilicet a morte Copernici, nec non ab opere ejus de Revelucionibus orbium coelestium in lu-*



*cem edito, Polonia celebrat, quod quidem hoc Monumentum extraneis pusterisque testetur.*

Oleszczyński zabrał się do pomnikowej pracy, poświęcił na nią lat kilka. W pośrodku wielkiej ryciny *in folio*, pozostawił miejsce na portret; dokoła zaś w grupach ułożonych z nieporównanym smakiem skreślił dokładnie dzieje astronomii w Polsce. Grupy te tworzą trzy działy. W górze panuje nad obrazem skrzydlaty geniusz; na aureoli tryskającej mu z czoła, wyryty napis: *sta sol ne moveare*. Po prawej stronie z ręką wzniesioną do błogosławieństwa, ukazuje się papież Paweł III, któremu Kopernik przypisał nieśmiertelne swe dzieło; dalej Wojciech Brudzewski, mistrz Kopernika w akademii Krakowskiej, z globem i mapą w ręku, obok Mateusza z Kobyлина, ówczesnego rektora Akademii. Po lewej ręce pomieszczeni zwolennicy astronoma naszego: kardynał Szemberg, Brzowski z Kurozwęk, wreszcie Heweliusz Gdańszczanin, zwany przez Jana Kazimierza zaszczytem jego berła. Ów Heweliusz, zawdzięczając Janowi III odbudowanie obserwatorium w Gdańsku, pomieścił tarczę Sobieskiego w pośród konstelacyi; ztąd postać króla Jana wieńczy tę piękną grupę.

Poniżej z prawej strony wizerunku, artysta ukazuje królową Jadwigę i Jagiełłę, fundatorów akademii Krakowskiej; po drugiej Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta I, pod którego rządami urodził się i zajaśniał Kopernik. Widzimy tu jeszcze Józefa Jabłonowskiego, fundatora pomnika w Toruniu i Staszica, który tak dzielnie przyczynił się do pomnika wzniesionego w Warszawie.

Pod wizerunkiem występuje z jednej strony Poczobut, z drugiej Jan Śniadecki, dwaj mistrze wszechnicy Wileńskiej; obok nich Elżbieta z Ogińskich Puzynina, która obdarzyła obserwatorium Wileńskie narzędziami astronomicznymi; Gize biskup chełmiński, przyjaciel Kopernika; Adryan Krzyżanowski znakomity jego biograf. W pośrodku grupy siedzi Twardowski, przedstawiający astrologią, upokorzoną tryumfem nowej nauki. Obok dziecko, świszczące w klucz, wyobraża dziecinne pojęcia współczesnych, o systemacie wielkiego astronoma.

Niżej jeszcze artysta zgromadził w liczbie dziewięciu, warianty portretów Kopernika, zachowane po różnych krajach.

Powyższe grupy już były wykończone, a sumienny rytownik wahał się jeszcze któryby z tych portretów postawić miał w pośrodku historycznej ryciny; wahał się długo, żaden bowiem nie przedstawiał autentycznego charakteru. Arago rozstrzygnął wątpliwość. „Ponieważ, mówił on, pamiątka jubileuszowa ma opiewać ostatni rok życia Kopernika, ów rok, w którym ogłoszone zostały jego nieśmiertelne pomysły, nie wypada ukazywać go młodzieńcem; postać starca nierównie tu właściwsza, Kopernik bowiem liczył z górą lat siedmdziesiąt.”

Słowa te trafiły do przekonania artysty, odwołał się do Krzyżanowskiego po ostateczny wyrok. Uczony ten podparł silnie zdanie Arago. Ośmielony tém Oleszczyński, wybrał z pomiędzy innych portret nadesłany mu z Tuluzy, wyobrażający Kopernika w podeszłym

wieku; był on niegdyś własnością astronoma Reinholda i uchodził za autentyk w mniemaniu Tuluzanów. Wizerunek ten umieścił artysta w pośrodku ryciny, otoczył go znakami zodyaku.

Długo zatrzymaliśmy się nad tym utworem, raz że podzielamy zupełne zdanie tych, którzy widzą w nim arcydzieło naszego mistrza; powtóre, że pociski wymierzone przeciw tej znakomitej a sumiennie obmyślanej pracy, zadały artyście bolesną ranę, której czas nie zagoił.

Pierwsze odbicie wysłał on do Krakowa, na ręce księcia Eustachego Sanguszki i Ambrożego Grabowskiego. Tamtejsze Towarzystwo Sztuk Pięknych zażądało dwu tysięcy egzemplarzy dla swoich członków. „Niestety, mówi artysta, w Warszawie inny los spotkał tę pracę. Wpadła ona w ręce literata, nieopatrzona zwykłym objaśnieniem. Ten nie wchodząc w moje powody, szukając w niej wyłącznie portretu, zdecydował, że narytowałem jakiegoś Niemca, zamiast Kopernika. *Ipsse dixit*, inni powtórzyli za nim toż samo i tak praca moja uległa niełasce tych, którymby właściwiej należało zalecić ją w przychylny sposób. Zacny Krzyżanowski już nie żył, on byłby ją objaśnił, zastąpił od pocisków, ostatni bowiem list do mnie, temi zakończył się słowy: „Ile sił naszych będziemy ci pomagali, a tymczasem korni wzywamy błogostawieństwa Boskiego dla twoich usiłowań!”

Pocisk rzucony w Warszawie, boleśnie odbił się w sercach przyjaznych artyście naszemu. Dotknięty nim żywo Mickiewicz, pierwszy uwiadomił Oleszczyńskiego o nieprzychylnym sądzie. Oto list wielkiego estetyka.

„Kochany Antoni! Niech cię nie martwi wypadek. Wszak w Ewangelii już powiedziano, że trudno stać się prorokiem w własnym kraju. Pomnijmy, że i ja także pierwsze odebrałem ciosy i pośmiewisko w Warszawie. Krytyka przybiera tam postać istoty pozerającej. Zdaje się, że ona dybje szczególniej, aby niczego nie zostawić bez obruszenia, a jój tryumfem jest panowanie nad ruinami. Szkoda tylko, że ona często zapomina, iż łatwiej jest coś wynicować, opuścić lub oszkalować, aniżeli wykonać. Zczasem kraj ci wynagrodzi tę bezwzględną niesprawiedliwość, tymczasem poprzestań na naszym i obcych szacunku i t. d.”

Ten szacunek cudzoziemców objawił się w sposób najwymowniej-szy. Franciszek Arago, słynny astronom, gorącym słowem dziękuje artyście za przysłany mu egzemplarz. „Rycina, pisze on, nie tylko że okazała, ale wiele nauczająca; zaznacza bowiem niejedną szczegół nieznany a bardzo zaszczytny dla waszego kraju. Pokazujesz tą pracą, że jeśli astronomia drzemie dziś u was, niegdyś za to kwitnęła, a nawet kierowała się myślą patryotyzmu, skoro herby ludzi znakomitych zawieszała na niebie. Miłą niespodzianką była dla mnie piękna pani, którąś obok Poczobuta umieścił. U was, jak uważam, kobiety w żadnym szlachetnym akcie wyprzedzić się nie pozwalają! Co do wariantu wśród dzieła umieszczonego, lubo na wszystkie znane dotąd patrzę z obojętnością, w twoim przecież napotykam poważnego starca, z wy-

razem niepospolitym i orlém a przenikliwém okiem; ztąd widzę żeś odgadł tego, który odgadł wielką tajemnicę świata słonecznego tak długo niepojętą, a tém samém i dla kraju waszego zjednał niezaprzeczone zaszczyt."

Nie były to wcale czeze frazesa; Arago prosi przytém o przysłanie pięćdziesięciu egzemplarzy znakomitego dzieła, aby ozdobić nimi zakłady astronomiczne we Francji.

Dawid z Angers sławny rzeźbiarz zachwycał się tą pracą. Niewykończony jeszcze egzemplarz posłał kolegom swoim. „Rycina, pisze on, nad którą pracuje obecnie Oleszczyński, tak z powodu przedmiotu jak mistrzowskiego wykonania, będzie najpiękniejszém dziełem tego artysty, oraz pięknym pomnikiem narodowości polskiej."

Pomijamy inne, równie pochlebne świadectwa, dodamy tylko, że Akademia Sztuk Pięknych w Petersburgu zaszczytiła dawnego ucznia dyplomem, uznającym go za członka swego, z przywiązaniem do téj godności tytułem radcy stanu.

Te liczne a gorące pochwały, nie zdołały zabiżnić w sercu artysty naszego, rany zadanej mu przez swoich. Mówiąc w pamiętniku o odebranych owacych, smutną dodaje uwagę: „Serce moje zaspokojeńem nie zostało, gdy m sponrzegł, że tak liczne a chlubne dla kraju wspomnienia, w które nieskąpo ustroiłem to jubileuszowe dzieło, żadnego nie wyjednały dlań pobjażania, a przecież nie były to arabeski ani chińskie kwiaty, lecz wspomnienia mężów i czynów, którym kraj nasz ma prawo się zaszczyścić, a zarazem ma obowiązek naśladować wielkie ich przykłady."

Bolesny zawód nie wytrącił jednak rylca z rąk artyście, przeciwnie, dał mu pohop do nowych zapasów; postanowił zwalczyć obojętność współbraci, obdarzając kraj nowém arcydziełem. Począł więc badać do gruntu żywot Jana Zamoyskiego, a po dokładném przygotowaniu, odtworzyć rylcem postać wielkiego męża, na wspaniałém tle Zygmuntofskiej epoki. Wezwany tymczasem do współudziału w wydawnictwie *Albumu wileńskiego*, zmuszony był odłożyć nadal pomnikową pracę. Do powyższego albumu wykonał *Widok Kowna* z rysunku Czapskiego, *Chrzanowską* i *Piasta*, według szkiców Szmuglewicza, ze zbiorów Swidzińskiego, *dwa freski* i *oltarz św. Kazimierza z kaplicy wileńskiej*, *N. Pannę Ostrobramską* z widokiem na miasto; *św. Franciszka* z Seżyckiego; *Wizerunek Jundzilla*; *Wjazd do Rzymu Radziwilla*, *posta Jana III*; *św. Stanisława* z rękopismu Długosza; wreszcie sześć obrazów świętych według Czechowicza i Szumlewicza. Ryciny te okazane na wystawie paryzkiej, znalazły zasłużony rozgłos tak w kraju jak i zagranicą.

Wykończał właśnie te prace, kiedy Amerykanie zażądali od niego artystycznych nagłówek do biletów kasowych. Nasz artysta wykonał je bardzo ozdobnie; zamieścił na nich maleńki anagrom *ao*. Symboliczne motywa przypadły do smaku Amerykanom; wkrótce téż biskup tamtejszy przysłał arcybiskupowi paryzkiemu rysunek przedsta-



wiający go w gronie młodzieży szkolnej, z usilną prośbą, aby ten szkic wyrytował pan *ao*. Długo szukano po Paryżu owego *ao*, powzięto wreszcie wiadomość o nim, w seminarjum przy kościele św. Sulpicjusza.

Prace te, korzystne pod względem materyalnym, pozwoliły mistrzowi naszemu zająć się wizerunkiem Jana Zamoyskiego, w rozmiarach odpowiednich do ryciny Kopernika. Oddawna już Oleszczyński powziął myśl téj pomnikowej pracy. Przebywając w Warszawie w r. 1824, udał się do ordynata i prosił o wskazanie mu najwiarogodniejszego portretu w. kanclerza. Ordynat uczynił zadosyć jego woli, dając mu do skopiowania rysunek małych rozmiarów, przedstawiający Jana Zamoyskiego w sędziwych latach, z brodą. Owa broda obudziła wątpliwość w artyście naszym, nie widział jój bowiem na modelach i wizerunkach jakie mu wpadły w oko. Uczynił stosowną uwagę, na co ordynat odpowiedział, że od wyprawy Inflanckiej, Jan Zamoyski zapuścił brodę i nosił ją do śmierci.

Rysunek ten posłużył jako wzór do portretu. Wielka ta postać dziejowa, drogą była Oleszczyńskiemu; patrzył na nią z najwyższą czcią i uwielbieniem; ztąd więc tak w rysach oblicza jak w układzie grup pełnym prostoty i powagi, umiał uwydatnić myśl wyższą: śnać głęboka miłość prowadziła rylec po stali. Środek ryciny zapełnia medalion z wizerunkiem, otoczony wieńcem z bluszczów i liści dębowych, na znak rycerskich i obywatelskich zasług. Na wstędze oplatającej ów wieńiec, wyryte nazwiska mistrzów, pod którymi kształcił się wielki mąż; na węzłach tytuły licznych dzieł przez niego napisanych. W czterech rogach obrazu, artysta umieścił cztery postacie historyczne, znamienujące chlubnie tę epokę rycerską. Po jednej stronie w żelaznej zbroicy i misiurce, Wybranowski, organizator pieszych pancerników; po drugiej Ostroróg, strojny w husarskie skrzydła i pancerz z wizerunkiem Bogarodzicy, jak w dniu gdy przywiózł Zygmunтови III, wieść o zwycięstwie pod Byczyną. Poniżej medalionu, z jednej strony kozak Gołubek, dowódca zamku Rabsztyńskiego, z drugiej wsparty na dziale obrońca Olsztyna wiekopomny Kacper Karliński. Tło na którym wyryty portret, przedstawia we mgle, niezliczone postacie królów, hetmanów, biskupów, poetów i uczonych, słowem wielkich mężów, którzy berłem lub buławą, pastorałem lub piórem zastąpili w dziejach naszych, obok Jana Zamoyskiego, i rozłłili nad krajem świetną zorzę Zygmuntońskiej epoki.

Wspaniały ten utwór, jednomyślnie oceniony w kraju i zagranicą, rozgłosił imię Oleszczyńskiego. Krytycy Kopernika nie śmieli dotknąć złośliwym pociskiem dzieła wykonanego po mistrzowsku, natchnionego najwznioślejszą pobudką.

Artysta nie spoczął na wawrzynach. Odkrył on przypadkiem, skazane na zatracenie blachy, rytowane przez Edelinga, owego Rafaela w sztuce rytowniczej, na którego wzorach kształcił się niegdyś w Akademii. Nabywszy kilkadziesiąt tych blach na wagę miedzi, za-

jął się pilnie ich restauracją. Dziesięć najwięcej uszkodzonych doprowadził już do dawnego stanu; szukał właśnie drogi jakaby mógł przedstawić je królowi, kiedy rewolucya lutowa powaliła tron i stała się we Francyi hasłem gwałtowniejszych jeszcze przewrotów.

(*Dokończenie nastąpi.*)

## O B R A Z Y

### Z ZAMIERZCHŁYCH DZIEJÓW \*).

PRZEZ

*Zygmunta Glogera.*

#### II.

Było to dawno, bardzo dawno temu. Ani podania nie sięgają czasów owych, ani księgi kronik i latopisów, ani najdawniejsze pieśni ludu i najstarsze dęby borów. Szeroka kraina od gór po morza, szumiała jedną olbrzymią, nieprzebraną puszcza, przepasaną tylko modremi wstęgami wód. Moczary wrzały gwarem wodnego ptastwa, a nieprzebyte, ciemne knieje przepętniał zwierz dziki. Mieszkania ludzi, budowane z bierwion nieociosanych, grubo gliną oblepionych, dachem z drzewa, ziemi i darniny przykrytych, podobne raczej do grobów, do bud i ziemlanek, niż do chat i wiosek, rozsiane były na pagórkach piaszczystych, nad brzegami rzek i strumieni. Woda bowiem była potrzebą życia, częścią spiżarni, gościńcem w podróży i ucieczką w niebezpieczeństwie. W jej pobliżu łatwe łowy, bo gnieździ się tam chętnie ptak wszelki i zwierz przybywa gasić pragnienie. W piaszczystej wydmie można mieć suchą ziemlanke na mieszkanie i kryjówkę na żywność, odzież, zdobycz, a po zgonie suchy grób dla popiołów.

Była to epoka, w której człowiek, jak bez pokarmu i wody, nie mógł się obejść bez — krzemienia. Gdzie tylko się zatrzymał, gdzie osiedlił, zaraz robił z niego drobne narzędzia, z dziwną wprawą łupał cienkie, płaskie, ostre, podobne do wiorów noże. Krzemieniami okrzoskami naznaczył każdy ślad swego pobytu. I ztąd, powiada Lubbock, że jeden znaleziony wiór krzemienny, jest dla starożytnika takim dowodem przedhistorycznego pobytu człowieka, jak dla Robinsona były stopy ludzkie wyciśnięte na piasku. Krzemień tak obrabiany przez

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

starożytnych mieszkańców naszego kraju, znajdowałem po wszystkich jego zakątkach, w mule rzek, strumieni i jezior, pod grubym pokładem torfu, pod fundamentami starych murów, np. na górze zamkowej lwowskiej; ale najobficiej na owych pagórkach piasku, w pobliżu wód, w miejscach starych osad, które stacyami krzemiennymi dziś zowią lub niewłaściwie *ementarzami*.

Gdy jedni dla sadyb swoich szukali piaskowej góry, inni w dno jezior wbijali gęsto pale, by nad wodą zawiesić swe chaty. Jeszcze niedawno nic o tém nie wiedzano, że była epoka, w której połowa może ludności Europy mieszkała na wodach. A jednak tradycją tych czasów podaje Herodot, opisując, że Peonowie, naród tracki (a było to w roku 520 przed naszą erą), mieli osadę na środku jeziora Prazyas, do której prowadził most. Osada ta, dawnymi czasy założona, powiększała się w ten sposób, że każdy Peończyk biorący żonę (a miewali ich sporo), był obowiązany z sąsiedniej góry spuścić trzy nowe pale i wbić w jeziorze. Na palach stawiano chaty, w których mieszkały rodziny. W pomoście mieli drzwi do jeziora, co im ułatwiało łowienie ryb. Było zaś ryb tak wiele, że należało tylko chwilę potrzymać próżny kosz w wodzie, żeby go wyciągnąć napełniony zdobyczą; rybami też żywili nawet konie i bydło. Lecz z tą dogodnością i pewnem zabezpieczeniem od nieprzyjaciół, łączyło się niebezpieczeństwo, że dzieci mogły łatwo wpaść w wodę i utonąć. Żeby temu zapobiedz, wiązano malców za nogę.

Pomnikiem owych czasów, który tylko zmienił swe drewniane chaty na wspaniałe mury, pozostała Wenecya i — pozostały niektóre osady na Pińszczyźnie. W całej pełni epoka palafitów trwa jeszcze dotąd u niektórych plemion: na wyspach oceanu Spokojnego, na Sumatrze, Jawie, Borneo, wyspach Nikobarskich, w królestwie Syamskiem, w Kochinchinie, w środkowej Afryce, a najbliżej nas na jeziorach Azyi Mniejszej.

Najpierwszą wiadomość o wykopaliskach z epoki palafitów na lądzie europejskim podał nasz Niemcewicz, opisując w swych podróżach po kraju odkrycia w Woronczynie na Wołyniu. Ale nie zwróciło to niczyjjej uwagi. W lat czterdzieści później odkryto pod dnem jezior szwajcarskich, całe posady miast nawodnych i warstwy śmietników podjeziornych, w których przechowały się resztki tysiącznych pali, sprzęty, broń i ozdoby. Co więcej: ponieważ osady nawodne ulegały pożarom i zgliszcza chat tonęły w głębi jeziora, odkryto więc w owych podwodnych pokładach przechowujące się w stanie zwęglenia: szczątki odzieży, ziarna pszenicy, jęczmienia, prosa, lnu, maku i zielsk, które tym roślinom towarzyszą.

W dziesięć lat potem, przy osuszaniu jeziora Czeszewskiego w Poznauńskim, odkryto ciekawe zabytki prastarych nawodzisk czyli mieszkań palowych. Były tam narzędzia z kamienia, rogu renifera lub jelenia i szczątki naczyń glinianych. Wśród tych zabytków, które profesor Łepkowski skrzętnie zebrał dla gabinetu archeologicznego w Kra-



kwie, najciekawszym jest wielki topór z rogu, z podługowatym otworem do obsady.

Po Czeszewie odkryto bytność mieszkań nawodnych w jeziorach pruskich Czarném i Tulewskim, około Ełku, w Lusowie pod Poznaniem, na Białém jeziorze w Grodzieńskim. Profesor Przyborowski znalazł je na kępie Bieleckiej w Lubelskim, pan Kirkor pod Kwaczałą. Zdaje się, że gdy mieszkania na wątych palach budowane, nie mogły istnieć w korytach rzek, dla prądu wody i wylewów, to przeciwnie, niegłębokie jeziora, zatoki, moczary i zalewy, posiadały wszędzie mieszkania ludzi, budowane na palach lub stosach kłoców.

Od mieszkań doczesnych przejdźmy teraz do pośmiertnych.

Mogiła, mówi Kraszewski, jest najstarszym pomnikiem myśli wyższej, szlachetniejszej, nieogładającej się na żadną korzyść doczesną, niosącej cześć prochom, które o nią już same dopomnieć się nie mogą. Piramidy egipskie są mogiłami z kamienia; chciano je uczynić niespożytemi przez wieczność. Podobna myśl przewodziła ludom, które sypały mogiły Krakusa i Wandy pod Wawelem, Perepiata i Perepiatychy na Ukrainie, Igora na Wołyniu, Lecha pod Gnieznem, Mendoga w Nowogrodzku, Gedymina pod Wilnem, Biryty pod Połagą. Są to piramidy słowiańskie i litewskie. Piękném się zdawało usypać górę nad zwłokami zmarłego, unieśmiertelnić jego pamięć, uświęcić miejsce spoczynku bohatera. Cała rzesza ludu brała w tém udział. Mogiła Krakusa dziś jeszcze zawiera 2,390 a Wandy 1,320 sążni kubicznych ziemi. Mogiła Soroka na Ukrainie była przed rozkopaniem prawie tak potężna, jak gmach naszego Wielkiego teatru. Do największych ukraińskich należą: Łysa w Czerninie i mogiły Szpilowe. Michał Grabowski oblicza ilość mogił w gubernii Kijowskiej w przybliżeniu na dwaście tysięcy, a objętość ich na 74 miliony stóp kubicznych. Najbogatszym w mogiły jest powiat Skwirski. Na Ukrainie dla mogił obierano miejsce w pobliżu jarów: na Wołyniu na szczytach wzgórz.

Mogiły oznaczają miejsca starego zaludnienia. Nie są to drogowskazy, ani strażnice, jak niektórzy błędnie mniemają, — są mogiłami Scytów, — są dziełem ludu, który przez długie wieki mieszkał na jednym miejscu. Herodot wyraźnie pisze, że Scytowie ubiegali się w sypaniu mogił jak największych. Stara kronika słowiańska powtarza tradycją, że Scytowie umarłych nie zakopują, ale kładą na ziemi i stawiają przy nich pokarmy i napoje według możności. Zebrany lud poblizki, spożywał co znalazł i nad zwłokami usypywał kurhan. Kto przeto był bogatszy, miał więcej przyjaciół i biesiadników, temu przez dłuższy czas sypano mogiłę; kto był zły lub ubogi, żadnego kurhanu nie dostawał i zwierzę go pożarło.

Kurhany bywają grobami familijnymi. Konstanty Tyszkiewicz znalazł w jednym trzy szkielety, w trzech warstwach nad sobą pogrzebane. Grób potrójny, kamieniami obłożony, odkopał pan Kopernicki z Przybysławskim na Pokuciu. Na familijną mogiłę trafiłem na Wołyniu. Była ona ciekawą. Najpierw zapewne rodzice, zmarłe swoje

dziecię przysypali kurhankiem; dalej jedno z nich położono po śmierci na tym kurhanku dziecięcia i usypano większą mogiłę, w której znalazłem przy zwłokach kawał noża krzemiennego. A gdy przysłała śmierć na drugie z rodziców, już tylko odkopano na wierzchu mogiłę ziemię i na poprzedni szkielet ciśnięto niedbale ostatni. Dosypywanie znowu mogił mniejszych na mogiłach większych, stworzyło oddzielny rodzaj tak zwanych mogił czubatych.

Do epoki mogił ukraińskich należą jeszcze potężniejsze od nich pomniki, sypane ręką ludzką. W gubernii Kijowskiej naliczono 150 horodyszcz i 7 olbrzymich wałów, po kilkanaście lub kilkadziesiąt wiorst długich. Należą one do najciekawszych, zdumiewających zagadek przeszłości.

Naliczono w Europie czterdzieści rodzajów i odcieni grobów przedhistorycznych. Z zabytkami żelaznymi są najrozmaitsze. Odrębną grupę stanowią groby z płyt kamiennych, w rodzaju skrzyni zbudowane. Skrzynia kamienna grobu, mówi Kraszewski, jest najstarszym pomnikiem budownictwa, jest naśladowaniem pieczary, w której chroniła się ludność pierwotna. U nas groby takie, zwykle z sześciu płyt zbudowane, albo ukrywano w głębi ziemi, albo na jej powierzchni przysypywano kurhanem. Najstarsze mieszczą zwłoki niepalone i narzędzia kamienne; późniejsze, zawierają urny z popiołami. Na Ukrainie budowano komory dębowe wewnątrz mogił, niewątpliwie na wzór mieszkań owoczesnych, które przykrywane ziemią, do grobów były podobne.

Groby z płyt kamiennych rozsiane są zrzadka na obszarze Wiśły, i tylko tu i owdzie grupują się na cmentarze, np. w Prusiech królewskich, gdzie pan Ossowski naliczył dwadzieścia pod Szynwałdem, całą setkę pod Tuchomkiem. Profesor Pawiński, w Dobryszycach koło Radomska, zbadał ich dziewięć. Ciekawe są pod Lelewem i Branicą.

Groby takie bywają pojedyncze i familijne. W Ośnicy, przez profesora Przyborowskiego zbadany, zawierał siedm popielnic; tak samo grób w Kłobi, którym się zajął pan Karnkowski. Po tyleż naczyń znachodzono w słowiańskiej niegdyś Meklemburgii. U nas znajdowano najwięcej popielnic i naczyń ośm. Obok popielnic stawiano bowiem dzbanki i miseczki. Urnę z popiołami sieroty przystawiano niekiedy na zewnątrz do kamiennego grobu jej rodziców, żeby nie naruszać ich spokoju.

Nekro-ceramika wielkopolska i szlązka bogactwem i różnaitością przechodzi wszystkie inne w Słowiańszczyźnie. Na cmentarzu w Manieczkach sam prof. Antoni Białecki wy dobył sto ośmdziesiąt glinianych naczyń. W Dobieszewku, w pobliżu Noteci, wydobyto ich trzy tysiące. Z obszaru cmentarza w Lusowie, i odległości, w jakiej się urny znajdują, obliczono w przybliżeniu ilość ich na 10,000.

Muzea w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, Toruniu i Berlinie, posiadają dużo tych pamiątek; a gdyby jeszcze skrzętniej je gromadzić, to Księstwo miałoby największe zbiory ceramiczne w świecie.

Stara Lechia była krajem najludniejszym w całej Słowiańszczyźnie. Cmentarzami pokryły się całe pola: popiołami użyźniła gleba od Odry do Noteci. Ślady podobnego zaludnienia widzimy tylko koło Horonicy na Pokuciu.

Rozmaitość w ceramice wielkopolskiej bardzo wielka. Są tam różnego kształtu popielnice, dzbanki i garnuszki, kubki podwójne i potrójne, miseczki i czerpaki do libacyi, podstawki i przykrywki, czary, łyżeczki, lampki i kadzielnice, grzechotki w kształcie ptaszków i małe naczynka na łyż, łakocie lub balsamy. Niektóre z pięknej gliny i pięknie ozdabiane.

W pojęciu ludów, które popioły zwłok składały w urnach, popielnica była symboliczną przedstawicielką ciała ludzkiego po śmierci: cielesnym domem duszy. I ztąd wszystkim jęj częściom nadano w wielu językach nazwy odpowiednie. Popielnica ma szyję, brzuch, stopę i uszy, w których widziałem raz nawet zawieszone kółka brązowe. Ostatnim wyrazem tęg idei są tak zwane urny twarzowe, czyli noszące na sobie w rodzaju ornamentyki zarys twarzy ludzkiej. Ojczyzną urn takich są dawne województwa pomorskie; z sześćdziesięciu kilku dotąd odkrytych, 30 znajduje się w muzeum toruńskim, 29 w gdańskim, po jedną w Królewcu, Krakowie i Warszawie.

Na Mazowszu nakrywano często popielnice wielkim dzwonem glinianym, czyli rodzajem ogromnego naczynia, przewróconego dnem do góry. Sześć takich kłozów wydobyto w pobliżu Pragi. Znalazły się także nad rzeką Świdrem i w ziemi Wyszogrodzkiej. Zwykle sam ciężar ziemi zgniatał je i ztąd w pierwotnym stanie dochowane, do prawdziwych rzadkości należą.

W pewnym grobie wielkopolskim znaleziono znowu trzy naczynia, włożone jedno w drugie: w najmniejszym były ukryte popioły. Zasługuje tu na wspomnienie niepospolite bogactwo ceramiczne cmentarza w Łęgonicach nad Pilicą. W ogóle starożytne garncarstwo Lechitów przedstawia wielką rozmaitość i stopniowanie od naczyń barbarzyńskich, których ściany dochodzą dwucalowej grubości, do prawdziwych arcydzieł, z których jedno znalezione na Żmujdzi, oglądałem niedawno w Retowie.

Już to samo, że król Jagiełło z podziwem odkopywał popielnice wielkopolskie, dowodzi, że Litwa nie znała ich, i miała odrębne od lechickich zwyczaje pogrzebowe. Jakoż istotnie dzisiejsza granica etnograficzna Mazowsza z Podlasiem jest zarazem krańcem lechickich popielnic na Wschodzie, co dowodzi także, że ludy lechickie mieszkały już w owych czasach na dzisiejszej swęj dziedzinie. Od Narwi i Liwca, po Elbę, ciągnie się przedwieczny, ludny, dość jednolity świat grobów z popiołami w urnach składanemi. Miałżeby to być świat germański, który uczeni niemieccy posuwają po Wisłę, na zasadzie luźnej wzmianki Tacyta?

Pisarz arabski z początku X wieku Ibn Dost, opisując Słowian, zdaje się Lechitów, powiada, że palą zwłoki zmarłych, i nazajutrz



zgarńawszy popiół, wspaną do naczynia, które stawiają na wzgórzu, a w pierwszą rocznicę śmierci przynoszą ze dwadzieścia dzbanów miodu, i krewni nieboszczyka uczują na mogile. Jeszcze w XVI wieku u resztek Słowian w Meklemburgii, spełniano libacye nad grobem i wlewano napój do mogiły. Ztąd owa mnogość naczyń libacyjnych w grobach lechickich, ztąd zwyczaj Dziadów na Litwie, obiadów żałobnych i stawiania posiłku na grobie. Paganie słowiańscy wszędzie i zawsze do grobów swoich wstawiali naczynia z pokarmem. W grobie pokuckim znalazł pan Przybystawski na misce kostki prosięcia. Pokazuje się, że prosię było zawsze przysmakiem.

Grób, mówi Kraszewski. był w pojęciu starożytnych, chatą na nowe życie zbudowaną. Stawiano więc przy umarłym, czego mógł potrzebować: pokarm, oręż, psa, konia—niewierząc, niechęc przypuścić by rzeczywiście umarł, sądząc że tylko zmienił rodzaj i warunki życia. Związek nawet między nim a żyjącymi utrzymywało coroczne odwiedzanie grobów, które od niepamiętnych wieków w całym świecie, a szczególnie w Słowiańszczyźnie, było zwyczajem religijnym.

Cezar podaje zwyczaj Gallów kładzenia do grobu przedmiotu, który za życia był nieboszczykowi najmiłszym. Zwyczaj ten mieli i Słowianie. Do popielnicy kładziono śpiłkę, zapinkę, strzałę, krzemnyk—co nieboszczyk posiadał. Rycerzowi miecz żelazny, który zgiano, żeby się zmieścił w urnie. Na Litwie i Rusi bywają w grobach skielety koni, uzdy, wędzidła i osetki. Wogóle w grobach, mianowicie kobiecych znajdowane bywają paciorki, grzebienie kościane krótkie, szerokie, ozdabiane kóleczkami, krażki gliniane, które służyć miały do wrzecion. Zapewne kładziono całe wrzeciona.

Palenie zwłok nie jest wcale rzeczą łatwą. Doświadczenia nowoczesnych zwolenników tego zwyczaju, wykazały, że aby spopielić ciało w ciągu trzech godzin, potrzeba 2,000 stopni Celsyusza. Ztąd palenie na zwykłym stosie, trwało najmniej dzień jeden. Był to czas sprzyjający obrzędowi i długim libacyom <sup>1)</sup>. Żar podsycano silnie, gdy znajdujemy paciorki szklane stopione. Do palenia służył dół czworokątny, gliną lub kamieniem wyłożony. Lechici wbrew zwyczajowi rzymskiemu palili nie tylko dorosłych ale i dzieci, których popioły chowali w matych urnach.

W pierwszych wiekach po zaprowadzeniu Chrześcijaństwa, lud nasz zachowywał jeszcze zewnętrzne formy pogrzebowe pogańskie. Dowodzą tego monety z XI wieku w popielnicach znajdowane i inne odkrycia. Kościół bowiem zwracał główną uwagę na istotę wiary, tolerując dawniejsze formy zewnętrzne i zwyczaje.

Herodot o pogrzebach królów scytyjskich powiada, że razem z królem grzebano zabite jego sługi, konie i złote sprzęty, złoto bo-

<sup>1)</sup> Lud nasz dziś jeszcze zbiera się przy zwłokach zmarłego, dla spędzenia nocy na śpiewach, poczęstunku i libacyach. U najuboższych bez wódki nie obędzie się.

wiem, jak twierdzi, szczególnie było przez Scytów upodobane i używane. Gdzieindziej znowu dziejopis grecki wzmiankuje, że królowie Cymmerów, pobici przez Scytów, pochowani zostali nad Dniestrem. Szczegóły te może mają jakiś związek z owym skarbem znalezionym zaszłego roku w Michałkowie na Podolu galicyjskiem, którego odkrycie zelektryzowało archeologów całego świata. Skarb ten obejmujący sześć funtów czystego złota, zakupiony przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, jest według hr. Wojciecha Dzieduszyckiego wyrobem greckim przyniesionym w początku naszej ery przez ludy dako-trackie. Skarby podobne znajdowano już kilkakrotnie w okolicach dawnych kolonij greckich nad morzem Czarném.

Bardzo ciekawym i zagadkowym pomnikiem na podgórzu karpackim są tak zwane bołdy polanickie. Ma to być świątynia na sposób starych pagod indyjskich w skałe wykuta, a raczej góra zamieniona ręką ludzką w rzekomą świątynię. Uderza tu związek budownictwa aryjskiego ze wschodnio indyjskiem. W okolicy Sinowodzka i Urycza, koło wsi Polanicy, na górze Sokolój, masy skał, zwane Bołdami, przedstawiają widok nader ciekawy. W skałach tych wykute są izby, ołtarze, wschody, przejścia i ławy. Nad jednymi drzwiami znajduje się wgłębienie, jakie zwykle w pagodach na wstawienie posągów robiono. Świątynia, później może na zamczysko przerobiona, ma postać warowni najeżonej wieżycami. Bołdy są pomnikiem olbrzymiej pracy, tem ciekawszym, że dziwnie tajemniczym, bo nie odkryto przy nich nawet szczątków narzędzi, któremi skała wykuwaną była, ani innych śladów starożytnego zaludnienia.

Słowiańszczyzna ulegała od wieków wpływowi Grecyi i Italii. Na Ukrainie i Podolu stykał się świat słowiański z greckim, na zachodzie lechicki z rzymskim. Na kilka wieków przed naszą erą, Grecy mieli rynki handlowe nad rzekami w głębi Scytyi, stawiali świątynie, kwitły ich miasta. Kijów ma być starą osadą grecką. Bogata Olbia nad limanem dniewprowym królująca, prowadziła handel z Bałtykiem. Pan Sadowski na podstawie wykopalisk i licznych rozmaitych wskazówek nakreśla drogi prastarego handlu etruskiego, które prowadziły z Italii przez Czechy, Szlązk, Wielkopolskę na Pomorze pruskie do brzegów bursztynowych, tudzież z czarnomorskich osad greckich do Wisły i Niemna. Etruskowie dostarczali nam wyrobów bronzowych, Grecy soli limanowej, której obfitość mieli wielką i zbieranie łatwe. Bałtyk miał w zamian prawie na równi ze złotem ceniony wówczas bursztyn, o którym mniemano na Południu, że się tworzy z łez przemienionej w drzewo topolowe siostry Faetona. Pan Sadowski przypuszcza, że znany Olbiopolitanom bursztyn kopalny scytyjski, pochodził z nad Narwi, bo się nigdzie więcej w podobnej obfitości nie znajduje.

Wpływ italski i grecki uderza w wykopaliskach naszych. Najstarszych przedmioty bronzowe z grobów wielkopolskich są etruskie-

go wyrobu i sięgają V wieku przed naszą erą. Odkryto nawet w Maślowie i Dembem dwa całe groby rzymskie, w których może popioły kupców italskich spoczywały. Stara ceramika Ukrainy i Wołynia nosi cechy wpływu greckiego. Znajdowano tam nawet prawdziwe naczynia greckie i pyszne wazy etruskie <sup>1)</sup>. Całą zbroję grecką, z miedzi korynckiej, odkryto w mogile pod Petrykówką. To znowu glinianą maskę rzymską w popielnicy nad Notecią. Bożki egipskie znalezione na Żmudzi uważa Kraszewski może zbyt śmiało za ślad stosunków fenickich. Posiadam brązowe posążki rzymskie, wykopane z tej strony Karpat, jeden w Piotrkowie trybunalskim. Wszystek zresztą bronz znajdujący u nas nie jest miejscowego pochodzenia.

Po roku 106 naszej ery, gdy Dacya zdobytą została przez Rzymian, granica olbrzymiego państwa wysunęła się za Karpaty do Prutu i Dniestru na Pokucie i Podole galicyjskie. Tam też odkryto całą ceramikę odrębną, naczynia malowane kolorami mineralnymi barwy żółtawej, białej, czerwonej i brunatnej.

Ale najlepszym dowodem licznych stosunków, wprawdzie często pośrednich, są rozsiane po całej Słowiańszczyźnie stare monety rzymskie a nawet greckie: koło Bydgoszczy znaleziono tetradrachmę z wyspy Thasos. Pod Szubinem 39 monet greckich z V-go wieku przed Chrystusem. Bliżej Bałtyku gdzie handel bursztynem ogniskował się, zasiano gęsto monety rzymskie. Pod Ostrudą w Prusiech, odkryto ich tysiąc z górą. Pod Liwem naszym kilkaset. Na Ukrainie za Czackiego znajdowano całe skarby monet rzymskich. Posiadam monety znalezione na Podlasiu. Najwięcej u nas odkrytych, pochodzi z czasów Wespazjana, Tytusa, Domicyana i Antonina. Natomiast wyrobów rzymskich z tych panowań, nader mało, co wskazuje, że handel bursztynu prowadzony był już nie zamienny, lecz za gotówkę. Monet Hadryana mnóstwo nad Dniestrem. Za Tyberyusza, Kaliguli i Klaudyusza upadł handel bursztynem. Świadczy o tém wysłanie rycerza rzymskiego za Nerona na odszukanie dróg handlowych przez Lechią, z tradycyi już tylko znanych w Italii.

Liczne wskazówki każą mi wnosić, że na szlaku handlowym prowadzącym od Dniestru ku Bałtykowi, główną arteryą był Bug. Droga ta szła prawdopodobnie przez okolice Lwowa, kędy płynie uchodząca do Buga, Pełtew. Szlak to był przeważnie wodny, więc najdogodniejszy w czasach, gdy w olbrzymich puszczech nie było dróg przeciętych, mostów na rzekach ani grobli na moczarach. Znajdowane w tym kierunku liczne wykopaliska, myśl powyższą nasuwają. Np. pod Sokołowem na Podlasiu, znaleziono taką ilość starożytnych bronzów, że jeden wieśniak sprzedał ich na przetopienie ośmnaście funtów. Niedawno znów oglądałem czterofuntową bransoletę ze spiżu, wykopaną koło Drohiczyzna.

<sup>1)</sup> Pliniusz świadczy, że wyroby ceramiczne z Mutiny w Italii, wywożono na wszystkie strony świata.



Instynkt przyozdabiania swego ciała jest wspólny zarówno ludom dzikim jak ucywilizowanym, zarówno czasom najodleglejszym jak XIX wiekowi. Płynie on bowiem z psychologicznej istoty ducha ludzkiego i istnieć będzie tak długo, jak człowiek na ziemi, przechodząc tylko fazy odpowiednie do mody, pojęć estetycznych i cywilizacji. Niewygodne i nieprzyzwoite kółka u nosa zastąpione być musiały kótkami w uszach, malowanie słońc i smoków na policzkach, wdzięczniejszém przykraszaniem rumieńców.

W wykopaliskach starożytnych ozdoby stanowią treść przeważną. Są to brązowe zapinki i bransolety, obręcze i naszyjniki, kolczyki, szpile i wisiadła, pierścienie i paciorki, ozdoby pasów skórzanych i czepców kobiet. Linią ornamentacyjną właściwą bronzom, jest spiralna linia nieskończoności, uosobiana także w całych kształtach przedmiotów. Fibule brązowe misternej roboty zupełnie na sposób dzisiejszych brosz, mają pod spodem śpilkę na sprężynie, zahaczającą się o żłóbkowatą blachę. Pierścienie noszono na palcu wskazującym lub średnim. Rozmiar ich zarówno jak bransolet, wykazuje, że rączki i paluszki przedhistorycznych elegantek, miały wcale dystygowane rozmiary, były równie subtelne, jak te, które dziś królują w naszych salonach. Znajdowano szpile z główkami emaliowanemi, bo emalia na kruszcu i szkle, na tysiące lat wynalazek swój liczy, a emalie starożytne mają przymiot trwałości wyższy niż dzisiejsze. W pierścienie złote oprawiano szkiełka i krwawniki. Osobliwe są bransolety szklane tudzież brązowe, na glucho zanitowane, które się z ręki nigdy nie zdejmowały. Te które noszono powyżej łokcia, dochodzą kilkufuntowej wagi.

Znaleziono galony i szczątki złotem tkanęj materji pod głową kobiety w grobie pokuckim. W innym grobie pochowana, zapewne dziewica, miała przepaskę ze złotej lamy na czole. Były to oczywiście starożytne stroje w tamtych okolicach.

W Żarnówce koło Kałuszyna, odkryto w grobie przedwiecznym ślady czepca, ozdobionego na skroniach wiązkami sporych kótek brązowych. Pod wpływem tego metalu, dochowały się w suchym grobie szczątki uszów nieboszczki i włosy barwy płowej, najpospolitszej dotąd u ludu tamtej okolicy.

W ozdoby srebrne była bogata stara ludność mazowiecka pod Płockiem. Z popielnic wymulonych w Ośnicy w czasie wylewu Wisły, posiadają kolce i naszyjniki, tak misternej roboty, że dziś możnaby je używać i naśladować. Składanie kosztownych przedmiotów do grobów, dowodzi, że przed laty tysiącem, moralność naszych „Mazowszan” jak ich Nestor nazywa, a przynajmniej poszanowanie własności grobów, na wysokim było stopniu. Nie sądzimy, azali byłoby dziś bezpiecznie w miejscu otwartém zachowywać srebrne kolczyki.

Paciorki wśród dawnych ozdób, grały niepospolitą rolę. Liczne ich sznury spinano klamrą. Rozmaitość ich była wielka. Hr. Konstanty Tyszkiewicz, w tysiącu sztukach naliczył 76 rodzajów. Najpo-

spolitsze są szklanne barw przeróżnych. Wyrabiano je także z agatu, aquamariny, marmuru, łupku, złota, srebra i gliny, z blaszki i cienkich drucików. Bywają kształtu kłębuszków i baryłek, szklanne ozdobne są w paski, plecionki a nawet kwiatki purpurowe. Ciekawą jest paciorka koralowa z mogiły Wielkiego księcia Igora, poległego w r. 950 w bitwie z Drewlanami, na którego zwłoki, według podania, żona jego Olga, zdjęta z siebie ozdoby rzuciła. Paciorka ta przedstawia kłębek tasiemki kilkakrotnie tak przewiercony, że przez którąkolwiek dziurkę przewleczone jest nitka, zawsze przechodzi przez środek.

Sznurami paciorek stroiły się nie tylko kobiety, ale mężczyźni i dzieci. Znalezione trzydzieści sześć perełek szklanych na szyi niemowlęcia, w innym grobie z podobnej liczby zrobiony nagolennik. W Infłantach rycerz miał naszyjnik z trzech obręczy brązowych, przegrodzonych dwoma sznurami paciorek. Noszono także kolczyki z perełek kornalinowych, a ze wszystkiego widać, że już przed lat tysiącem znano równie jak dziś modę i zbytek, próżność i kokieterę.

Piękne Litwinki nosiły brązowe dyademy, ale lubowały się nade wszystko w naszyjnikach, których obfitość i różnorodność miały wielką. Najciekawsze naszyjniki są z małych jak laskowy orzech, niekiedy połączonych dzwoneczków a raczej brzękadetek, które przy najmniejszym poruszeniu się dziewczicy, lekki szmer wydawały. Szaty niewiast, w szczątkach dochowane, były z tkanin wełnianych i lnianych, na których dostrzeżono ciemne paski. Niema wątpliwości, że były one wytkane własną ręką swoich właścicielek, z którymi któż wie, czy nie mogliśmy się mazurskim dyalektem rozmówić, jeżeli zważymy, ile to tysięcy Budrysów wprowadzało prawie corocznie branki znad Narwi i Wisły. Naszywano szatę niewieścią z przodu, blaszkami brązowymi w cztery rzędy, które zakończyły się u dołu dzwoneczkami. Kubrak wełniany mężki, podobnymi blaszkami nabyty, zastępował Litwinowi pancerz. Skromne córy Palemona, nie używały jeszcze trzewików, których podeszwy tylko w jednym grobie dotąd odkryto; trzeba bowiem wiedzieć, że skóra w suchym piasku, przechowuje się wiele wieków. Ale dziewczice z nad Wilii i Niemna odznaczały się pięknnością drobnych, alabastrowych ząbków, które ocenić same mogły przy wdzięcznym uśmiechu w zwierciadłkach metalowych, z jednej strony wypolerowanych, ale należących do tak wielkich osobliwości w swoim czasie, że ogół porzestawał na zwierciadle wody krynicznej.

Wiele mogił okazało się bardzo zagadkowych, wiele było ostatnim aktem krwawych tragedyi, scen dziwnych, okropnych. W mogi-le pod Raginianami leżało na piersiach kościotrupa siedm czy dziewięć czaszek ludzkich, jedna w drugą nałożonych. Na palcu miał kółko żelazne do naciągania łuku, obok leżała żelazna włócznia. Byłżeto bohater, który tyłu wrogów pokonał? Gdzieindziej u nóg szkieletu leżała ucięta inna głowa z bogatym naszyjnikiem. W Tymoszwówe na Ukrainie odkryto w mogile mnóstwo głów bez szkieletów. Chirurgia

nie była obcą starożytnym. Znajdowano szkielety z wyleczonóm szczęśliwie złamaniem nogi lub ręki.

Do najciekawszych należy mogiła Perepiatychy, o której mówi podanie, że zginęła w boju niepoznana przez męża, gdy z poczem domowników swoich, wyjechała na powitanie powracającego z wojny Perepiata. Przy rozkopaniu tej wielkiej ukraińskiej mogiły, znaleziono 12 stosów ciałopalnych i tyleż szkieletów dokoła wielkiej, prostokątnej izby zbudowanej z bierwion dębowych, która przykryta głazami i nasypem dawno była runęła. Niektóre zwłoki pochowano w pysznych strojach. Sznury paciorek kolorowych okrywały ich piersi. Przy jednych było 24 małych gryfów ze złotej blachy i kosmyki jasno-żółtych włosów: byłyto włosy Perepiatychy?

Mogiłę bogatą w złoto rozkopał w stepach p. Tereszczenko. Grób niezmiernego bogactwa rozkradli robotnicy w Osocie. Pod Chomiatowem na Wołyniu wyorano naczynia srebrne kształtu głów byczych i baranich, pod Suszyczem włócznię żelazną ze srebrnemi runami, którym profesor Wimmer z Kopenhagi przypisał ważne znaczenie. W puszczy Łochojskiej hr. Konstanty Tyszkiewicz odkrył grób alchemika czy ludwisarza, w którym znalazł szalki i zlewki kruszców. W starym grobie nad Notecią znaleziono klucz brązowy bardzo skomplikowany, na Pokuciu ozdobny kubek szklany. Szkło jest arcydawnym wynalazkiem, znano je w starożytnym Egipcie. Do ciekawych zabytków szklanych należą u nas dęte kule, nazywane dziś łzawnicami. Największą ze znanych mi, znalezioneą na Litwie, ze szkła zielonawego, przedstawiam szanownym słuchaczom.

A teraz jedno jeszcze pytanie chciałbym rozwiązać. Czy niszczenie starych grobów i prochów zmarłych, zabieranie ich własności, jest lub nie jest grobობstwem? Oczywiście że jest. Bo czyż poganie dlatego, że nie oświecono ich jeszcze wiarą Chrystusową, mają tracić prawo do własności i pośmiertnego spokoju. Czy może dlatego stracili je, że żyli przed lat tysiācem a nie późniēj? Jakiż więc przeciąg czasu ma w takim razie służyć za normę?

Na to wszystko dajemy odpowiedź, że grobობstwem jest buzerzenie prochów, spowodowane lekkomyślną ciekawością i płochem amatorstwem. Poszukiwania takie dorywcze, bez naukowego przygotowania prowadzone, niszczą niepowrotnie wiele skarbów naukowych. Bo wiadomē jest, że okoliczności, w których pozostawał zbytek, mają często więcj wagi, niź sam przedmiot.

Dopiero poszukiwania ściśle naukowe zmieniają istotę czynu, odejmując mu piętno nieszlachetnego postępku w imię mogącego spłynąć dla nauki pożytku, w imię zasady, która dzieje przeszłości stawia dla nauki nowego żywota i z rozkładu cząstek organicznych czerpie ożywcze siły nowego bytu.

Jeżewo, w lutym 1879 r.



# Syn Margrafa.

TRAGEDYA Z X WIEKU, W PIĘCIU AKTACH \*).

PRZEZ

*Bronisława Grabowskiego.*

## AKT V.

(Pole; w głębi wzgórze, zakrywające dalszy widok; na lewo namioty. Wzgórze i głąb sceny zajmuje oddział żołnierzy: z pierwszego namiotu wychodzi Luthar).

### Scena I.

LUTHAR—ŻOŁNIERZE.

LUTHAR.

Cóż się tam dzieje?

1 ŻOŁNIERZ (z pagórka).

Nasi ciągle górą

I wróg się cofa.

LUTHAR.

W tę stronę?

2 ŻOŁNIERZ.

Nie wcale,

Ku lasom.

LUTHAR.

Dobrze, pewni być możemy,  
Że już Polanie na obóz nie natrą.

3 ŻOŁNIERZ.

Więc kiedy obóz bezpieczny, to chodźmy  
Złączyć się z wojskiem Margrafowém.

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

LUTHAR (*do żołnierza*).

Zatrąbl

(*do innych*). Wy w jeden oddział się zbierzcie! Hej, żwawo!  
(*żołnierz trąbi; inni zgromadzają się na pagórku w głębi*).

LUTHAR (*do siebie*).

Gdyby słowiański oszczep albo strzała  
Sięgnęły w piersi staremu wilkowi,  
Lub lepiej temu młodemu szczenięciu  
Tak, żeby życie z łona mu wydarły,  
Jakżeby naszej usłużyły sprawie!  
Przynajmniej gdyby hufce mu rozbito;  
Lecz nie, on górą! Snadź jakieś zakłęcie,  
Albo tajemną posiada modlitwę,  
Co mu zwycięstwo ściąga! Ha, Ottonie!  
Widać kres twoich prób jeszcze daleki:  
Bracia, rodzony syn, zięć cię zdradzali,  
Dziś najwierniejszy sługa zdradzi ciebie.  
Gdyby dopomódz losowi i zdradą  
Upредить zdradę! (*wchodzą inni żołnierze i prowadzą Abona  
z krótko ostrzyżonym włosiem, w nawpół słowiańskich szatach*).

## Scena 2.

LUTHAR—ABO—ŻOŁNIERZE.

4 ŻOŁNIERZ.

Nowy jeniec, grafie!

LUTHAR.

Kto jesteś?

4 ŻOŁNIERZ.

Z twarzy znać, że nie Słowianin.  
To pewno który z naszych, co dziś wrogom  
Za szpiega służy.

LUTHAR.

Biada ci, nikczemny!

ABO.

Nie jestem Niemiec!

LUTHAR.

Nie?

ABO.

Nie!

LUTHAR.

Toś Włoch pewno!  
 Masz czarne oczy i kędziory krucze,  
 Teś ostrzygł, by cię nie poznano! Włochu!  
 Niemiecki cesarz jest i twoim panem:  
 Zginiesz jak zdrajca. Zda mi się, że kiedyś  
 Widziałem ciebie. Ktoś ty?

ABO.

Włoski kupiec,  
 Przypadkiem wpadłem w słowiańską niewolę.

LUTHAR.

Tak, wiem, wiem! Niegdyś miłością kupczyłeś,  
 Wiernością dzisiaj kupczysz. Jesteś Abol!  
 Choć blizny gładką twarz ci zeszpeciły,  
 Poznałem. Prawda?

ABO.

Poznałeś mnie, wodzu!  
 Wiiesz, co mnie w zamku Margrafa spotkało;  
 Tam więc musiałem poszukać schronienia,  
 Gdzieby dłoń jego nie dosięgła.

LUTHAR.

Głupcze,  
 Snadź ci sądzono, byś nie uszedł kary;  
 Biada ci: winny jesteś śmierci!

ABO *(klękając)*.

Wodzu!

Wspaniałomyślny wodzu!

LUTHAR.

Wstań, wstań, nędzny!  
*(do żołnierzy)*. Hej, idźcie sobie: zostawcie go!  
*(żołnierze, którzy przyprowadzili Abona, wychodzą)*.  
 Powiedz,

Chciałeś się pewno pomścić nad Zygfydem?  
 Słuchaj: wam, Włochom, zdrada jest zabawką,  
 U was się rodzą jadowite gady,  
 Które was uczą przypełznąć pocichu  
 I nieobaczną pierś użądlić!

ABO.

Wodzu,

Litości!



LUTHAR.

Powiedz, chciałybyś spełnić zemstę?

ABO.

Na tom jedynie uciekł tu.

LUTHAR.

Co wolisz:

Nagrodę, czy też stryczek kata? Wybór  
 Nietrudny wcale. Słuchaj, spełń twą pomstę,  
 Choćbyś miał przytém życie swe narazić;  
 Ja ci przyrzekam w imieniu cesarza  
 I przebaczenie i nagrodę hojną.

ABO.

Czegóż więc żądasz?

LUTHAR.

Dowiesz się: chodź ze mną;

Myśl o nagrodzie tymczasem!

*(do żołnierzy). Hej, za mną!*

*(Wchodzi z Abonem na pagórek i razem z żołnierzami uchodzą w głąb sceny;  
 z prawej strony wchodzi Gero z obwiązaną nogą, wspierając się na ramieniu  
 Zygfrйда).*

### Scena 3.

GERO—ZYGFRYD.

GERO.

Przekłęci! Darmom myślał, iż ta wojna  
 Igraszką marną będzie, że ich zdmuchnę  
 Jak proch, jak piórko; walczą jak psy wściekłe.  
 Dzisiejszy dzień mię tak osłabić może,  
 Iż do ważniejszej walki sił niestanie.

ZYGFRYD.

Siądź, ojczel!

GERO.

Lepiej powróćmy do wojska.  
 Gdy nieobecnym wódz, w żołnierzach snadno  
 Upada mężstwo.

ZYGFRYD.

Siądź, siądź: opatrz ranę!

Spocznij, za ciebie ja wojsko zagrzeję.

(*Gero siada na kamieniu*)

GERO.

Nie chodź odemnie, choćbym przegrał bitwę,  
Drugą, tysiące wygram; lecz gdy ciebie  
Stracę, straciłem wszystko: życie, więcęj  
Niż życie samo nawet, bo cel życia.  
Wstąp na ten wzgórek, zobacz co się dzieje.

(*Zygryd wchodzi na wzgórze*).

Co? mów!

ZYGFRYD.

Polanie ustępują zwolna.

GERO.

Dobrze im, dobrze! Ha! zuchwały książe,  
Czemuś mi w drogę wszedł w takowej chwili?  
Na miazgę zetrę go!

ZYGFRYD.

Ach! gdyby można  
Zatrzymać szyki i pokój z nim zawrzeć,  
By przyjaźnego mieć sąsiada raczej,  
Niż skrzywdzonego wroga.

GERO.

Czy szalejesz?  
Gdy dwa płomienie się zleją, jakoważ  
Moc je rozdzielić zdoła? Przymię lepiej  
Zgnieść go, bo potem będzie pod nogami  
Płatał się, jak na drodze kamień.

ZYGFRYD.

Ojcze!  
Zwycięztwo nowe daje Bóg, lecz drżymy,  
Bo może na to na szczyt chwały wiedzie,  
By potem srożej strącić na dół. Ojcze,  
Ja się zwycięztwa dzisiaj lękam!

GERO.

Nie czas  
Na te trwożliwe myśli; idźmy naprzód,  
Nie oglądając się w tył. Cóż tam więcęj?  
Co?

ZYGFRYD.

Sztoderanów zastęp walczy mężnie,  
Lecz go odcięto; zewsząd napierają  
Nasi i wkrótce otoczą ich wkoło! (*schodzi ze wzgórza*).

GERO.

Ha! głupie zbiegł! Dałem rozkaz wojsku,

By jaknajwięcej wzięto ich w niewolę:  
 Kat ich nauczy, coto stawiać opór  
 Swojemu panu. Skoro ci wyginą,  
 Do nóg mi padnie reszta, i jak bydło,  
 Gdzie mi spodoba się, popędzę!

ZYGFRYD.

Ojczel  
 Kiedy przywiodą ich przed ciebie, przebacź!  
 Swą łaskę okaż im!

GERO.

Zato, że w oczy  
 Zniewagą tobie plunęli, gdyś rękę  
 Wyciągnął do nich? Ja wyciągnę dłonie,  
 A w dłoniach moich będzie stryczek kata.

ZYGFRYD.

Jednego chociaż czynu miłosierdzia,  
 Przy niesłuchaném powodzeniu. Ojczel!  
 Przejednaj ich, przejednaj! niechaj niebo  
 Zobaczy, że choć kropelka dobrego  
 Została w duszach naszych.

GERO.

Przestań, synu!  
 Milcz! Niecierpliwisz mię; na przejednanie  
 Zapóźno dzisiaj!

ZYGFRYD.

Prawda, dziś zapóźno;  
 Wczoraj, o, dawniej już zapóźno było!  
*(Żołnierz ukazuje się na wzgórzu).*

GERO *(do żołnierza).*

Co tam nowego?

ŻOŁNIERZ.

Bronią się zajadle,  
 Lecz zwyciężymy niezadługo.

GERO *(do Zygfrйда).*

Słyszysz?

ZYGFRYD.

Ach, ojczel! Klęska—to zwycięztwo nowe!  
 Do płonącego ogniska ogromny  
 Pień dorzucamy; wkrótce płomień buchnie  
 Aż pod niebiosa. Nie przejednaliśmy  
 Tych, których dusze od nas odtrącone  
 Na wieczne czasy; a pozyskujemy  
 Tysiące nowe, co nas nienawidzić  
 Na całą wieczność będą!



GERO.

Stój, mój synu!

Stój! Co ty mówisz?

ZYGFRYD.

Biada nam! Czy słyszysz,

Jak wszystkie ludy na okręgu ziemi

Nas przeklinają, całe plemię nasze

Do ostatniego pokolenia! Biada!

Już sprawiedliwość przedwieczna ofiary

Woła. Lecimy w przepaść pewnej zguby.

GERO.

Szalony, czyliż szatan cię opętał,

Że mię tak dręczysz? Coto jest, Zygrydzie?

ZYGFRYD.

Nic, ojcze! Widzisz, ludzie tu nadchodzą,

Wieść o zwycięztwie ci niosą.

*(wchodzą Luthar, Abo i oddział żołnierzy).*

## Scena 4.

GERO—ZYGFRYD—LUTHAR—ABO—ŻOŁNIERZE.

LUTHAR.

Zwycięztwo!

Wróg ustępuje, cofa się do lasu.

GERO.

Nie dopuszczajcie ich do lasu; Boże!

Choćby w nim tylko garstka utonąła,

Przepadło wszystko; powrócą dziesięćkroć

Liczniejsi; zanic wtedy to zwycięztwo!

Niechaj na miejscu zostaną zgniecenii!

Na nowe walki dziś niestaje czasu.

LUTHAR.

Przeciąć im trzeba odwrót.

GERO.

Tak, koniecznie!

LUTHAR.

Wśród wzgórz jest przejście, można im zmienacka

Zabieżeć drogę. Poślij oddział wojska:

Tu jest przewodnik, co go poprowadzi.

GERO.

Weź więc ze sobą ilu chcesz żołnierzy

I idź; do lasu ich nie dopuszczajcie!

Inaczej szkoda wszystkich naszych trudów.

LUTHAR.

Na stanowisko swoje wracać muszę,  
Na chwilę tyłkom je opuścił. Trzeba  
Innego posłać.

GERO (*oglądając się*).

Dobrze, ale kogo?

LUTHAR.

Widzisz; pod bokiem masz dzielnego syna,  
On niechaj idzie.

GERO.

Nie, on przy mnie musi  
Pozostać: nie chodź! nie chodź!

LUTHAR.

Dziś nie szczędzi  
Nikt ani trudów, ani życia nawet.

GERO.

Chcesz-że odrywać syna od rannego  
Ojca?

ZYGFRYD.

Tak, ja się oszczędzać nie mogę.  
Puść mię, mój ojczel! To powinnośc moja.  
Naszego życia nieć Bóg w ręku trzyma,  
Czegóż więc lękać się?

1 ŻOŁNIERZ.

Chodź z nami śmiało.

GERO (*do Zygryda*).

Nie, nie odwołuj się do Boga, synul  
Nikt nie wie wprawdzie, kiedy i na kogo  
Gotuje gromy, ale i ostrożność  
Ludzka coś znaczy.

2 ŻOŁNIERZ.

Chodź z nami, Zygrydzie!  
Odważny jesteś, z odważnymi idziesz  
I niemasz wcale czego bać się wroga,  
Który się cofa.

LUTHAR.

Idź śmiało, młodzieńcze!  
Tylko pośpieszcie się, bo czas ulata.

GERO.

Nie chodź, Zygrydzie—nie chodź miły synul  
Wolałbym, żeby uszli sobie w lasy;  
Przegrana bitwa nie jest taką stratą,  
Jaką byłaby śmierć młodzieńca, z taką  
Przyszłością, która cię czeka.

ZYGFRYD.

Więc nie chciej,

Żeby przyćmiła ją hańby zasłona.

Byłoby lepiej umrzeć, niżli chwałę

Całego życia w jednej stracić chwili.

Hej, przewodniku, naprzód! Za mną bracia!

*(Zygryd z Abonem i pewną częścią żołnierzy odchodzi w głąb na pagórek—  
Luthar z kilkoma innymi wychodzi na prawo).*

GERO.

Ostrożnym tylko bądź! Strzeżcie go pilnie,

Jak własnej głowy; ani wam się śniło,

Jakie tkwi szczęście dla was wszystkich w życiu

I w losach jego *(Zygryd z towarzyszami odchodzi; do pozostałych):*

Nie dziwcie się wcale.

Jam śmiały, gdy on tuż przy moim boku,

Gdy go zasłonić mogę. Wszystkie moje

Trudy dla niego tylko. Za świat cały

Nie chciałbym patrzeć na mogiłę jego.

*(wchodzą Ekwart, Giunter, Herman i kilku żołnierzy i prowadzą Mojmira,  
Żeliszawa i kilku innych Słowian).*

## S c e n a 5.

GERO—EKWART—GIUNTER—HERMAN—MOJMIR—ŻELISŁAW—  
SŁOWIANIE—ŻOŁNIERZE.

EKWART.

Margrafie, patrzaj, jeńców ci wiziemy!

GIUNTER.

Poznajesz pewno: to poddani nasi.

GERO.

Ha! oni: prawda. Co, czyż nie potężna

Margrafa ręka? Dosięgła was w końcu,

Choć uciekliście za bagna i lasy.

Znów dzisiaj do was moję dłoń wyciągam,

Lecz nie do zgody jak niegdyś: dziś ona

Wam niesie karę i zagubę.

1 SŁOWIANIN.

Wiemy,

Co nas z twój ręki czeka. Dopełń miary

Twych zbrodni: nasza śmierć to kropla tylko

Do tego morza krwi, którąś już wylał.

ŻELISŁAW.

Dziady i ojce padały pod nożem

Srogości twojej; dzisiaj nie oszczędzaj

Wnuków: niech giną i oni!



GERO.

Ha, głupcy!  
Trzeba wam było siedzieć jako myszy  
Spokojnie w jamie; nie wiedziałbym pewno  
O waszém nawet istnieniu. Ha! żaby,  
Czemuście głowy z błota wytykali?

HERMAN.

Są tu i owi, którym przebaczenie  
Przyobiegałeś i łaskę; psy, dłonią,  
Co ich głaskała, wzgardzili: niech liżą  
Katowską rękę, gdy ich dusić będzie.

GERO (do Żeliszawa).

To ty młodzieńcze, pewnoto twą siostrę  
Syn mój wprowadzić chciał do domu mego;  
Wiedz, że ją teraz zawlecemy z sobą,  
Lecz na igraszkę pachołkom zamkowym.

ŻELISŁAW.

Dziewicę czystą ocaliły bogi  
Od waszych zniewag i miłości waszój.  
Nie znajdziesz nawet miejsca, gdzie w mogile  
Śpi, już bezpieczna przed niemiecką dłonią.

GERO.

Niech gnije w ziemi: mniejsza o nią. Idźcie!  
Kat się dziś z wami rozmówi.

ŻELISŁAW.

O, stryju!  
Giniemy marnie! Na ognisku rodu  
Naszego gasną ostatnie płomyki;  
Nie pozostaje nikt już, coby świętą  
Ofiarą, przodków wspominał <sup>1)</sup>.

MOJMIR.

Już nieczas  
Na żale, skargi! Idźmy na śmierć śmiało.  
Na rajskiej łące odnajdziemy ojców,  
Tam już nie będziemy widzieć naszych wrogów;  
Po śmierci bowiem do nas już nie trafią;  
Noc ich pochłonie czarna: na dnie piekła  
Zmije i gady gryść ich będą wiecznie <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> U Słowian było w zwyczaju składać ofiarę zmarłym przodkom (dziadom), których posągi umieszczano na ognisku lub zakopywano pod progiem.

<sup>2)</sup> Piekło pogańskie było straszną ciemnością, a potępionych dręczyły gady piekielne.

ŻELISŁAW.

Snadź gwiazda nasza zgasła już na niebie! <sup>1)</sup>  
 Żupanów dawnych wnuki bezpotomnie  
 Ze świata schodzą— a zostają tylko  
 Krzywd niepomszczonych stosy!

MOJMIR.

O! są jeszcze  
 Na niebie bogi; kiedy już dłoń ludzka  
 Nie starczy, one na zbrodniarzy rzuca  
 Niespodziewany grom swój strasznej kary.

ŻELISŁAW.

Ach! opuściły nas bogi w niebiosach!  
 Albo bezsilne pomścić nas nie mogą.  
*(do Gerona)* Jeśli to prawda, że wasz Bóg potężny  
 I sprawiedliwy, jak głosicie sami,  
 Niech świętej zemsty On dopełni za nas.  
 Margrafie, niechaj cię twój Bóg osądzi!

GERO.

Milcz, milcz! precz z nimi!  
*(żołnierze i Ekwart wyprowadzają Słowian).*

## Scena 6.

GERO—HERMAN—GIUNTER—ŻOŁNIERZE.

GERO.

Bóg nasz sprawiedliwy!  
 Więc mi ich oddał w ręce, bym wygubił  
 Wszystkich, co mi się sprzeciwiać ośmięła!  
 Słyszycie! wszystkich, co mi się sprzeciwia!  
*(do żołnierza)* Hej! wstąp na wzgórek, powiedz, co tam widzisz?

ŻOŁNIERZ.

Wybornie! nasi z dwu stron prą Polanów!  
 Odwrót od lasów im odcięli.

GERO.

Dobrze:  
 Cieszcie się, bracia, towarzysze moi,  
 Już teraz nikt się nam nie oprze. Bracia!  
 Zapanujemy bezpiecznie nad ziemią,  
 Którą zdobyły nasze silne dłonie;  
 Pomnijcie tylko, że staniemy śmiało  
 I pokażemy goły miecz każdemu,

<sup>1)</sup> Słowianie sądzili, że każdy ród i każdy pojedynczy człowiek miał swą gwiazdę na niebie, która niknęła z jego śmiercią.

Coby się ważył słać nam swe rozkazy,  
 Chociażby z Rzymu. Nie! nie pozwolimy  
 Wydierać sobie krwawo zdobytego  
 Łupu; tój ziemi nie oddamy nigdy  
 Nikomu, choćby to przykazał taki,  
 Co dziesięć koron na swém czole nosi.  
 Będziemy sami panami! tak sami!  
 A tym, co będzie wodził was na boje  
 I dzielił między was skarby i łupy,  
 Tym będzie, bracia, Zygfyrd syn Gerona!

ŻOŁNIERZ.

Niech żyje Zygfyrd!

HERMAN.

Niechaj nam panuje:  
 Innego władzcy znać nie chcemy wcale.

ŻOŁNIERZ (*na wzgórku*).

Wracają nasi—niosą kogoś— pewno  
 Zabity czy tóż ranny!

GERO.

Kto on?

(*żołnierze wnoszą Zygfyda na płaszczu, złożonym na dwu kopiach.*)

## Scena 7.

GERO—HERMAN—GIUNTER—ZYGFRYD—ŻOŁNIERZE.

GERO.

Boże!

To syn mój! Zygfyrd! Synu! Tyś raniony?

ZYGFRYD.

W samą pierś—w życia źródło—ach! umieram!  
 Zły siew—dobrego—plonu (*umiera*).

GERO (*padając na kolana*).

Boże wielki?

Stracone wszystko! Biada! Uciekajmy!

HERMAN.

Jak to się stało? mów!

GERO.

Kto to uczynił?

Mów—zemście mojej piekło go nie wydrze!

1 ŻOŁNIERZ.

Ten nędznik, który miał być przewodnikiem,  
 Był zdrajcą; chciał nas wieść na pewną zgubę:  
 Onto w Zygfyda piersi nóż utopił.



## 2 ŻOŁNIERZ.

Rozsiekaliśmy go—poznałem z twarzy:  
Był to ów Abo, giermek niegdyś.

GERO.

Boże!

Czyliż umarli wracają na ziemię,  
By nad żywymi mścić się? Już przepadło!  
Bóg zwałił w gruzy tę budowę całą,  
Którą stawiałem przez lat tyle! (*do żołnierzy*) Nędzni,  
Wracacie cali, gdy wasz wódz nie żyje!  
Wasz wódz! pan przyszył! Za dni ojców waszych  
Shańbionym byłby ten na wieczność całą,  
Ktoby śmiał przeżyć swego wodza! <sup>1)</sup>

3 ŻOŁNIERZ (*wchodzi spiesźnie*).

Panie!

Ostatek wrogów zbity i o pokój  
Polanie proszą; mówią, że chcą złożyć  
Hołd cesarzowi.

GERO.

Co? hołd cesarzowi?

Gdzie on? już niéma komu składać hołdu?  
Niech szatanowi idą się pokłonić!

3 ŻOŁNIERZ.

Co to jest? co on mówi?

2 ŻOŁNIERZ.

Żal go widać

Obłąkał. (*do Gerona*) Panie!

GERO.

Cesarzowi, mówisz?

To chyba temu, co w Rzymie? Ty, wrogu!  
Więc nawet zguba tych, co ci służyli,  
Dla ciebie zyskiem. Tyleś lat zabierał  
Plon całej pracy méj, i dziś, gdym sądził,  
Że choć ostatni snop dla siebie zerznę,  
Snop mi i wszystko wypada, pod twoje  
Tocząc się stopy. Snadź ci samo piekło  
Pomaga, może niebo? Nie, nie, wcale!  
Wszak przez lat tyle ja służyłem Tobie,  
Za cóż dotknęłeś mię tak ciężko, Boże?  
Wszakżem się modlił, pościł, wszakżem stawił  
Kościoły Tobie. Czy za ucisk Słowian?  
Za tych trzydzieści? Dla ciebie, Ottonie,

<sup>1)</sup> U Tacyta czytamy, że wstydem było dla członka drużyny książęcej wyjść cało z bitwy, jeśli tam wódz głowę swoją położył.

Dla was, przekłęci, grzeszyłem tak ciężko,  
 Że mię Bóg musiał strzaskać strasznym gromem.  
 Gdzie jeńcy? puścić ich wolno! Słyszycie?  
 Obdarzyć złotem, darami.

ŻOŁNIERZ (*na wzgórzu*).

Już po nich!

Kat spełnił wszystko, co mu polecono.

GERO.

Boże! to oni sąd Twój wywołali!

(*wchodzi Luthar z kilkoma żołnierzami*).

## Scena 8.

Ciż, LUTHAR — ŻOŁNIERZE.

LUTHAR.

Cieszcie się! cieszcie! pobici! zwycięstwo!  
 Cóżto? zabity syn twój!... Biedny młodzian.  
 Okupiliśmy drogo naszą chwałę.  
 Niejeden z dzielnych i walecznych, duszę  
 Za naszą sprawę oddał!

GERO.

On z walecznych

Najwaleczniejszy, święty, powołany  
 Do stokroć większych i ważniejszych czynów,  
 Co nosił w piersi swęj nieodgadnioną,  
 Nieobliczoną przyszłość. Tyś go wysłał  
 Na śmierć, wydarłeś go z objęcia mego!  
 Sam może nie wiesz, nędzny, coś w nim zabił!

LUTHAR.

Ukorz się, starcze, przed zrządzeniem Bożem,  
 Co, biorąc życie młodzianowi temu,  
 Stłumiło w źródle potok kłesk i nieszczęść,  
 Co biednej naszej ojczyźnie zagrażał.

GERO.

Co mówisz, nędzny? Co?

LUTHAR.

Nie będę badał

Sumienia twego głębi, ale pomyśl,  
 Czy Bóg nie na to złamał w pół tę młodą  
 Latorośl, żeby nie stało się czynem,  
 Co jako myśl już strasznym było grzechem.  
 Bolesć twa wielka, starcze, lecz schyl czoło  
 I cios ten przyjmij za pokutną karę.

GERO.

Ha! nędzny, może tyś wiedział o zdradzie!  
Możesz żelazo sam dał w dłoń zabójcy.  
Stój!... Nie przybliżaj się do trupa!... Sądu  
Nie wołaj sam na siebie... Z ran tych, nędzny,  
Krew w oczy prysnie ci na zaświadczenie  
Spółnictwa zbrodni <sup>1)</sup>.

LUTHAR.

O cóż mię oskarżasz?

GERO.

Ty pytasz, o co? O zbrodnię tak straszną,  
Że jeśliś spełnił ją, na wieczność całą,  
Bięda ci tu i tam!

LUTHAR.

Cesarz mię przysłał

Do ciebie, jeśliś winny, on jedynie  
Ma prawo sądu nade mną, nikt inny!  
Gdy choć włos spadnie mi z głowy, od ciebie  
Pan nasz zażąda sprawy.

GERO.

Bóg w niebiosach

Niech sądzi ciebie i twojego pana.  
Teraz idź! moję i całego świata  
On pomści krzywdę. Ja już miecz mój składam;  
Pokutnikowi żal tylko zostaje.

*(pada na kolana, opierając się na mieczu).*HERMAN *(nakrywając zwłoki Zygryfda).*

Młodzianie biędny, spoczywaj w pokoju!

GERO *(wstając).*

Ponieście go, wy, towarzysze moi!  
Młodzian to dzielny, mężny, dobry, święty;  
Gdyby Bóg nie był dopuścił nań zguby,  
Byłby to wielki, sprawiedliwy władzca,  
Jakiego ludzka powieść nie pamięta;  
Bo on był takim, jakim jeszcze nigdy  
Nikt z Niemców nie był, i snadź już nie będzie  
Aż do skończenia świata. Bóg wie, ile  
Cnoty i chwały dziś złożą w mogile.

*(Żołnierze podnoszą trupa i wychodzą z nim na lewo, za nimi postępuje Gero ze schyloną głową, wspierając się na mieczu).*

K O N I E C.

<sup>1)</sup> W sądach Bożych podejrzanego o zabójstwo przyprowadzano przed trupa i jeśli krew temu z ran płynąc na nowo zaczęła, uważano to za dowód potępiający.



# KIRCHOLM.

## Pieśni historyczne z 1605 roku.

PRZEZ

*K. Wł. Wójcickiego.*

Półtrzecia wieku z górą, bo lat 274, w dniu 27 września upływa, gdy szerokim odgłosem sławy, rozbiegło się po Europie imię Jana Karola Chodkiewicza, po odniesioném zwyciężtwie pod Kircholmem w dniu 27 września 1605 r. nad Karolem księciem Sudermanii, który następnie na tron szwedzki wstąpił pod imieniem Karola IX.

Przywłaszczyciel berła, należnego Zygmuntowi III, wystąpiwszy do walki, zatoczył swój obóz pod wsią Kircholmen w Inflantach polskich, powiecie Rygskim, na prawym brzegu Dżwiny, o dwie mile od miasta Rygi. A była wielka jak na owe czasy siła szwedzka: 11,000 piechoty, 3,000 jazdy i jedenaście szmigownic. Jan Karol Chodkiewicz, przeznaczony do obrony Inflant, liczył pod swą chorągwią tylko 3,500 wojowników. Dnia 26 września, dowiedziawszy się o wyładowaniu Szwedów, zbliżył się szybkim do nich marszem i spoczął strudzony w pobliżu Kircholmu. Wtém dowiaduje się, że nieprzyjaciel zamierza napaść go niespodzianie: wydaje więc rozkazy, aby równo ze świtem wszyscy się wzięli najprzód do błagania Boga, a potem do koni i oręża.

Równocześnie książę Sudermanii, wiedząc o szczupłej garstce zastępów Chodkiewicza, pewny niezawodnego zwycięstwa, w wiosce Blumental własności Jezuitów, sutą wyprawiał ucztę wieczorną. Wielkie kielichy napełniano ciągle hiszpańskiem winem, gorące wnoszono wiaty. W pośród gwarnej wieszczy i ochoty, pijatyki i przechwałek przywiedziono więźnia polskiego, z związanemi w tył rękoma. Było Krajewski szlachcic litewski, z rotty Feliksa Niewiarowskiego sławnego rotmistrza, towarzysz husarski, którego Szwedzi schwytawszy na zasadzce, stawili przed biesiadnikami.

Rycerska mina w Krajewskim, niezmierny niewolą umysł, szyszak na głowie, a na barkach zbroja i lamparcia skóra, dały sposobność generałom szwedzkim do pochwał wspaniałej, rycerskiego męża, postawy. Przypatrywał mu się najwięcej Mansfeld i z podziwieniem rzekł do księcia Sudermanii:

— Miłościwy panie! jeżeli wszyscy Polacy są do tego człowieka podobni, nie wątpię o tém, że się z wojskiem naszym spotkać nie ulegną.

Uraziła mocno ta pochwała ksiąźęcia, obróciwszy się więc do Mansfelda zawołał z gniewem:

— Włóż i ty na siebie wilczą skórę, a będziesz równie straszny: nie bierz miary z jednego, może być ich kilkunastu.

Krajewski uprzedzając pytania Szwedów, zaczął sam prosić o pozwolenie mówienia; gdy mu one dano, rzekł:

— Wojsko nasze, najjaśniejszy ksiąźę, jest mocno podróżą zmordowane, nieliczne, niemające więcej nad półczwarta tysiąca ludzi; posiłków chyba za dwa tygodnie spodziewamy się, atoli hetman mój i w tój małości żołnierów bitwę z wami stoczyć jest gotów.

— Gotów?—odpowie mu Suderman ze złością—wszakże on ani młodzik, ani zbyt stary, ani z rozumu obrany, żeby ze swemi rotkami przeciwko wojsku mojemu, złożonemu z tylu tysięcy śmiał się postawić!

Na co Paweł Stygiel Pomorczyk, tłumacz księcia Sudermanii, po dwakroć od naszych na wojnie poprzednio pojmany, odezwał się:

— Znam ja dobrze, królu, Litwę i Polaków: nie trzeba tym ludem pogardzać.

Poparli to zdanie inni, którzy już byli w jasyrze polskim, wreszcie sami generałowie szwedzcy; ksiąźę rozgniewany zaczął poić wszystkich, ażeby przerwać niemilą mu rozmowę, gdy zaś ochota wzrosła, w dobrym sam już humorze, porozdzielał zdobycz wojenną, po pewnym tryumfie, pomiędzy swych dowódców, zastrzegając dla siebie wszelkie łupy po samym Chodkiewiczu <sup>1)</sup>.

Po tój wspaniałej uczcie, ruszyło wojsko szwedzkie pod Kirchholm, chcąc Chodkiewicza niespodzianie napaść, będąc uwiadomioném od Krajewskiego, że się na tém miejscu hetman strudzony podróżą z wojskiem położył.

Okolo północy nadpłynęła burza z grzmotami i piorunami, spadł tak zngła deszcz ulewny, że broń i prochy pozamakały, a po rozmiękłej ziemi ani żołnierz iść śpiesznie, ani armat ciągnąć rażno niemożna.

Wiedział dobrze o tym ruchu Szwedów Chodkiewicz. Wezwawszy więc do siebie Wincentego Wojnę, starostę intarskiego, porucznika chorągwi hetmańskiej trzystukonnój, dał mu rozkaz, ażeby się w obozie wszyscy najprzód do błagania Boga, potém do koni i oręza brali, a sam tymczasem w namiocie Mszy nabożnie słuował.

Już się tóz zaczęły były ukazywać okolo południa wojska szwedzkie, pod roztoczonemi chorągwiami.

Wojsko polskie stało tak ukryte za górami, że ksiąźę Sudermanii w mniemaniu, iż przed nim uciekło, chciał za niem wysłać pogoń, gdyby go był Linderson, wódz doświadczony nie zatrzymał, objaśniając, iż to być mogła zdrada i że Chodkiewicz zapewne w dobrym porządku za górami na nich oczekuje.

<sup>1)</sup> *Historja Jana Karola Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego, w. ks. lit. 1781 r. Przez A. Naruszewicza, t. I.*

Poczęli się zatem Szwedzi na wzgórkach, opodal od naszych chorągwi szykować, mając przed sobą wielką równinę dla dogodności piechoty swojej. Czoło stanowiła właśnie ta piechota, z której każdy muszkietnik (uzbrojony w broń palną), miał około siebie dwu ze spisanymi, dla powstrzymania natarczywości jazdy polskiej. Nadto ostoniły się z przodu jej szeregi żelaznymi kobylicami. Lekka jazda inflancka stanęła po bokach, na lewém skrzydle; zbity hufiec rajtarów, pod wodzą Henryka Brandta, na prawém pod dowództwem hr. Mansfelda. Na przodzie piechoty ustawiono dział jedenaste: tylną straż stanowiła gwardya konna księcia Sudermanii.

Książę Karol przebiegał szeregi, zachęcając swoich i wskazując garstkę Polaków, łatwą do pobicia. Wtém, gdy mu coś o Chodkiewiczu powiedział książę Luneburski, rozgniewany zaczął go strofować:

— Niegodzien jesteś być moim zięciem, osłabiasz temi niewiściami mowami serca i robisz tchórzami wszystkich, sam będąc takim. Owóż będę miał zięcia, któremu bardziej kądziel, niżeli broń przystoi.

Na tak obelżywe słowa i zniewagę, młody książę odrzekł z pogardą:

— Niesłusznie mnie, królu, nazywasz tchórzem i niewiastą: wtenczas będę takim, kiedy dziś z placu tak, jak ty nieraz ucieknę. Na okazanie że się Polaków nie lękam, oto zsiadam z konia i pieszo mój regiment przeciwko nim prowadzę.

To powiedziawszy rzucił się na ziemię, odmienił szyszak na kapelusz i pochwyciwszy kopię, stanął na czele piechoty.

Chodkiewicz postrzegłszy z pagórka liczbę i szyk nieprzyjacielskiego wojska, po krótkiej rozmowie z Lackim, którego wielce kochał i któremu w przypadku śmierci swojej polecił, aby go w ojcystym grobie pochowano, przemawiał do żołnierzy. Gdy o licznych zastępach nieprzyjaciół wspomniął, jeden z towarzyszków zawołał głośno:

„Policzmy, jak pobijemy!”

Na co Chodkiewicz z pogodnym obliczem odrzekł:

— Daj Boże, żeby się waszmości spetniły słowa; biorę je za dobry znak ochoty waszmościów i mam nadzieję w ich mężstwie, że się nam dobrze powiedzie.

To powiedziawszy, zaczął swoich szykować do boju. Już z obu stron stanęły wojska, gotowe prawie do spotkania, kiedy na pół godziny przed rozpoczęciem bitwy, przyszedł w pomoc naszym książę kurlandzki Fryderyk, mając z sobą trzystu rajtarów, wybranych ze szlachty kurlandzkiej, ludzi pięknych i odważnych. Że zaś temu hufcowi była na przeszkodzie rzeka Dźwina, odważnie w pław ją przebywa szczęśliwie. Dobra otucha wstąpiła w serca zarówno Chodkiewicza, jak i jego zastępów, które w szyku bojowym czekały tylko skinienia swego hetmana.

Na czele stał pułk hetmański bohaterskiej husaryi, na dzielnych koniach, pod sprawą Wincentego Wojny porucznika, mając w posiłku przybyłych świeżo rajtarów księcia kurlandzkiego.



Na lewém skrzydle dwieście towarzyszków pancernych, z lekkimi chorągwiemi tatarskimi pod wodzą Tomasza Dąbrowy. Za niemi stanęły posiłki z oddziałów różnych; w ostatku ochotnicy nadbiegli, z drobnemi pocztami swojemi, nad któremi objął komendę Komorowski, wsparty rotą husarów.

Prawemu skrzydłu przywoził Jan Sapieha, starosta uściwacki, otrzymawszy od hetmana rozkaz, ażeby miał pilne oko na zbity zastęp rajtarów szwedzkich, który stał pod wodzą Brandta. Miał w swęj chorągwi Sapieha 200 towarzyszków; przydani mu na pomoc: Niewiarowski ze stem pancernych, Młocki, porucznik chorągwi brata hetmańskiego Aleksandra, wojewody trockiego ze 150, Wilamowski, Borkowski i Giedrońć po sto ludzi.

Za samém czołem, dla prędkiego wsparcia husaryi hetmańskiej i kurlandzkiej, tuż następował Teodor Lacki z chorągwią swoją dwustokonną, z piechotą hetmańską 400 pod sprawą Rossego, piechoty Niewiarowskiego 150 i Gosiewskiego dwieście <sup>1)</sup>.

Kiedy już się wszystko uszykowało w porządku wskazanym przez hetmana, ukazała się niespodzianie nowa jakaś i niewiadoma milicya. Byli to ciurowie i wszystka czeladź obozowa, którą Chodkiewicz tajemnie tak, iż wojsko o niczém nie wiedziało, rozkazał wyprowadzić z obozu, i uszykowaną jakoby pod znakami do boju zdala postawił. Puszczono równocześnie pogłoskę, o czém wnet się Szwedzi dowiedzieli, że Krzysztof Radziwiłł, z nowemi z Litwy posiłkami nadchodzi. Ztąd uciecha dla polskich chorągwi, a strach dla szwedz-

<sup>1)</sup> Podamy tu szczegółowy wykaz sił zbrojnych J. K. Chodkiewicza, które postawił w bitwie pod Kircholmem, który z współczesnego rękopismu A. Naruszewicz przywoździ:

<i>Kopijnicy.</i>		<i>Piechota.</i>	
Hetmana Chodkiewicza	300	Hetmana Chodkiewicza	400
Chodkiewicza wojew. trock.	150	Gosiewskiego	200
Lackiego	200	Dzikowskiego	150
Sapiehy	100	Niewiarowskiego	160
Dąbrowy	100	Wilkowskiego	130
Wilamowskiego	100		<hr/> Razem 1,040
Giedroycia	100	<i>Woluntaryuszowie.</i>	
Kossakowskiego	100	Księcia kurlandzkiego konnych	300
Boruchowskiego	100	Witinga	100
Achmeta Tatarzyna	100	Wahla	60
Zachara Petyhorców	100	Plettemberga	50
	<hr/> Razem jazdy 1,450	Abraima	100
		Sakina	100
		Mustaty	50
			<hr/> Razem 760

W ogóle zatem 3,250 ludzi brało udział w téj bitwie.

kich. Przydał Chodkiewicz nowy do tego fortel, ustawiwszy wojsko swoje tak ścisłym szykiem, że mała owa garstka jeszcze się drobniejszą wydawała nieprzyjacielowi; co on umyślnie uczynił, ażeby książę Sudermanii, gardząc zawsze małością naszych, bardziej się jeszcze w zuchwalstwie ubezpieczył.

Zwyczajem tych czasów przed walną bitwą rozpoczęły się od rana *harce*, i trwały pomyślnie dla naszych do samego południa. Największą Chodkiewicz widział trudność że hufce Szwedów szeroko po górzystych rozstawione miejscach, dla hussaryi polskiej były niełatwo przystępne: kazał harcownikom więc swoim nagle się cofać i uciekać, udając popłoch.

Ujrawszy to Suderman zawołał na swoich:

— „Albom nie mówił że Polacy uciekną.”

I wyruszyło spieszenie z nadwężeniem szykowego porządku, całe wojsko jezdne i piesze do pogoni, na owe pole daleko od pagórków. Tego téż tylko oczekiwał Chodkiewicz. Harcownicy co udawali popłoch, stanęli w swych miejscach, a rozwinięte szyki polskie śmiało czoło nastawiały.

Hetman dał hasło do boju, uderzono w trąby, kotły i bębny, zagrzmiął okrzyk *Jeżus! Maryja!* i z siedmiu działek Chodkiewicza szedł ogień. Pierwszy Wincenty Wojna skoczył z niewypowiedzianym zapalem z trzema stami hussaryi na czołową piechotę szwedzką, która stała jak mur nieprzełamany naszożywszy się długimi kopiami, koląc niemi konie, a muszkietnicy prażąc ręcznym ogniem. Ale polotu i natarcia bohaterskiej hussaryi dotrzymać niemogli, która przesadziwszy zapory stawiane, całemi szeregami brała piechotę szwedzką pod kopyta, łamiąc szeregi jej kopiami i wycinając szablą. Stracili doreszty serce, widząc jak zginął ich wódz waleczny Andrzej Linderson, który na nogach nie mogąc się utrzymać, leżąc jeszcze walczył.

Gdy tu już pewnem było zwycięstwo, Tomasz Dąbrowa, przywódząc lewemu skrzydłu, za posłużeniem powstającego od morza wiatru, który piaskiem i dymem, oczy nieprzyjaciołom zamącił, zniósł i rozbił rajtary szwedzkie pod *Mansfeldem* na prawém skrzydle stojące. Tu od jego szabli poległ ów młody książę Luneburski Fryderyk, którego obelżywem słowem, książę Sudermanii stanąć na czele piechoty przymusił. Leżał na pobojuwisku, z rozplataną głową, zranioną twarzą i ręką uciętą.

Podług rozkazu danego przez Karola IX, *Brandt* z rajtarami szwedzkimi miał uderzyć z tyłu na hufce polskie; niemogąc dojrzeć w kurzawie, ku której stronie chyli się zwycięstwo, ruszył ku Dźwinie: tu wsparł go potężnie Sapieha ze swoją chorągwią, która rajtarów tych rozgromiła. Ale na tém skrzydle uporczywszy nieprzyjaciel dwa razy rozbity, dwa razy się poprawiał wznawiając krwawą walkę: dopiero Lacki rozstrzygnął los bitwy.

Sam Chodkiewicz był w wielkiem niebezpieczeństwie, albowiem gdy przebiegając szeregi, do walki i męztwa swoich zagrzewał, przy-

padł z nagłą szwedzki rajtar, i przez pomyłkę tylko, jednego z jego adjutantów wystrzałem z pistoletu zabił. Rozgniewany hetman, poskoczył za uchodzącym rajtarem i jedném cięciem w biegu głowę mu ściął. A szablę tę Chodkiewicz w Wilnie przed wyjściem na wyprawę, po nabożeństwie pocierał o grobowiec Ś. Kazimierza.

Szwedzi, zmordowani nakoniec także zaciętym bojem, niemogąc wytrzymać pola, ani szyków do ładu przyprowadzić, poczęli uchodzić z placu. Teraz już nie bitwa ale krwawa rzeź nastąpiła. Bito uciekających do samego wieczora zaściełając trupami pola aż do wioski Blumantal, w której wczoraj książe Sudermanii, pewny zwycięstwa, hojną ucztę zastawił, i łąły się strumienie hiszpańskiego wina, którym wnoszono wiwaty, na cześć tryumfu, nad hufcami Chodkiewicza.

Na samém pobojowisku naliczono zabitych 9000, prócz tych, którzy w pogoni z ran poumierali, i których uchodzących z pogromu za Dźwinę, w liczbie trzechset chłopstwo z Milgrafii i Kurlandyi po drogach i lasach wymordowało.

Zginął Andrzej Linderson najstarszy generał i wielu walecznych oficerów. Brandt wzięty do niewoli, sam książe Sudermanii, raniony, z jedną chorągwią rajtarów, straciwszy kapelusz, zaledwie na trzecim koniu, bo dwa pod nim ubito, uciekł, i dopiero na okęcie odetchnął z szalonej trwogi.

Na pokładzie tego statku stał ów towarzysz hussarski Krajewski, wzięty w przeddzień bitwy do niewoli, odarty ze zbroi. Karol IX ujrawszy bezbronnego, w złości po doznanej klęsce, szpadą go swoją przebił. Upadł Krajewski, struga krwi ubarwiła pokład okrętowy, zamglonym wzrokiem spojrzął na łąd pobliski, i blade jego oblicze, uśmiech radosny okraszył, bo chociaż konający widział klęskę i popłoch Szwedów i słyszał zwycięzki okrzyk swoich towarzyszków broni i ukochanego hetmana.

Niewiele brano niewolnika: wzięto cały obóz szwedzki, dział jedenaście, sześćdziesiąt chorągwi tak rajtarskich jak pieszych; kredens srebrny Sudermana wielce kosztowny, ze wszystkimi sprzętami książęcemi. Z naszego wojska do stu rycerstwa zabito, wielu ranionych, najwięcej koni postrzelano.

Chodkiewicz przybywszy do Rygi, którą od oblężenia wyswobodził, oddał Bogu dziękczynienie w kościele jezuickim, w zamku złożył łupy wojenne, napisał list do króla Zygmunta III, i wysłał 30 września 1605 r. Jana Sapiehę, Lackiego i Dąbrowę do Warszawy, dla dania szczegółowej relacji o odniesioném zwycięstwie.

Zygmunt III d. 6 października odebrał listy, będąc na Mszy świętej w kościele katedralnym Św. Jana. Właśnie na ambonie stał złotousty Piotr Skarga, który temi słowy opowiedział walkę pod Kircholmem, zgromadzeniu pobożnych.

„I przyszedł zuchwalec z mocném i uzbrojoném w czternastu tysiącach wojskiem: cudzą ziemię posiadać i miasta i zamki brać; a owo



mały poczet ludzi to jest 3,000 i 4,000 stał moc wszystkę jego. Książęta z Niemiec od niego najęte z swoim ludem polegli. Hetman jego najwyższy zabity: 9,000 trupów, jako trawy na pokosie na samém poboisku padło; drudzy w Dźwinie rzecze uciekając potopieni, a którzy przebyli, od oraczów przebijani są, albo pojmani w błotach i w chróściech wiele pobitych albo umarłych zostało. Pojmiana przednich ludzi nie mała liczba, chorągwi sześćdziesiąt pobierano. Dział polnych jedenaście i z obozem wszystkim pobrano. Sam wódz okrutny, z raną w ciele swoim z kilas (kilku), tylko chorągwiami uciekł.”

Daléj przedstawiając Chodkiewicza, jak przemawia do swego rycerstwa, opisuje jego zapał...

„I takie rozmyśły w serca biorąc, a zębami na nieprzyjaciela zgrzytając, a za szable się imając, jako strzały napięte, skinienia hetmańskiego czekali, które gdy wzięli, imię *Jezus* w sercach i uściech mając, na spisy ostre, na działa, muszkiety i strzelby wypadli” <sup>1)</sup>.

Po cém Skarga z polecenia królewskiego, list własnoręczny Chodkiewicza odczytał. Radość była wielka, pobożni świątynię Pańską opuszczali z niemłą pociechą w sercach. Wieść pomyślna rozbiegła się lotem błyskawicy po kraju. Cała Europa ochoczo przyklasnęła temu tryumfowi, i w niej chlubnie zabrzmiało imie wodza polskiego. Cesarz Rudolf złożył Chodkiewiczowi powińszowanie; Jakób król angielski, bogate przesał dary i przyjaźń swą hetmanowi ofiarował; papież Paweł V listem swoim tego zwycięztwa bohaterowi, w pochlebnych a pełnych szacunku wyrazach winał. We Flandryi wyrabiano jedwabne *szpalery* (obicia na ściany), przedstawiające szczegóły bitwy pod Kircholmem. Sułtan turecki i król perski Abbas, przez posłów swych złożyli Chodkiewiczowi swoje powińszowania. W całej Polsce obchodzono uroczyste ten dzień tryumfu i chwały narodowej.

Nie było wówczas *Gazet Polskich*, zastępowały więc je broszury, w których opisywano ważniejsze wypadki, zwycięztwa, i te w tysiącach się egzemplarzy rozbiegały po całej Rzeczypospolitej. W ogłoszaniu ich wyprzedzano się na wyścigi, albowiem która pierwsza się pokazała, to miała największy pokup. Po zwycięztwie Kircholmskiem pozostało kilka tego rodzaju zabytków. Szymon Slaski wydał tegoż roku 1605, o sześciu kartach broszurkę p. t. „Pamiętka, albo Columny nieśmiertelności wielmożnemu panu Janowi Carolowi Chodkiewiczowi, hrabi z Szklowa na Bychowie. Hetmanowi najwyższemu Wiel. Księst. Litew. Staroście Żmudskiemu etc. etc. Wielkiemu Rzeczypospolitej miłośnikowi, szczęśliwemu nieprzyjaciół pogromicielowi, czujnemu ojczyzny obrońcy i stróżowi. Dobremu hetmanowi i dobremu żołnierzowi, y Cnemu Rycerstwu P. i Lit. sercem śmiałemu, prawicą dzielnemu, przewagą, bystrą dzielnością nieśmiertelnemu z zwycięztwa nad książęty Sudermańskim i Luneburskim, z ich hetmany Lynderzonem i Masuel-

<sup>1)</sup> Pokłon Panu Bogu zastępów. ks. Piotra Skargi, w Krakowie, u Andrzeja Piotrkowczyka 1605 r., w 4-ce.

dem dnia 27 Septem. S. Stanisławowi dedicowanego r. 1605 w Inflanciech pod Kircholmem otrzymanego przez Symona Slaskiego, rycerstwu wszystkiemu życzliwego i powolnego służę postawione." R. P. 1605. (W 4-ce, druk gocki, kart sześć).

Autor nie poprzestał na tak długim tytule, ale przypisuje nadto pracę swoją: „Książęciu Kurlandskiemu. JMP. Lackiemu. Towarzystwu Roty JMP. Hetmana. Cześć damy mężni Witezowie. Rocie JMP. Wojw. Trockiego Aleksandra Chodkiewicza. Janowi Sapiezie, Dąbrowie, Niewiarowskiemu, Kosakowskiemu, Boruchowskiemu, Gedroyciowi, Wielomowskiemu, Wilczkowskiemu, Rosie, Janowi Kiszce, Białozorowi, Wojciechowi Motwiłowi. Porucznikom: Wincentemu Wojnie, roty hetmana Młodskiemu, roty wojewody Trockiego Aleksandra Chodkiewicza Sołomskiemu i Repeckiemu z roty Lackiego. Janowi Czudowskiemu roty Niewiarowskiego. Dziękuje za mężtwo rajtarom, Tatarom, rycerstwu różnemu, sypie moglię bitnym poległym i wymienia zabitych.

„Wiecznie szlachetne dusze, aż was wspomnieć miło,  
Których Marsowe w niebo igrzysko zwabiło:  
Talwosz, Mamocki, Hohol, szczęśliwi synowie,  
Kufarski, z nim rodzeni dzielni Jurachowie;  
Milicki, Jabłonowski, Sopoćko, Sudkowski,  
Skrzetuski i Mickiewicz, z innemi Pęgowski.  
Żyjcież po śmierci żywot cnej nieśmiertelności  
Owa, niech z czasem w złoto, sadzą wasze kości.”

Równocześnie Chryzostom Gosniewski wydał w Wilnie *Pieśń* o tém zwycięztwie, ułożoną na znaną powszechnie wówczas melodią: „Pod Gdańskiem i Połockiem.” Była to pieśń przypominająca tryumfy Stefana Batorego, którą śpiewano powszechnie, na ulubioną nutę.

Drukowaną była w Wilnie w 4-ce 1605 r. p. t. „Pieśń nowa Calliopy Sarmackiej, o szczęśliwem porażeniu książąt Karola Sudermańskiego i Fryderyka Lunenburskiego, przez dzielne mężtwo Jaśnie Wielmożnego Pana J. Mości Pana Jana Karola Chodkiewicza, Starosty Żmudzkiego, hetmana najwyższego W. Ks. Litewskiego y przez mężną rękę rycerstwa Polskiego i Litewskiego w dzień św. Stanisławowi poświęcony. Pod Rygą u Kircholmu r. 1605 Septemb. 27 napisana przez M. Chryzostoma Gośniewskiego.

*Pieśń.* (Nuta jako pod Gdańskiem i Połockiem).

Niech *Klio* głosu dodaje,  
Opiewając polskie kraje;  
Niech wysławia wielkie mężtwo  
Synów Litewskiego księztwa.

A ty *Melpomene*, tony  
Wdzięcznemi brzmij po wasze strony  
Chodkiewicza Karla Jana,  
Ziemie Litewskiej hetmana,

Który przez swe dzielne męstwo,  
Otrzymał wielkie zwycięstwo  
Nad Karolem Sudermanem  
Wiarołomcą i tyranem.

A ty też *Gradymie* zbrojny  
Powiedz igrzysko tój wojny,  
I jakoś był silny w bitwie  
Sprzyjając serdecznój Litwie.  
Lecz co tu po was, boginie?  
I po tobie Marsie słyńcie,  
W świętych swoich, Bóg prawdziwy,  
Przez cuda ich i przez dziwy.  
W dzień twój, święty Stanisławie  
Został król polski przy sławie:  
Powiedz po stronie Korony,  
Pomoc daną z Boskiej strony.

Niemcy, że naszych garść była,  
Która ojczyzny bronila,  
Trzy tysiące mężów w sprawie,  
W marsowej zacnych zabawie.  
Szwedów czternaście tysięcy,  
Liczone nad to coś więcej.

Lecz pierzchać wszyscy musieli,  
Którzy dufność w sile mieli.  
Nie pomogły kule częste,  
Przemysł ich i uffy gęste,  
Puściły żelazne spisy.  
Karolu przechero łysy!  
Nieprzyszło ci do odsieczy,  
Głowy ostrzydz bardziej k'rzeczy:  
Uciekałeś sam na morze,  
Ranny, przed swym ludem, sporze,  
Płatna to, kiedy o duszę,  
I sam cię obmówić muszę.  
Obrać swój koń kosmonogi,  
Nieścigniony Karle drogi.

Kazałeś hardzie przed bitwą,  
Pokaż, umiesz-li co z Litwą.  
Teraz się było dowiadać,  
Kto miał najprzód z konia spadać!

Bożeć pomóż, Chodkiewiczzu,  
Szwedów hardych groźny biczu,  
Umiałeś hardym dogodzić,  
Ani się im dał rozwodzić;  
Starleś rogi Niemców harde,  
Zmiękczejąc ich karki twarde:



Pokazałś, że nie kasa  
Ten, który porożem wstrząsa.

W zgrai nadzieję pokładał  
I téj sromotnie postradał,  
Jednaście legło tysięcy  
Na placu Niemców, a więcój  
Niż trzy tysiące pobili,  
Ścigając ich na dwie mili.

Lunenburskie ksiązę śmiały,  
Na zednie koła niedbały,  
Leżał zabit między nimi,  
Ze wszystkimi poczty swymi!  
Leżał i Linderzon sławny,  
Uffów szwedzkich hetman sprawny,  
A drugich strach wielko-oki,  
Chwytał kędy mógł za boki.  
Drudzy téż szli w nizkie kraje,  
Gdzie noc nigdy nie ustaje;  
Zostawiwszy w polu ciała,  
Tam, gdzie pomsta Boża ohciała.

Téj hetman Chodkiewicz bitwy,  
Niesie pamiątkę do Litwy:  
Szesódziesiąt chorągwi wziętych,  
Pomieszcza u progów świętych  
Kazimierza i Stanisława,  
Za których królowa sława,  
Koronie i księztwu temu.  
Mężną ręką słynącemu.

A my, cóż zato, hetmanie,  
Chodkiewiczzu Karle, Janie,  
Damy i wam one żołnierstwo,  
Za takie zacne zwycięstwo.  
Sławę, sławy cnój synowie  
Lecha, Litwy potomkowie,  
Mieście przy takiój nadzieje,  
Że te wasze sławne dzieje,  
Przyszłe wieki, wiekom drugim  
Podadzą porządkiem długim.

A my w tym Panu śpiewajmy  
I Jego dobroć wyznajmy,  
Który hardym mięsza rzeczy,  
A skromne ma na swój pieczy.  
Ten nasz jest stróż i obrońca,  
Zetrze im pychę do końca  
I da po fortunym boju,  
Dożyó nam sławy w pokoju!  
Amen.

Przy pomienionój pieśni dołączono na też samę nutę drugą (w 4-ce, str. 4), którą dla całości przywodziemy; zdaje się że tegoż samego autora, który nie podolałszy składnie formie wierszowanej, pragnął tylko szczegóły bitwy ująć w śpiew drukowany.

W dzień Stanisława świętego,  
 Patrona Polski wielkiego,  
 Rzekł hetman rycerstwu swemu,  
 Przypatrując się wielkiemu  
 Wojsku Karla Sudermana,  
 Krzywoprzysięzcy tyrana:  
 „Pytam ja was, one rycerstwo,  
 Chcecie mieć w rękę zwycięstwo?  
 Jeśli tak jest, ty Patronie  
 Chwalebny: polskiej koronie,  
 Pomóż święty Stanisławie,  
 Modląc się za nas łaskawie.  
 Twójto dzisiaj dzień święcimy,  
 Ciebie o pomoc prosimy.”

Krzyknęli wszyscy społecznie,  
 Modląc się Bogu serdecznie:  
 „Chryste Panie, wysłuchaj nas!  
 Weźmij miecz, a wojuj za nas!”

Tam Mszy Świętój wysłuchawszy  
 I we zbroje się ubrawszy,  
 Sam pan hetman okrzykiwa:  
 „Nasza, dzieci, sprawiedliwa.”  
 Mówiąc: „Pomnij to rycerzu,  
 Co masz trzymać o tém zwierzu:  
 Wiedz, wąż to jest jadowity,  
 Ten był już nieraz pobity;  
 Zetrze mu i dziś Bóg rogi,  
 Puściwszy nań swój miecz srogi:  
 Bo iż sam jest sprawiedliwy,  
 Przeto gromi lud zdrażliwy.”  
 To wyrzekłszy lud sprawował,  
 A lękliwe animował.

A Szwedowie zatém swemu,  
 Dufając wojsku wielkiemu,  
 Wykrzykując tryumfują  
 Na Litwę pęta gotują:  
 Kabaty swe rozpinają,  
 Kapelusze odrzucają  
 Mówiąc: „Zwiążem snadnieć Litwę  
 I wygramy z nimi bitwę.”

Nie wie o tém głupi Niemiec,  
 Że Bóg bije, nie sam jeździec;

A gdy téż szli do potyczki,  
 Nieśli na Polaki stryczki:  
 Rozumieli to Szwedowie,  
 Że ich mieli mieć w okowie,  
 Krzyczeli: „Bijcie tych Lachów,  
 Nie zostawiajcie ich znaków.”

Biją się strony społecznie,  
 Pobudzając się serdecznie;  
 Długoż więc tego hukania?  
 Dobądź hetmanie starania!  
 Ty téż święty Stanisławie  
 W zaczątej nam pomóż sprawie!  
 Wnet Niemcom szczęście zbłąźniło,

A naszym się powodziło:  
 Bili Niemców na przemiany,  
 Rzadko który był bez rany:  
 Jedni kłóli kopiami,  
 Drudzy je ślali kulami,  
 Końmi deptali jak błoto,  
 Nie pomnąc na ważne złoto.  
 Leżeli we krwi oi zwierze,  
 Jako żaby na jezierce;  
 Drugich pędzili przez chrósty,  
 Jako książąt tak lud prosty!  
 Pławili się i przez Dźwinę,  
 Tuszac sobie że nie zginę.

Między innemi panięty  
 I zamorskiemi książęty;  
 Luneburski książę leżał,  
 Którego karzeł odbieżał.  
 Leżał Linderson z drugimi,  
 Pułkownikami szwedzkimi  
 I wiele innych zginęło  
 Paniąt, co się nawinęło.  
 I sam karzeł niedowierzał,  
 Gdy nań grotem Litwin zmierzał;  
 Nie bez postrzału na morze  
 Uciekł przed swym ludem sporzój,  
 Wziąwszy trzy chorągwie ledwie,  
 Obliczał pięćdziesiąt i dwie.  
 Wtém się nasi zmordowali,  
 Że ich téż już nie ścigali,  
 Mówiąc: bij ty, ja nie mogę,  
 Pokaż im do piekła drogę.”

Bili przez całe dwie mile,  
 Trupami pole okryli;



Tam jedenaście tysięcy  
 Legło: liczą i coś więcej:  
 Innych żarła Dźwina ciała,  
 Których brać ziemia nie chciała.  
 Tak się Pan Bóg hardym stawia,  
 Że ich znaku nie zostawia,  
 Sprawiedliwe zaś miłuje,  
 Zdrowiem i sławą daruje.  
 W téj Chodkiewicz hetman bitwie,  
 Zjednął sławę wieczną Litwie:  
 Sławi jego zwyciężenie,  
 Sudermana potępienie.  
 Sławi tém króla polskiego  
 Tak téż i rycerstwa jego.  
 Niechże będzie Bogu chwała,  
 Który nam przez Stanisława  
 I przez modły Kazimierza  
 Dał potłumić tego zwierza.  
 Przybądź rycerzu waleczny,  
 Zastępo nasz Boże wieczny;  
 Daj nam jeszcze Sudermana  
 Krzywoprzysięcę, tyrana  
 Daj, byśmy go porazili,  
 A potem w pokoju żyli!  
 Amen.

Czytelnik z niesmakiem odczyta te pieśni, w których brak nie tylko poezji, ale i formy artystycznej zewnętrznej. Te usterki w śpiewie, przy wdzięcznej melodji mniej się dawały uczuć. Znający bliżej rozwój literatury naszej, zaduma się nad upadkiem poczucia poetycznego. Nie było godnego następcy Jana Kochanowskiego. Wiersz nawet lichy, aby miał rymy, brano za poezją i taki wystarczał tamtoczesnej społecności. Jakkolwiek bogaty zasób posiadamy z XVII stulecia poezji historycznej, ma ona też same wady co i przywiedzione powyżej pieśni, bo jak dobrze wyraża rycerz-poeta tamtowiekowy, tłumacząc słabe swoje utwory:

„Jeżeli słabo, nieudolnie śpiewam,  
 Wybaczcie, częściej szabłą, niżli piórem kiwam.”

Jeden się tylko wybił nad wszystkich, Waclaw Potocki z bohater-skim swoim poematem: *Wojna chocimska*.

Pomimo tego cenimy te zabytki, jako wspomnienia dziejowych wypadków i jako zarysy do życia domowego, w których pieśń i śpiew niemałą były okrasą zebrań rodzinnych i przyjacielskich, a pomiędzy niemi wiodły rej *Pieśni historyczne*, przywołując na pamięć znakomite

wypadki w narodzie. Czczono w nich wielkie zwycięstwa, jak wspomnienia poległych wojowników, łącząc w nich zawsze proste a rzewne i szczerze modlitwy do Boga. Ta cecha znamionuje rycerstwo polskie od czasów Chrobrego do konfederatów barskich.

---

### Muzeum Kopernika w Rzymie.

Jednym z wymownych Faktów naszego duchowego życia, które pomimo niesprzyjających okoliczności, potężnie przejawia się na zewnątrz; jednym z dowodów naszych starań o chwałę drogich krajowi imion, a więc o chwałę samego kraju, jest świeżo właśnie założone w Rzymie Muzeum imienia Mikołaja Kopernika, — „pierwszego rewolucjonisty nowszych czasów,” jak powiadał Feuerbach, męża, „który okrył Polskę tak świetnym i czystym blaskiem,” jak się znowu wyrażał Arago.

Historja powstania tego Muzeum, ciekawą wielce jest i pouczającą. Nigdy jeszcze myśl doprowadzenia czegoś do skutku, nie została rzuconą w mniej pomyślnych okolicznościach; nigdy warunki w jakich się znajdowało społeczeństwo, które jedno mogło myśl tę skutecznie poprzeć, nie były twardsze i mniej sprzyjające, a jednak mimo to, nie upłynęło lat kilka od chwili podjęcia projektu, a zyskał on świetne urzeczywistnienie i siłami wyłącznie naszemi, stanęła na obcej ziemi instytucja polska, mająca po wszystkie czasy mówić potomnym o szlachetnej ofiarności na cele publiczne narodu, który Kopernika wydał.

Prawda, Muzeum Kopernika stanęło w Rzymie ciężką, kamienną i wytrwałą pracą naszego ziomka z Florencyi, p. Artura Wołyńskiego; prawda że gdyby nie on i jego pośrednictwo w przyjmowaniu darów w naturze i pieniądzech, wątpić się bardzo godzi, czy rzecz cała mogłaby być, mimo ofiarności naszą, doprowadzona tak świetnie do końca: to wszystko jednak nie zmniejsza zasług naszego ogółu, bez znajomości uczuć którego, nikt i nigdy, nie wyłączając nawet p. Wołyńskiego, nie ośmieliłby się wziąć na barki ciężaru, pod którym każda jednostka uleźdźby koniecznie musiała.

Zbiory Muzeum Kopernikowego kompletowały się przez lat kilka i dopiero w połowie marca r. b., przewiezione do Rzymu zostały.

Uczony świat włoski powitał je z tym zapałem, na jaki zasługiwały. Złożone tymczasowo w gmachu ministerium finansów, przez kilkanaście dni z rządu były one odwiedzane przez najpierwsze figury urzędowe i naukowe Italii.

Chociaż więc *urzędownie* Muzeum Kopernika dotąd otwarte nie zostało, (dotąd bowiem rząd włoski nie wydzielił p. Wołyńskiemu stosownego, stałego pomieszczenia), mimo to postanowiliśmy poświęcić mu kilka słów, zwłaszcza, że inauguracyjne wydawnictwa prawie wszystkie już się ukazały. Zresztą co się zbiorów tyczy, to te prawie już są skompletowane i Muzeum Kopernika tak jak jest, przedstawia już całość zupełną i skończoną.

Zbiory Muzeum astronoma polskiego, obejmują dziś co następuje: 1) 210 medali i monet; 2) sześć rzeźb w marmurze; 3) dziewięć rzeźb w bronzie; 4) dwadzieścia obrazów w ramach; 5) ośm malowideł olejnych i akwarel; 6) osmnaście instrumentów starożytnych; 7) piętnaście utensyliów i sprzętów; 8) 353 dzieł oprawnych; 9) 153 broszur; 10) album Kopernika o 300 szytach.

Rozglądając się w tém bogactwie, znajdujemy, że dział numizmatyczny jest tu najrzadszy i bodaj czy nie najciekawszy. Spotykamy tu 34 medali Kopernikowych, 14 medali miasta Torunia, 24 medali królów polskich, osadzonych w bardzo piękne ramy, 5 medali papieży, którzy się zajmowali systemem Kopernika, wreszcie 108 monet polskich od 1520 do 1543 roku.

W dziale artystycznym widzimy między innemi, (nie sposób wszystkiego wliczać): 1) popiersie Kopernika, dłuta Teodora Rygiera; 2) posągi Kopernika, dłuta Rygiera i Brodzkiego; 3) medaliony bronzowe, przedstawiające naszego astronoma i Galileusza, wykonane przez Teofila Godebskiego; 4) wielki olejny portret Kopernika, w starożytnych ramach hebanowych, pędzla Henryka Siemiradzkiego; 5) portret olejny ojca astronoma; 6) akwarele Gersona, Millera i innych; 7) wizerunki Kopernika, przez Girlandaja, Matejkę, Oleszczyńskiego i Maliszewskiego; 8) drzeworyty; 9) fotografią z obrazu Lessera; 10) odlew gipsowy Templą, przedstawiający Karpaty na księżycu i topografią wulkanu Kopernika; 11) mały biust Kopernika w typie Falckowskim, wysokości 13 centymetrów; 12) odlewy bronzowe popiersi i pomników Kopernika; 13) miniaturę na atlasie Szepehta z XVIII wieku.

Nadto znany lirnik Teofil Lenartowicz, przyobiecał powiększyć ten dział, przez wykonanie w płaskorzeźbie apoteozy Kopernika, a pan Syrewicz, przez wykucie w marmurze płaskorzeźby, przedstawiającej naszego astronoma na sejmiku prowincjonalnym w Grudziążu.

W dziale biblioteki spotykamy 452 tomów dzieł i 21 tomów broszur. Wszystkie książki oprawne są w safian i płótno angielskie i mają grzbiety trójkolorowe. Pomiedzy książkami znajdujemy polskich 173 tomów, łacińskich 96, włoskich 70, francuzkich 82, niemieckich 28, angielskich 4, perskich 1, rossyjskich 1, czeskich 1. Co do broszur, to takowych spotykamy: polskich 72, włoskich 37, niemieckich



21, czeskich 10, rossyjskich 5, francuzkich 4, łacińskich 3, angielskich 1, szwedzkich 1.

Pomiędzy książkami znajdujemy między innemi: wszystkie wydania rozprawy Śniadeckiego o Koperniku, tak w polskim oryginale, jak w tłumaczeniach niemieckim, francuzkiem, angielskiem, włoskiem, a nawet i perskiem; wszystkie historie literatury polskiej i podręczniki astronomiczne, atlas złożony z map Prus Królewskich i Warmii z XVII, XVIII i XIX wieku, różne wydania po włosku i po łacinie dzieła Galileusza: „o systemie Ptolomeusza i Kopernika.” Pomiędzy rzadkościami bibliograficznymi znajdujemy dwa dzieła z różnemi dopiskami i poprawkami Galileusza.

W dziale narzędzi spotykamy: 1) instrument parallaktyczny z drzewa orzechowego, wykonany ściśle podług opisu zostawionego nam przez Kopernika; 2) kompas z busolą osadzony w pudełku z kości słoniowej; 3) takiż kompas z busolą z brązu z XVI wieku; 4) gomon z 1625 r.; 5) sekstant z końca XVII wieku; 6) cyrkiel geometryczny; 7) kompas posrebrzany z końca XVIII wieku z napisami polskimi i t. d.

Jednym z ciekawszych okazów w muzeum Kopernika, jest album złożone z trzystu sztychów. Mamy więc tu sumiennie zebrane wszystkie znane wizerunki Kopernika, okazy różnych sztychów z życia naszego astronoma, okazy z pomników, medali, posągów Kopernikowych, miejscowości zamieszkiwanych przez Kopernika, wreszcie ilustracje z ostatniego jubileuszu i t. d. i t. d.

Materyał, jaki w tém album zebrany, jest dla malarza i historyka, naprawdę niewypowiedziany.

Do uzupełnienia albumu Kopernika potrzeba jeszcze trzydzieści rycin.

Ogólna wartość zbiorów Kopernikowych wynosi dziś, wedle obliczenia p. Wołyńskiego 46,457 lirów włoskich 45 centymów. Suma ta powstała z następujących źródeł:

1) od 104 założycieli muzeum	11,801	lirów	50	c.
2) z loteryi . . . . .	1,603	„	45	„
3) z drobnych ofiar kraju . .	3,315	„	65	„
4) z ofiar w naturze wartujących . . . . .	29,736	„	85	„

Przechodzimy teraz do wydawnictw inauguracyjnych.

Na czele tych wydawnictw postawić należy wspianiały, pamiątkowy medal. Jestto z rzędu czternasty medal, jakie poczynając od 1730 roku były bite w Polsce, Niemczech i Francyi.

Medal świeżo wybity, na pamiątkę inauguracji muzeum Kopernika, jest w imieniu uniwersytetów włoskich, rzymskiego, bonońskiego, ferraryjskiego i padewskiego, w których Kopernik kształcił się, bądź wykładał, poczynając od r. 1496 aż do 1504. Ponieważ niedawno ujawniono, że w uniwersytecie Ferraryjskim Kopernik uzyskał stopień

doktora prawa, przeto i ten uniwersytet pomieszczony został na medalu.

Medal bił we Florencyi znany medalier Vagnetti. Typ Falcka służył mu za model. Jest on wykonany bardzo mistrzowsko. Wszystkich egzemplarzy wybito jedynie 188, mianowicie: jeden złoty, siedm srebrnych, sto trzydzieści brązowych i pięćdziesiąt cynowych.

Na jednej stronie medalu znajduje się popiersie astronoma, okolone napisem: „Nicolaus Copernicus, Astronomus Polonus.” U dołu słowa: Teod. Rygier sculpsit, Joannes Vagnetti fecit Florentiae, Arth. Wołyński publicavit.” Na drugiej zaś stronie czytamy następujące wyrazy:

Archigymnasia  
Bonon. Roman. Ferrar. Patav.  
Quae. Magnum. Planetorum. Siderum.  
Systematis. Correctorem.  
Immortale. Polonicae. Nationis. Decus.  
Qua. Discipulum. Qua. Magistrum.  
Ex. A. MCDXCVI. Ad. A. MDIV. Habuerunt.  
In. Memoriam.  
Musei. Copernicani. Romae. Dedicati  
Laetitiae. Et. Gratulationis. Ergo  
Signandum. Curaverunt.  
M,D,CCCLXXIX.

Ułożeniem napisu tego zajmował się prof. Michał Ferucci z Pizy, o czém świadczy napis na medalu: M. Ferrucci composuit.

Chcąc medalowi temu nadać ważne, historyczne znaczenie, pan Wołyński zażądał od czterech uniwersytetów włoskich, wymienionych na medalu, uznania napisu za swój i tym sposobem stwierdzenia polskiego pochodzenia Kopernika.

Tym celem rozesłał do wzmiankowych wszechnic projekt napisu i wkrótce otrzymał cztery protokoły, opatrzone podpisami przeszło stu profesorów.

Nazwiska tych profesorów są:

1) Z uniwersytetu w Rzymie: Valeri Gaetano, rektor uniwersytetu, Galassi Luigi, Protonatari Francesco, Galuzzi Giuseppe, Palma Luigi, Filomusi-Guelti Francesco, De-Crescenzo Niccola, Nocito Pietro, Saredo Giuseppe, Maurizi Luigi, Ferri Luigi, Manaci Ernesto, Schiapparelli Celestino, Turbiglio Sebastiano, Zambaldi Francesco, Pierantani Augusto, Massadaglia Angelo, Tommasi-Crudeli Corrado, Mammiani della Rovere, Cannizzara Stanislao, Berti Domenico, Bohgi Ruggiero, Landon Attilio.

2) Z uniwersytetu w Padwie: Tolamei Giampaolo, rektor uniwersytetu, Silvestri Jacopo, De Leva Giuseppe, Turazza Giuseppe, Rossetti Francesco, Guezani Giuseppe, Pertile Giambatista, Marzelo Francesco, Luzzatti Luigi, Favaro Antonio, Legnazzi Enrico Nestose,

Bellaristio Giusto, Filippuzzi Francesco, Banatelli Francesco, Lorenzoni Giuseppe, Giudice Giovanni.

3) Z uniwersytetu w Ferrarze: Grillenzani Carlo, Buzzeti Curzio, Crivelluci Luigi, Bennati Alessandro, Zuffi Federico, Stefani Aristido, Scarabelli Ignazio, Zeni Silvio, Vignocchi Cesare, Ludovisi Ercole, Borgattli Filippo, Riminesi Giuseppe, Piccoli Luigi, Galdini Galdino, Magni Giovanni, Bottani Carlo, Weiss Giovanni, Turbiglio Giorgio, Martinelli Giovanni.

4) Z uniwersytetu w Bolonii: Magni Francesco rektor uniwersytetu, Vella Luigi, Pelliccioni Gaetano, Bosi Federico, Mantovanni Orsetti, Piazza Pietro, Gemelli Carlo, Loreta Pietro, Carducci Giosue, Regaldi Giuseppe, Gandino Giov. Bat. Fiorini Matteo, Barbera Luigi, Turrini Giuseppe, Rancati Francesco, Santagata Domenico, Brizio Edoardo, Ducati Angelo, Albicini Cesare, Cocconi Gerolamo, Regnoli Oresto, Peroglio Celestica, Giusti Emilio, Cenesi Giuseppe, d'Apel Luigi, Saporetti Antonio, Lodi Francesco, Bambici Luigi, Coppellini Giovanni, Villari Emilio, Cassani don Giamomo, Sangiorgi Gaetano, Acri Francesco, Ciaccio Giuseppe, Ruffini Ferdinando, Boschi Pietro, Taruffi Cesare, Razzaboni Cesare, Venturi Luigi, Benetti Jacopo, Fais Antonio, Donati Luigi, Bassini Ugo.

Egzemplarz złoty medalu zakupiony został z ofiar prawników warszawskich i kosztował przeszło 800 franków. Inicytywę do zbierania składek w tym celu dał adwokat Henryk Hoffmann. Na kancie medalu złotego wyryte zostały następujące słowa: „Cives Varsavienses offerunt Musco Copernicano, die 19 Februari 1879.”

Do każdego medalu dołączoną została broszura p. t.: „Medaglie di Niccolo Copernico.” Broszura ta opisuje wszystkie znane dotąd Kopernikowe medale i obejmuje w końcu nazwiska profesorów, którzy publicznie uznali polską narodowość wielkiego astronoma.

Szkoda że autor téj broszury p. Artur Wołyński, pisząc o ostatnim medalu, nie zaznaczył, że pieniędzy na wybicie takowego dostarczyła ojczyzna Kopernika. Nieświadomi bowiem istotnego stanu rzeczy sędzią mogą, że koszt wybicia (tysiąc kilkaset franków), poniosły uniwersytety włoskie, co przecież prawdą nie jest.

Oprócz broszury o medalach, wydane także zostały na czterech arkuszach podobizny podpisów profesorów włoskich, którzy uznali za swój napis.

„Autografi di Niccolo Copernico, raccolti ed ordinati dal dottor Arturo Wołyński” (Firenze 1879), jestto wspaniały zbiór podobizn pisma wielkiego astronoma. Na szesnastu tablicach znajdujemy tu (w podobiznach): pierwszą i drugą kartę dzieła: *De revolutionibus*, wyjątek z *caput X, de ordine coelestium orbium*, 7 listów do Jana Dantyszka, list do Alberta księcia pruskiego: *il frantespicio del calendario per l'anno 1500*, adnotacją na dziele: *Tabulae Astronomicae Alfonso Regis*, własnoręczna recepta napisana przez Kopernika na dziele: *Euclidis Elementa: Geom. 1482*, pierwsze karty tytułowe pierwszych wydań dzieł Kopernika: *De lateribus et angulis triangulorum*



i *De revolutionibus*. Dwie ostatnie tablice obejmują podobizny z *Acta Consularia Cracoviensia*, dotyczące rodziny Kopernika z 1396 i 1441 r.: *diploma di Nicolo e Barbara genitori del Copernico* z 1469 r., wyciąg z *Metriae Studiosorum* uniwersytetu krakowskiego z 1491 roku i wreszcie dyplom na doktora praw, uzyskany przez Kopernika w Ferrarze w 1503 roku.

Jak widzimy zbiór bardzo ciekawy, do którego materiału dostarczyły biblioteki Krakowa, ks. Czartoryskich, Berlina, Upsali, Królewca, Warszawy i wreszcie Ferrary. Wydanie niezmiernie ozdobne, powieździć nawet można zbyt kowne.

Niezależnie od powyższych publikacji, wydaną także została mapa Prus Królewskich, ojczystej prowincji Kopernika. Celem tej mapy jest ostateczne wyjaśnienie nazwiska „Prusy,” którym to nazwiskiem uzurpowanem prowincji słowiańskiej przez Niemców, ci ostatni obalamują tu i owdzie jeszcze opinię publiczną. Mapa „Prus” zawieszona w Muzeum i rozesłana wraz z innymi pamiątkami po świecie, będzie dokładną informatorką w sprawie pochodzenia Kopernika.

W końcu zaznaczyć jeszcze musimy ryciny pamiątkowe, (z obrazów i rzeźb polskich, znajdujących się bądź w oryginałach, bądź w kopiach w Muzeum) odbite w znacznej liczbie egzemplarzy, celem uświetnienia inauguracji.

Założenie Muzeum Kopernika w Rzymie, nauka polska wita z wielkim zadowoleniem; gdy bowiem z jednej strony pozyskujemy w nim, w wiecznym grodzie instytucją, mówiącą zrozumiale do wszystkich o naszym znaczeniu dziejowym i zasługach dla cywilizacji, z drugiej osiągamy przez nie cel praktyczny, bo zgromadzamy w jednym miejscu to wszystko, co do rozjaśnienia znaczenia Kopernika przyczynić się może.

Z PODROŻY I PRZECHADZEK  
PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGII.

Z LUŻNYCH NOTATEK SPISAŁ

*Stanisław Bełza.*

**Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu,**

W JUBILEUSZOWYM JEGO ROKU,

W HOŁDZIE CZCI I WDZIĘCZNOŚCI, WSPOMNIENIA TE

poświęca

Autor.

I.

Na Weście. — Choroba morska. — Pan Böhn ja i Niemiec. — Czy już Chrysty-  
ania? — Czegom się najpierw na okręcie nauczył?

Na pokładzie okrętu *Westa*, wypłynąłem z Kopenhagi w dniu 14 lipca 1875 r. Dzień był pochmurny i zimny, wiatr ostry silnie dął z północy, deszczyk, rzecz dziwna, pomimo wiatru, wilgocią powietrza sycił, wszystko nie zapowiadało żeglugi spokojnej i przyjemnej.

W kajucie siedzieć nie bardzo rad byłem, poraz pierwszy bowiem odbywając dłuższą podróż okrętem, chciałem nacieszyć się morzem dosyta. Patrzałem więc niespokojnie i na dół i do góry, ale zarówno tu, jak tam, rozciągała się gęsta, jednostajna przestrzeń, szara, wilgotna, ponura. Nie wiem, co dałbym był wtedy za jeden uśmiech słońca, za jeden cieplejszy jego promień, a tu tymczasem deszcz pluskał i pluskał, wzmagając co chwila siłę i gęstość swoje.

Około w pół do dziewiątej rano, dzwonek kapitana dał się słyszeć, ruch majtków na pokładzie zdwoił się; w ucho moje zaczęły wpadać jakieś obce, nieznanne mi dźwięki; rozpuszczano liny przymocowujące statek do ziemi, podniesiono sztuczny pomost: ruszyliśmy.

Zbliżam się do kapitana i w ostrą mowę Bismarka zapytuję go, jak długo do Chrystyanii płynąć będziemy.

— To zależy od wiatru — odpowiedział. Pogoda jakoś nie sprzyja, morze się pieni i bałwani już teraz, a cóż dopiero gdy wpłyniemy

na *Skager-Rak*;—zawsze przecież z półtorej doby pokołyszymy się na pokładzie.

Dobrze więc, myślę sobie, na trzydzieści kilka godzin odcięty jestem od świata.

Myślę tak, trzymając się mocno żaglu, a okręt tymczasem mknie jak strzała. Żeglujemy około wschodnich brzegów Zelandyi, które nam kreślą uroczne krajobrazy.

Cała ta wyspa jest jakby jednym ogrodem, zielonym, wesołym, uśmiechniętym. Brzegi jej okrągło wchodzą w morze, które je całując bezustannie, odświeża glebę i grunt żyznym czyni. Płyniemy. Na zachód widnieją nam naprzód okolice Kopenhagi, wille i domki szwajcarskie, dalej cudny *Klampenborg* ze swemi kąpielowemi zakładami, a na wschód jak przez mgłę widać jakąś szarą, zbitą masę:—to Szwecya, ojczyzna Wazów naszych, grób naszej Jagiellonki!

Jaka szkoda, że deszcz nie przestaje pluskać: zdaleka widzę coś nakształt zamku w średniowiecznym stylu, z basztami i strzelnicami, ale drobiazgowo rozeznaczyć nie mogę, choć podpływamy do niego bardzo blisko.

To *Helsingör* i *Kronborg* opowiadają mi podróżnicy. Patrząc na mapę i dostrzegam że punkta te zajmują szczyt Zelandyi i spoglądają oko w oko Szwecyi, która w tém miejscu tak bardzo przybliżyła się do Danii, iż w pół godziny można przedostać się z jednego z tych krajów do drugiego.

Mijamy *Helsingör* i znajdujemy się na otwartém morzu. Zmianę położenia dostrzega się odrazu. Wody Zundu niebieskie i przejrzyste pienią się zwolna poruszając okrętem, wody Kategatu zielone i tajemnicze, z całą siłą uderzają w dziób naszej Westy, która kołysząc się w tył i z powrotem, daje nam przesłiczny, choć przerażający widok. Ani sposób iść teraz do kajuty. Tam kołysanie zdwojone sprawia nudy i mdłości nie do zniesienia, tu na pokładzie, na świeżem, morskiem powietrzu, znośniej, weseliej, choć straszniej.

Zaczynają coś przebąkiwać o chorobie morskiej. Nigdy jej nie doznawszy, nie miałem o niej wyobrażenia, a choć jej nie życzyłem sobie, nie obawiałem się przecież. Stałem przy baryerze, trzymając się jej silnie ręką, spoglądałem na te wody poruszane tajemniczą siłą i marzyłem o tych nieznanach krajach, które zobaczę, o ludziach, których poznam, o oddalonej ojczyźnie mojej.

Naraz krzyk z góry daje się słyszeć, podnoszę głowę i spostrzegam zabawny choć przykry widok. Na pokładzie pierwszych kajut, na rozestłanych chustkach, leżą wybladłe jakieś postacie, trzęsąc się od zimna i wydając bolesne jęki. Masz tobie, to nasze uroczne współtowarzyszki podróży, pierwsze padają ofiarą choroby morskiej. Biedne one, pomyślałem, przeznaczone do uszczęśliwienia nam życia, słabsze od nas i mniej wytrzymałe, pierwsze zawsze doznają silnych razów natury, które w nas raczej godziłoby wpięrow powinny. Ale cóż robić, wyższa to wola sprawia, że te, których natury podstawą jest



litość, tak bezlitośnie często są doświadczane! Bądź jakbądź, piękne panie nasze chorują, a brzydki ich towarzysze, nie wyjmując piszącego te słowa, zdrowi są jak nigdy.

Kiedyśmy zdrowi, mówimy jeden do drugiego, to nieśmy pomoc chorym i—dalej na górę wypełniać rozkazy i zlecenia naszych pacjentek. Te jednak, z konieczności tylko pomoc naszą przyjmują, choroba morską żenuje je bardzo, i tylko brak obsługi żeńskiej, naszą w obec nich umożliwia. Po długich staraniach i zachodach damski personel o tyle przychodzi do siebie, że pomoc nasza uznana jest za zbytęcną. Usuwamy się tedy.

Powracam na pokład, ale otóż i mnie się niedobrze robić zaczyna. Nogi podemną się chwieją, głowa cięży jak głaz, w oczach mi się ćmi. Widzi to jeden z podróżnych, podchodzi z nieśmiałością i odzywając się po niemiecku, podaje kieliszek koniaku. Przyjmuję go z podziękowaniem, i o dziwo, choroba jakby ręką odjął ulata, siły się zaczynają wzmacniać, śmieję się z mojego poprzedniego stanu.

My płyniemy wciąż. Przybliżam się do mojego doktora i wybawcy, następuje rekomendacja. Dowiaduję się, że grzeczny współpasażer jest norwegczykiem, handlarzem drzewa, kończył zakład naukowy w Niemczech i wybornie włada berlińskim dyalektem.

Ja się podaję za studenta Warszawskiego uniwersytetu i zawiązuje się rozmowa:

— Co pana wiedzie w nasze strony?—pyta mnie pan Böhn,—takie bowiem miał nazwisko.

— Ciekawość, łaskawy panie i chęć nauki—odpowiadam. Korzystając z wakacyi puściłem się w świat, zwiedziłem szczegółowo Danią, a teraz pragnę zobaczyć wasze skandynawskie skały i przepaście.

— Bardzo panu ten projekt pochwalam, kraj nasz choć biedny, przedstawia przecież dla cudzoziemca wielki interes. Nie znajdziesz w nim złota i przepychu, ale ład i porządek, piękną choć groźną naturę, wyborne społeczne urządzenia i szlachetne serca mieszkańców. Którą stronę Norwegii chcesz pan widzieć?

— Przedewszystkiem wyładowywam w Chrystyanii, a potem uzbroiwszy się w rewolwer pójdę tam, gdzie mnie oczy poniosą, bo wiem że kraj wasz wspaniały ale i rozległy.

— Nie rób pan tego. Najprzód radzę ci, nie uzbrajaj się niepotrzebnie, gdyż nic cię złego w Norwegii nie spotka. Lud nasz jest spokojny i nie chciwy, gościa szanuje i poważa, o napaści ani pomyśli: przekonasz się pan o tém. Broń, to oznaka nieufności, mogłaby go niepotrzebnie obrazić, a szanować potrzeba poczucie honoru tych poczciwców. Śmiało więc ruszaj w drogę, sam, ze spokojném czołem, z dobrą mapą i kompasem. a zawierzaj słowom moim, że ci się nic złego nie stanie. Co sie tyczy tego, gdzie masz pan iść, to radziłbym nakreślić sobie pewien w tym względzie planik. Ja jako handlujący, znam dobrze całą Norwegią; pan jój naraz poznać całej nie możesz:

zobacz więc najprzód to, co bliższe i piękniejsze, a potem gdy upodobasz nasze strony, przyjedziesz znowu do nas, to ci pokażemy więcej.

To mówiąc pan Böhn wyjął szczegółową mapę Norwegii i zaczęła mi ołówkiem zakreślać okolice, w których mam być koniecznie; ja zaś obiecawszy w Chrystyanii zaopatrzyć się w kartę południowej Norwegii, polykałem z chciwością jego słowa, notując w książeczce niezrozumiałe jeszcze podówczas dla mnie wyrazy: Miösen, Lilla hammer, Telemarken, Gausta, Riukanfoss.

Na rozmowie o tém i o owém zeszło nam do wieczora. Obserwacyi żadnych robić niemożna było, znajdowaliśmy się bowiem na otwartém morzu, więc się gawędziło ochoczo. Przyłączył się do nas jakiś jeszcze turysta niemiecki, projektujący odbyć piechotą podróż z Chrystyanii do Bergen, we trójkę; tak więc, poruszaliśmy kwestyą po kwestyi. Rozmowy naszej nie przerywała żadna przeszkoda, okręt mknął spokojniej i równiej, dzięki uciszonemu wiatrowi; tu i owdzie tylko wychylała się nam sylwetka jakiejś wysepki, tu i owdzie ukazywał się na widnokręgu jakiś nieznanany statek, stada mew krążyły ponad głowami. Cicho było: wieczór zapadał, niebo jasne zapowiadało piękne jutro, księżyc wychylał się z poza obłoków. Uciszone wody morskie spokojniej już uderzały o boki Westy, ze wstydem ukazując bezsilność swoją. Myśmy wszyscy patrzyli na wschód, gdzie w dali ukazywało się wielkie miasto.

— To Gotenborg—odzywa się mój Norwegczyk—i kres podróży mojej. Za chwilę rozstanę się z panami, może być przecież, że spotkamy się jeszcze w Chrystyanii, gdyż za dni kilka zamierzam być w tém mieście. Stańcie tylko w hotelu Stockholm.

Ledwie domawiał tych słów, dzwonek kapitana zapowiedział nam donośnie, że wjeżdżamy w przystań Gotenborską.

Była północ, uściskaliśmy, ja i mój Niemiec, rękę sympatycznego Norwegczyka i nie otrzymawszy pozwolenia wyjścia na ląd, udaliśmy się do naszych kajut na spoczynek.

Obudziwszy się nazajutrz, byliśmy daleko już od Gotenborga. Znaleźliśmy się znów na pełném morzu. Dzień był prześliczny, słońce wschodziło wspaniale, wiatr ledwo poruszał wodą. Okręt, szybko i majestatycznie pruł morskie przestrzenie, zaledwo kołyszając się nieco. I znowu cisza była, ale nie ta pęsepną co wczoraj wieczór, ale jasna, pogodna, uśmiechnięta. Nasze towarzyszkii podróży, zawstydzone niemocą, pochowały się do swoich kajut i dziś dopiero wyszły na pokład rozkoszne, usiłując w nas wszystkich wmówić, że nigdy nie chorowały, żeśmy im nigdy pomocy nie nieśli.

I znowu w dali coś widnieć zaczyna na zachodzie, przykładam lunetę do oka i widzę miasto.

— Chrystyania?—pytam jakiegoś majtka, tyle tylko umiejac po norweskku.

— Laurwig—odpowiada zapytany sucho, nie przestając żuć tytoniu.

Przybliżamy do tego Laurwig, miasteczka na południowo-zachodnim brzegu Norwegii położonego. Okręt nasz zbywa nieco ze swego balastu, pod postacią beczulek piwa, czy wina, zaopatruje się w świeżą słodką wodę i rusza dalej.

Mnie zajmują bardzo *gwiazdy morskie* podpływające aż pod sam statek, i chłopcy wiejscy uwijający się w łódeczkach w pogoni za niemi. Gwiazdy te, piękne w wodzie, wyjęte z niej przedstawiają śluzowatą masę, nader niemiałą w dotknięciu. Są to podobno zwierzątka należące do typu jeżowców i bardzo pospolite przy brzegach normandzkich i skandynawskich.

Opuściwszy Laurwig, wpływamy do tak nazwanego Chrystyańskiego fiordu, bezpieczni już od burz i wstrząśnień.

Jak wiadomo, żaden kraj w Europie, z wyjątkiem Grecji nie posiada tak wybornych brzegów jak Norwegia. Na całej zachodniej przestrzeni morze wrzyna się w głąb kraju na kilka i kilkanaście mil, tworząc wyborne przystanie i porty. Port Chrystyański (po norweskku *fiord*) długi jest na 13 mil, szerokością zaś nie przechodzi zakresu widzenia gołęb okiem. Znaczenie jego zatem handlowe i polityczne dla kraju jest bardzo wielkie; co do mnie, to rozglądając się w nim na prawo i na lewo dostrzegłem, że nie jest on pozbawiony i estetycznej doniosłości. Po obu stronach wąskiego przesmyku wznoszą się tu i tam góry i pagórki, nader mile pociągające oko. To też przyglądałem się z przyjemnością uroczym krajobrazom, jakie raz poraz przed wzrokiem mym się rozciągały. Patrząc tak, zazdrościłem nieledwie tym biednym rybakom, którzy obsiadłszy te wzgórza, z wody żyją w cnocie i spokoju. Bo ilustracją do tych krajobrazów natury stanowią tylko rybackie chatki nieśmiało tu i owdzie wyglądające zpod ziemi i najczęściej rozproszone w dali od siebie. Jedyną znacniejszą wieściną po Tönsbergu jest tu *Dröbak* (1700 miesz.), w którymto miejscu morze jest szerokie zaledwie na 1000 łokci.

Od Dröbaku, już niedaleko do Chrystyanii. „Za kilka godzin będziemy w stolicy” pociesza nas kapitan, wesoły, że przebył morze szczęśliwie i prędko. To też rozmawia ochoczo z damami, głaszcząc sobie brodę. Co się mnie tyczy, przeglądam słowniczek niemieckonorweskki i uczę się potrzebniejszych wyrazów.

Chleb—*bröd*, masło—*smör*, mięso—*kiöd*, ryba—*fisk*, powtarzam uparcie.

„*Chrystyania!*“ odzywa się głos sternika, *Chrystyania!* powtarzają za nim majtkowie, chowam więc książkę do walizki, biorę pled na rękę i powoli przygotowuję się do stąpienia na ziemi.

Godzina 9 wieczorem,—jesteśmy w stolicy Norwegii.



## II.

Już Chrystyania. — Co w niej godnego widzenia? — Słówko o sztuce. — Hovedø i ładna dziewczyna. — Jeszcze pan Böhn.

Chrystyania jest niewielkiem miastem, bodaj nawet czy nie mniejszém od najmniejszej stolicy Europy.

Rozsiadła niebardzo szeroko nad samym morskim fiordem, liczy najwięcej z jakie 80,000 mieszk. i dla przywykłego do warszawskiego chociażby ruchu, prawdziwie martwą być się wydaje.

Na pierwszy rzut oka przedstawiła mi się wcale porządnie, ulice szerokie i proste, domy wysokie i świeże, nadają miastu cechę nowożytności, jakiej darmobyś szukał gdzieindziej.

Bo téż stolica Norwegii jest nowożytném miastem.

Jéj narodziny przypadają na rok 1624, za czasów panowania króla duńskiego Chrystyana IV, który fundamenta grodu tego założył, po spaleniu się do szczętu starego miasteczka *Oslo*.

Na każdym téż kroku witają cię tu nowiutkie budowle, niemające nic wspólnego z naszymi, dajmy na to na *Starém Mieście*.

Czy Chrystyania jest piękném miastem? Nie. Gmachów tu ani wspaniałych pałaców nie zobaczysz, a jeżeli gdzie uderzy twoje oko coś, nakształt zbytkowniejszego mieszkania, to z pewnością jaki naukowy zakład.

Krakowskiem-Przedmieściem stolicy Norwegii jest *Carl Johans gade*, ulica długa i rozległa, prowadząca od wschodniego dworca kolei do pałacu króla. Przejdiesz ją wzdłuż i wszecz i oko twoje zatrzyma się jedynie na *Starthingsbygningen* (gmachu parlamentu, Stortingu). Gmach ten zbudowany jest w stylu nowszym i strzeżony przez lwy kamienne.

Rezydencya króla przedstawia prosty duży dom, bez ozdób architektonicznych. Wygląda jak koszary. To téż nie znalazłszy w niej nic osobliwego, idziesz zobaczyć gmach uniwersytecki, dość ładny, w greckim stylu. Przypominając poniekąd Kazimierowski pałac, leży on ustronnie nieco od głównej ulicy, otoczony klombami drzew.

Czujesz tu godność i powagę taką, jak i wobec naszego przybytku najwyższej nauki w kraju.

Ot i wszystkie gmachy. Więcej, nic. Kościoły, pomniki sztuki w innych krajach, tu przedstawiają się zimno, grobowo. Za miastem już, leży Oscarshal letni dworzec monarszy, na wzniesieniu, nad wodą, biało pomalowany. Jest on tak drobny, że architekt myśli swój nawet nie mógł w nim rozwinąć i utworzył maleńką zabawkę, nie wiem nawet, czy możliwą przez cały dwór do zamieszkania.

Ażeby skończyć z zewnętrznością Chrystyanii, dodam, że prócz *Carl Johans gade*, znajdziesz tu wiele podobnych jéj pod względem szerokości ulic, że pomnika żadnego na ulicy nie zobaczysz, a ogród

jedyny leży tuż pod progami królewskiego dworca. Kiedym wyjeżdżał, przystępowano właśnie do wzniesienia statuy konnej *Karola Juna* szwedzkiego, którego tu pamięć wielce szanują, ochrzciwszy nawet jego mianem pryncypalną ulicę w mieście.

O kilkaset kroków od tego miejsca, narodowa galerja obrazów. Jakże jęj nie zobaczyć? Sztuka interesowała mnie zawsze wielce; od chwili gdy tak potężnie i niespodziewanie rozwinęła się u nas, zacząłem ją nawet nieco studyować, a mistrze ojczystego pendzla nauczyli mnie krytycznie na jęj płody spoglądać. Więć ciekawy byłem jak tęż tam w tęj biędnej Chrystyanii jest ona reprezentowaną, co w tęj gałęzi wydał kraj, którego pobratymcy w Kopenhadze dali światu Thorwaldseną.

Szczegółowe zwiedzenie norweskicj galerji obrazów utwierdziło mnie w tęp przekonaniu, iż wielkich malarzy Norwegia nie posiada. Sądząc z tego co w Chrystyanii jest, a są tu, jak mnie objaśniono, jedne z lepszych obrazj, malarstwo w Norwegii nie znajduje się w stanie rozkwitu.

Przedewszystkiem w galerji tęj nie widzę historycznych płócien, a te co są, wykonane nad wyraz lichy i bezmyślnie. Figurki to, a nie postacie dziejowe; to tęż ich tryumfy lub zgony na obrazach nie robią żadnego wrażenia. Może być bardzo, że co się obrazów historycznych tyczy, zepsuł mnie Matejko, ale to wszystko com w Chrystyanii widział, mojem zdaniem nie wytrzymuje krytyki.

Jeżeli historycznych obrazów w galerji w Chrystyanii nie szukać, to za to warto popatrzyć na pejzaże. Nadewszystko tęż pejzaż morski uprawiany tu jest powszechnie i z zamiłowaniem. Wyłómaczyć to się da łatwo; natura i otoczenie najpotężniejszy wpływ na człowieka zawsze wywierały i wywierają, a zagadka twórczości duchowęj, warunkami życia łatwo da się rozwiązać. Więć cóż dziwnego, że duch norweskiego artysty, rwący się ku pięknu, zaklina ciągle na płótnie to, co jest najpiękniejszego w otoczeniu, te ozłocene promieniami wschodzącego słońca góry i urwiska, i te mętne, spienione fale, rozbijające się bez końca o granitowe skały progów jego ojczyzny, a które w łonie swojem kryją tyle wspomnień przeszłości, tyle przyszłości zagadek?

Pejzaże morskie są w galerji obrazów w Chrystyanii piękne. Artystyci tęż morscy tego kraju mogą współzawodniczyć pod tym względem nawet z takim Ajwazowskim, który przewyższa ich tylko subtelnością wykonania;—za to oddają oni nad opis wiernie ducha tych gór i tych wód północy, który unosi się nad niemi i w nich od wieków panuje.

Czemu kraj tak wysoko i szczerze religijny jak Norwegia, nie wydał religijnego malarstwa, odpowiedzieć na to pytanie nie umiem. Może duch pobożności znalazł tu odpływ w innym rodzaju sztuki, a może zbyt on skupiony w sobie, aby odpływu szukał. Nie wiem. To tylko pewno, że obrazów religijnych w Chrystyanii prawie niema, a te co są, są malowidłami nie obrazami.

Galerya narodowa obrazów założoną została w r. 1837 i liczy 236 płócien Datla, Tidemanda, Gudego, Eckersberga, Cappelena, Badama, Müllera, Bøego, Fricha i innych.

Na tém zakończam moje uwagi o malarzach norweskich. Niech pobieżność sądu o nich daruje czytelnik pisarzowi, który w tych luźnych wspomnieniach z podróży, chciał uwiezić garstkę wrażeń swoich i nic więcej.

Zobaczyliście już, łaskawi czytelnicy, powierzchownie Chrystyanią całą, przekonaliście się, że niema ona nic w sobie tak godnego przydłuższej uwagi; chodźcież więc teraz ze mną w jej okolice, zdaleka już śmiejące się wesołemi pagórki i zielenią rozłożystych drzew.

Przedewszystkiem poprowadzę was na Hovedö. Ażeby tam się dostać, trzeba nająć czółno i płynąć; Hovedö jest bowiem wyspą, zdaleka już nader mile łechcąca badawcze turysty oko. Schodzę więc koło fortecy nad brzeg morza z zamiarem pojechania na Hovedö. Jest godzina poobiednia, właśnie wojsko na placu przed twierdzą odbywa mustrę. Przyjrzyjmyż się tej mustrze.

Przedewszystkiem powiedzieć muszę, że wojsko norweskie wcale niepowabnie się prezentuje. Ubrane w coś nakosztak okrągłej sukiennej bluzy, w kapeluszach *a la Rinaldo-Rinaldini*, z małym torniستم na plecach i krótkim sztucerkiem na ramieniu, sprawia efekt jakichś nowozaciężnych chłopaków, gwałtem w mundur żołdacki przyobleczonych, ani z miny ani z czupryny do wojsk kontynentalnych nie podobnych. Jakieś to nadto niezdarne w ruchach, przybite i głupowate, że doprawdy patrzeć się na nich długo nie chce. Totéż odwracam oczy i spuszczam się ku przystani.

— Bondy! bondy (chłopie)!—wołam na jakiegoś łodziarza, mało obznajmiony jeszcze z językiem norweskim.

— Höre (słucham)—odpowiada barczysty przewoźnik.

— Til Hovedö (do Hovedö)—i pokazuję pieniądze.

— En species (jednego species)—odpowiada.

— Fredsinstyre skilling (60 szylingów)—targuję się; mój przewoźnik się zgadza, wsiamam w łódkę, jedziemy.

Jako przyjemnie płynąć w małym statku po morzu, jako romantycznie, gdy jego rozigrane fale bawią się jak łupinką, drobną łódką, jak ją wznoszą raz w górę, to znowu pogrążają w dole, zdając się gniewać, że tak niewielka odrobina śmie deptać kark olbrzyma, pruć wody, które tyle parowców w nurtach swoich pochłoneły! Dla osób wrażliwych i lękliwych jazda to wcale nie powabna i choć nie niebezpieczna, przecież nieprzyjemna; że jednak ja nerwowych przypadłości nie miwam, lubowałem się przeto wielce, w moich krótkich przygodach, jakich doznawałem na przestrzeni małej mili morskiej, pomiędzy przystanią Chrystyańską a wysepką będącą celem mojej podróży.

Hovedö jest wysepką. Cała jej osada składa się z kilku przysiadłych nad wodą chałupek, biędnych i niepozornych, jak nasze nadwiślańskie. Otoczone dokoła zielenią, dają one dach kilku rodzinom



z pracy rąk opędzającym codzienne swe potrzeby. Stanąwszy na północnym zakręcie wyspy, masz Chrystyanią, jak na dłoni. Bieleje ona ze swojemi świeżemi domkami, uroczu odbijającemi się w źwierciadle wód, myjących od wieków jęj stopy. Poza miastem góry rysują się ztąd również wdzięcznie i poważnie. Jestto jak mi mówiono jedyny punkt, z którego cała stolica Norwegii jest widzialną; to téż Hovedö nieraz chwilowy spoczynek daje turystom, przenoszącym jęj postać na papier.

Pokazywano mi téż tu starożytne ruiny jakiegoś cysterskiego klasztoru. Datują one podobno z r. 1147 i ledwo pozwalają domyślać się budowy. Nad ziemią mało co ochroniono przed niszczącym zębem czasu, pod ziemią jednak widzisz jeszcze rozległe fundamenta i sklepienia. Konserwatorowie miejscowych starożytności, od niedawna zwrócili uwagę na ten prastary zabytek dziejowy i chronią go jak mogą od coraz większego zniszczenia.

Więcej na Hovedö niema nic godnego widzenia, prócz chyba... ślicznego buziaczka córki stróża klasztoru, której widok przypomniął mi jasnowłose bohaterki starożytnych Sag skandynawskich; rzuciwszy więc na nią ostatnie w życiu spojrzenie, wracam do łódki i niezadługo jestem już z powrotem w moim hotelu Stokholm.

— Jakiś pan dowiadywał się o pana—zagaduje mnie po niemiecku piękna *pige* (dziewczyna) numerowa.

— Co-za pan?—pytam.

— Nazwiska nie wymienił, kazał mi tylko powiedzieć, że poznał się z panem kilka dni temu na morzu, a rozstał w Gotenborgu.

— A! rozumiem, pomyślałem. To mój poczciwy Böhn. Obiecał być w Chrystyani i dotrzymał słowa. Cieszę się z tego niewymownie.

Powracam do mojego pokoiku, z pięknym widokiem na wianek gór okalających stolicę Norwegii, i usadowiwszy się w wygodnym fotelu czytam przewodnik niemiecki.

Do drzwi moich ktoś zlekka puka.

— „Entrez!!—wołam donośnym głosem i po chwili ściskam żyłąstą dłoń Böhna...

— Ach! jakże się raduję z tego—mówię—żeś pan o mnie nie zapomniał. Grzeczność tę pamiętać panu będę.

— Nie dziękuj mi pan—odpowiada mój gość.

W Chrystyanii i tak być miałem. Zwiedziłem sławne szluzy w Trol-hätta w Szwecyi i jadę w górę kraju po drzewo. A propos, pan nie znasz Szwecyi?

— Nie, ale po zwiedzeniu ojczyzny pańskiej, mam zamiar udać się i tam; boć to jest kraj, który dał nam Polakom dynastyą panującą w XVII wieku i silny choć niekorzystny wpływ wywarł na losy nasze.

— Wiem o tém, Gustaw Adolf niemało złęgo wam wyrządził, a i Karol XII choć protegował na tron kość z kości narodu, przecież niemniej krwawo zapisał się w rocznikach waszych. Ale dajmy pokój dziejom. Gdy pan będziesz w Szwecyi, nie zapomnij przejechać się ze

## II.

Już Chrystyania.—Co w niej godnego widzenia?—Słówko o sztuce.—Hovedø  
i ładna dziewczyna.—Jeszcze pan Böhn.

Chrystyania jest niewielkiem miastem, bodaj nawet czy nie mniejszém od najmniejszej stolicy Europy.

Rozsiadła niebardzo szeroko nad samym morskim fiordem, liczy najwięcej z jakie 80,000 miesz. i dla przywykłego do warszawskiego chociażby ruchu, prawdziwie martwą być się wydaje.

Na pierwszy rzut oka przedstawiła mi się wcale porządnie, ulice szerokie i proste, domy wysokie i świeże, nadają miastu cechę nowożytności, jakiej darmobys szukał gdzieindziej.

Bo téż stolica Norwegii jest nowożytném miastem.

Jéj narodziny przypadają na rok 1624, za czasów panowania króla duńskiego Chrystyana IV, który fundamenta grodu tego założył, po spaleniu się do szczętu starego miasteczka *Oslo*.

Na każdym téż kroku witają cię tu nowiutkie budowle, niemające nic wspólnego z naszymi, dajmy na to na *Starém Mieście*.

Czy Chrystyania jest piękném miastem? Nie. Gmachów tu ani wspaniałych pałaców nie zobaczysz, a jeżeli gdzie uderzy twoje oko coś, nakształt zbyt kowniejszego mieszkania, to z pewnością jaki naukowy zakład.

Krakowskiem-Przedmieściem stolicy Norwegii jest *Carl Johans gade*, ulica długa i rozległa, prowadząca od wschodniego dworca kolei do pałacu króla. Przejdziesz ją wzdłuż i wszecz i oko twoje zatrzyma się jedynie na *Starthingsbygningen* (gmachu parlamentu, Stortingu). Gmach ten zbudowany jest w stylu nowszym i strzeżony przez lwy kamienne.

Rezydencya króla przedstawia prosty duży dom, bez ozdób architektonicznych. Wygląda jak koszary. To téż nie znalazłszy w niej nic osobliwego, idziesz zobaczyć gmach uniwersytecki, dość ładny, w greckim stylu. Przypominając poniekąd Kazimierowski pałac, leży on ustronnie nieco od głównej ulicy, otoczony klombami drzew.

Czujesz tu godność i powagę taką, jak i wobec naszego przybytku najwyższej nauki w kraju.

Ot i wszystkie gmachy. Więcej, nic. Kościoły, pomniki sztuki w innych krajach, tu przedstawiają się zimno, grobowo. Za miastem już, leży Oscarshal letni dworec monarszy, na wzniesieniu, nad wodą, biało pomalowany. Jest on tak drobny, że architekt myśli swój nawet nie mógł w nim rozwinąć i utworzył maleńką zabawkę, nie wiem nawet, czy możliwą przez cały dwór do zamieszkania.

Ażeby skończyć z zewnętrżnością Chrystyanii, dodam, że prócz *Carl Johans gade*, znajdziesz tu wiele podobnych jéj pod względem szerokości ulic, że pomnika żadnego na ulicy nie zobaczysz, a ogród

tam drugi *bondy* z pod Røros naprzykład, okuleje niosąc sér po kamienistój drodze do Tønset lub Reendal.

Trzy mamy główne linie kolei w Norwegii: z Chrystyanii do Eidsvold, z Chrystyanii do Kongsberg i z téjże Chrystyanii do granicy Szwecyi. Co prawda, to niedługo będziemy mieli kolei więcej, projektuje się bowiem olbrzymia linia z miasta, w którém obecnie przebywamy, do Tronhiem <sup>1)</sup> na północy kraju. Ta linia będzie nowym tryumfem naszych inżynierów, którzy szalone trudności zwalczyć przedtém muszą, zanim im poprowadzić ją się uda.

Otóż z trzech istniejących kolei, żadna nie doprowadza cię do miejsc najpiękniejszych dla turysty. I Eidsvoldska i Kongsbergaska wysadza cię w prog uroczych miejscowości i ruszaj dalej w świat z mantelzakim na plecach, kompasem i mapą w ręku. Dobrze jeszcze gdy masz kieszeń naładowaną *specyessami* (nasze 8 złotych); dasz sobie wtedy łatwo radę; ale gdy w kieszeni suchoty, niedaleko zawędrować potrafisz.

Przypuszczam, że pan masz specyesy—dodał uśmiechając się—bo inaczejbyś do nas nie przyjeżdżał, dlatego też opowiedzieć ci chcę dalej co masz robić, gdy tłusty konduktor z wagonu cię wysadzi i powie, że furman, którego on jest najemnikiem, już dalej zawieźć cię nie może.

— Jak widzę—wtrąciłem—uprzejmość pańska dla mnie jest bardzo wielka i wcale przezemnie niezastużona. Korzystać z niej jednak zamierzam, bo bez objaśnień pańskich wyznaję, trudnoby mi było tu coś zbudować.

To mówiąc, wyjąłem dwa cygara, podałem jedno Böhnowi, drugie sam zapaliłem i usadowiwszy się w fotelu, słucałem co mi w dalszym ciągu opowiadał. Była godzina dziesiąta wieczorem, ale znać tego nie było, letnie noce Norwegii, jak wiadomo, niczém prawie od dnia się nie różnią. O dziesiątej więc wieczorem mieliśmy nieledwie tak samo w pokoju, jak o dziesiątej rano.

— Kolei w Norwegii niema, powiedziałem — ciągnął dalej Böhn—ale i waszych poczt niema. Uśmiechasz się pan, myśląc sobie zapewne, czémże u was u licha podróżują? ciekawość pańską wkrótce zaspokoić zamierzam.

Rodzi się znowu pytanie, dlaczego u nas w Norwegii waszych kabryoletów pocztowych niema? I tego są powody. Najprzód, drogi tu do przebycia ciężkie, więc czterokonny wehikuł z trudnością tuby się mógł poruszać. Co więcej, latem tylko podróżują u nas turyści, zimą i jesienią ruch jest drobny, zredukowany do minimum. Niedostatek więc kolei żelaznych i kabryoletów pocztowych, zastępują w Norwegii tak nazwane *karyole*. Są to dwukołowe bidki o jednym koniu, z którými bliższą znajomość pan zabrać z konieczności będziesz musiał, gdzie się bowiem tylko obrócisz, napotkasz je masami.

<sup>1)</sup> Linia ta świeżo poprowadzoną została. (Przyp. autora.)



Po wszystkich uczęszczanych drogach w Norwegii, uderzy oczy twoje następujące urządzenie. Tu i owdzie ujrzysz tak nazwane stacje pocztowe, dzierżawione lub będące własnością najzwyczajniejszych chłopów, których rząd zobowiązał do utrzymywania takich karyol, dla wygody turystów podróżujących po kraju. Jak skoro więc przywędrujesz pan do takiej stacji, najmuj sobie karyolę od chłopca, która cię powiezie do stacji następnej, gdzie nową karyolę dostaniesz i t. d.

— Ależ to musi być szalenie drogie to wasze podróżowanie karyolami—przerwałem.

— Zapewne że tanie nie jest, ale znowu środków podróżnego nie przechodzi. Zazwyczaj jednokonna karyola kosztuje na milę 30 szylingów, co znowu bajeczną sumą nie jest, zwłaszcza jeżeli się na uwagę weźmie, iż podróżowanie takimi karyolami, do przyjemniejszych policzyć należy. Norwegia, jak pan wiesz, jest górzysta i w łonie skał swoich urocze więzi widoki; kto tu przychodzi, przyjrzyć się im musi, a uczynić to wtedy tylko może, gdy podróżuje taką karyolą, którą sam powożąc jest się niezależnym panem.

— Jakto, więc samemu się nią powozi?

— Tak jest, w karyoli bowiem miejsca nawet na stangreta nie ma, jest tu jedno siedzenie w rodzaju siodła przyczepionego do dyszla. Na siodle tém, jeden tylko usiedzieć może, zmuszony będąc opuścić nogi, do pewnego rodzaju strzemionek uczepionych z boku. Z tyłu tylko karyoli jest maleńkie drewniane siedzenie, na którym się sadowi chłopiec zobowiązany do odprowadzenia konia z karyolą do stacji, jak skoro wynajmujący ją do celu podróży swojej dojedzie.

Ale nie tylko karyolami ludzie u nas podróżują. Norwegia, jak panu wiadomo nie posiada wielkich rzek i jezior, ale za to przernięta jest mnóstwem jezierek drobnych, które zwłaszcza w zachodniej stronie kraju, na każdym niemal kroku pochod twój tamują. Otóż po jeziorkach tych, pływać, rzecz naturalna, musisz. Ilekroć więc razy spotkasz pan na drodze swojej wodę, a spotkasz ją niezawodnie często, tyle razy musisz nająć łodziarza, który za niewielką opłatą na drugą stronę cię przewiezie. Opłata ta jest nie jednakowa: dwu ludzi na milę jazdy pobierają 48 szylingów, trzech 72, czterech 96 i w tym stosunku. Mniej jak dwu ludzi nie radziłbym panu jednak brać dla oszczędności, podróż bowiem taka jest połączona z niebezpieczeństwem, którego unikać należy.

Tak się rzeczy mają na drobnych jeziorkach i wodach; na wszystkich większych jednak znajdują się parowe statki, które cię za bajecznie niską cenę do następnej stacji odwieźć są zawsze gotowe. W podróży swojej po Thelemarkem spotkasz pan takich statków wiele a na jeziorze *Mjøsen* kursuje ich nawet kilka.

Kto chce jednak dobrze poznać Norwegię, ten, zdaniem mojem, jeździć karyolami nie powinien. Komu zdrowie służy a nogi postuszeństwa nie wypowiedziały, ten powinien po drogach naszych chodzić piechotą nie krępując się nikim i niczém.

Podróż taka ma urok nieopisany. Ja sam podróżując po Norwegii przed laty, kiedy byłem w pańskim wieku, podróżowałem po niej piechotą, i dziś z własnego doświadczenia panu radzę, byś unikał karyol i koni i wtedy tylko do pomocy ich się uciekał, gdy strudzone nogi wypoczynku zapragną. Nie myśl pan aby podróż taka połączoną była z niebezpieczeństwem, broń Panie Boże. Powiedziałem już panu na morzu, iż ludność Norwegii moralna nie łakomi się na cudze dobro. Powiem teraz nadto, że chodząc po kraju poznasz dopiero dobrze nasz lud poczciwy choć biedny i nasze obyczaje pierwotne ale pełne powabu. Słuchaj więc pan mojej rady: a jak skoro kiedyś powrócisz nad brzegi swojej Wisły i opisać postanowisz dla pożytku drugich to coś widział i doświadczał, wspomnij sobie wtedy handlarza drzewem Böhna, którego radom zawdzięczać będziesz więcej nauki w głowie i pieniądzy w kieszeni.

— Ależ czemże ja żyć będę, chodząc tak po kraju, którego języka i stosunków nie znam—przerwałem.

Nie lękaj się pan, nie pierwszy tu przychodzisz do nas i nie ostatni; poprzedziło tu pana wielu, przyjdzie jeszcze wielu po panu. Wprawdzie polaka turystę po Norwegii, widzę w panu pierwszego, ale Anglików snuje się po kraju mnóstwo. Te spleenowate dzieci Albionu wiedzą co jest piękne, nie lękają się więc trudów i niebezpieczeństw, i przyjeżdżają do nas pewni, że tu znajdują to, czego gdzieindziej darmo szukać. Wszyscy dziś przybywają bez znajomości języka naszego i dają sobie radę. Wprawdzie mają kieszenie suto *gwineami* wypakowane i sypią złotem na wszystkie strony, ucząc nawet chciwości nasz lud, no ale i bez wielkich bogactw podróżować po Norwegii można. Czy pan wcale nie znasz naszego języka?

— Przeciwnie, liczyć po Norwęgsku umiem i znam z jaki tuzin najpotrzebniejszych wyrazów.

Tu mu zacząłem cytować z pamięci: *giv mig* (daj mi), *öl* (piwo), *vand* (woda), *boeuf* (byfsztyk), *fugle* (ptak), *and* (kaczka), *æg* (jajko), *äple* (jabłko), *en kniv* (nóż), *aquavit* (wódka), *pære* (gruszka), *ost* (ser), *melk* (mleko), *vin* (wino), *smuke pige* (piękna dziewczyna).

— Brawo—zaśmiał się mój Norwegczyk—Od dni kilku jesteś pan dopiero w Norwegii, a już umiesz komplementa damom mówić. Nie obawiaj się więc niczego i ilekroć razy zajdziesz do chałupy jakiego *bondy*, gdzie dostrzeżesz ładny buziaczek bladoliciej i jasnowłosej dziewczynki, zwracaj się do niej śmiało ze słowami: *giv mig smuke pige öl*, lub coś podobnego.

Co się zaś tyczy obawy, ażebyś pan nie był okradziony lub oszukany, to jeżeli ona jest w panu, chciałbym ją słowami moimi w zupełności usunąć. Odcieci od reszty świata morzem, odcieci się włóścianie nasi i od zepsucia kontynentalnego, zadawałnając się tém co mają i nie czyhając na dobro drugiego.

— A co się tyczy restauracyi, czy też je znajdować będę na drodze wędrowek moich?

— Jak gdzie. W większych miastach znajdziesz pan, po wsiach jednak bez nich obchodzić się będziesz musiał. Musisz więc spać i jeść w chatach włościańskich, w których wprawdzie nie ujrzysz zbytku, ale umiarkowaną skromność. Za małe bowiem wynagrodzenie, poda ci taka wiejska *smuke pige* mięso, sér, mléko, chléb, jaja, piwo i rybę, a to ci zdaniem mojem wystarczy. Prześpisz się na twardém łóżku i powędrujesz dalej w świat z pod tych strzech naszych, unosząc wrazenie wcale nie najgorsze. Kiedy pan jedziesz do Thelemarken?

— Jutro lub pojutrze najdalej; nic mnie już w Chrystyanii nie trzyma, zwiedziłem wszystko, zobaczyłem wszystko, coś mnie już więc z tych zimnych murów wypędza. Pierwój jednak nim zwiedzę Thelemarken, chciałbym poznać okolicę waszego Miösen, o którym takie dziwy czytam i słyszę, pojedę więc najpierw do Lillahamer, a może i dalej na północ, a jak skoro ztamtąd powrócę, puszcze się do Szwajcaryi Norwęskiej.

— Pochwalam panu i ten projekt i radzę mu przyprowadzić go do skutku. Okolice jeziora Miösen, są istotnie prześliczne, warto więc je zobaczyć.

Ale zagadaliśmy się—przerwał nagle powstając z miejsca i patrząc na zegarek—a to już pierwsza godzina. Czas więc nam się rozstać, przedemną bowiem leży jeszcze daleka i znojna droga. Jadę po drzewo na północ, potem do Finlandyi i za kilka dopiero miesięcy będę z powrotem w Chrystyanii.

To mówiąc, wyciągnął do mnie rękę, potrząsnął nią z energią właściwą ludziom północy, a za chwilę w izdebce mojej w hotelu *Sztokholm*, w Chrystyanii pozostałem sam jeden ze swojemi myślami i miłém wspomnieniem po tym, którego już zapewne na zawsze pożegnałem.

(Dokończenie nastąpi).



## Kronika poznańska.

Wybory do parlamentu niemieckiego, które się odbywają przez powszechne głosowanie, umożliwiają oznaczenie *stosunku ludności polskiej a niemieckiej* dokładniejsze, aniżeli tabele statystyczne urzędowe, w których napotykalimy tylokrotnie policzonych między Niemców, wielu ziomków naszych, a policzonych dla tego, że po niemiecku nie źle mówią. Jeszcze w roku zeszłym ukazały się w instytucie jeograficznym Straubego w Berlinie mapy, uwydatniające kolorami różnemi siły stronnictw, wedle prowincyi, t. j. liczbę głosów w procentach. Ciekawe to zestawienie nie może być i poza Księstwem obojętne i dla tego udzielam z niego stosowne daty, tę tylko zmianę zaprowadzając, że nie odróżniam stronnictw niemieckich, bo one wszystkie, z wyjątkiem *centrum*, są nam wrogie. Jakkolwiek więc w niektórych okręgach wyborczych i Niemcy katolicy w części z nami głosują, to przecież w przeważnej części tychże okręgów jest Polskość i katolicyzm identycznym oznaczeniem. Wypadek wyborów, wedle procentów głosujących, takim był w roku minionym w naszym Księstwie:

W okręgu	polских,	niemieckich	głosów
W okręgu poznańskim	47,3 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	32, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	
„ szamotulskim	41,2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 39, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ międzyrzeckim	30,2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 46, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ kościańskim	56, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 20, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ krobskim	48,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 30,4 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ wschowskim	36,6 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 40,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ śremskim	58, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 15,2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ wrzesińskim	57,2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 13, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ krotoszyńskim	57,4 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 22, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ odolanowskim	57, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 14, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ czarnkowskim	22, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 50, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ szubińskim	45,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 47, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ bydgoskim	30, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 46, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ inowrocławskim	55,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 16, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„
„ wągrowieckim	63, 0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„ 16,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	„

Bacząc, że ruch wyborczy był ogromny tak wśród nas jak i wśród Niemców, przypuścić wolno z wszelkiem prawdopodobieństwem, że powyższe liczby znamionują prawdziwy stosunek tak głosujących jak i niegłosujących, wedle narodowości, a więc przewagę liczebną naszą w ogóle poświadczają.

*Statystycznych zestawień* dostarczyły nam i w innych gałęziach dość obficie sprawozdania, mianowicie co się tyczy *miasta Poznania*. Wyborcy Poznania podzieleni są, wedle płaconych podatków, na 3

klasy, a klasa znów każda na 4 okręgi. Klasa trzecia, t. j. najniższa, ma głosujących w 4 okręgach,—5050 osób, z których przypada na Niemców 3183 głosów, na Polaków tylko 1867. Jeden z tych okręgów ma wszelako większość głosów naszych, w drugim równoważą się polskie głosy z niemieckimi. Drugie dwa okręgi są w znacznej większości niemieckie. Klasa druga ma 490 niemieckich, a tylko 67 polskich głosujących; klasa pierwsza 240 niemieckich i znów tylko 36 polskich. Dziś, gdy sprawy komunalne coraz większej nabierają ważności, arcydokuczliwym staje się dla nas ten stosunek głosów. *Kto* w reprezentacji miejskiej zasiada, Niemiec czy Polak, to różnica nie lada dla nas, szczególnież ze względu na *szkoły*, które wchodzi w zakres czynności reprezentacji miejskich. Dozory w małych, deputacje w większych miastach, składają się bowiem w regule z członków magistratu i reprezentacji miejskiej; w ręku tych dozorów i tych deputacji spoczywają i wewnętrzne sprawy szkół, nawet plan nauk, obsadzanie posad nauczycielskich i religijny charakter szkół. Dość wziąć na uwagę prąd obecny i system, aby uznać, że gdybyśmy mieli inny skład reprezentacji miejskich, z których byłyby weszły inne osobistości i do magistratów i do deputacji szkolnych, nie byłaby nie jedna szkoła bezwyznaniową i nie tyłu byłoby zasiadało, co dziś, Niemców na krzesłach nauczycielskich. Toż rada miejska Poznańska, od czasu tak zwaney reorganizacji szkół w r. 1874 samych tylko Niemców mianowała nauczycielami! W magistracie Poznańskim zasiada tylko jeden Polak, a w reprezentacji tylko 5-ciu.

*Sprawozdanie administracyjne miasta Poznania z r. 1878*, taki nam przedstawia obraz *szkolnictwa* w roku ubiegłym:

*Ze szkół wyższych* posiada miasto *jedną szkołę realną* pierwszorzędną, wraz ze *szkołą przygotowawczą do takowej*.

*Ze szkół niższych: średnią* szkołę, potem tak zwaną *Bürgerschule* i *cztery miejskie* i *jedną rzemieślniczą*. Wszystkie te szkoły są bez wyjątku *simultanne*, t. j. *bezwyznaniowe*.

Do szkoły realnej i przygotowawczej realnej uczęszczało 559 uczniów, z których 229 ewangelickiego wyznania, 167 katolickiego, 163 mojżeszowego.

Do szkół niższych siedmiu wzwyz wzmiankowanych, uczęszczało 5866 dzieci (3071 chłopców, reszta dziewcząt). Z téj liczby było: wyznania katolickiego 3374, ewangelickiego 2112, mojżeszowego 380.

Ogólna liczba uczących wynosiła więc razem 6425 głów, a mianowicie: 3541 katolików, 2341 ewangelików, a 543 żydów.

Do *Szkoły realnej* uczęszczało 462 uczniów; z tych było katolików 128, ewangelików 187, żydów 147. Do *przygotowawczej szkoły realnej* uczęszczało 97 uczniów, z których: ewangelików 42, katolików 39, żydów 16.

Z szkół wymienionych niższych, cztery bezpłatne są. *Platnemi: Szkoła średnia*, licząca 573 ewangelickich, 281 katolickich, 174 żydowskich dzieci, t. z. *Bürgerschule*, licząca 462 ewangelickich, 370

katolickich, 81 żydowskich dzieci i *rzemieślnicza* licząca 88 uczniów, między którymi 47 ewangelickich, 37 katolickich a 4 żydowskie, dzieci. *Do bezpłatnych czterech szkół* uczęszczało 3837 dzieci, z których 2686 katolickiego, 1030 ewangelickiego, a 121 żydowskiego wyznania.

Koszta miejskiego szkolnictwa wynosiły 348,761 marek. Z tej summy przypada na wyższą szkołę 105,433 marek, reszta na szkoły niższe, płatne i bezpłatne. Szkoła realna i jej przygotowawcza, potrzebowały zasiłku 59,922 marek, średnia 36,574, Bürgerschule 28,960, rzemieślnicza 2,100, a 4 miejskie 128,971 marek.

Oprócz wymienionych codopiero szkół, należących do miasta istnieją jeszcze w Poznaniu dwa gimnazya: Ś. Maryi Magdaleny i Fryderyka Wilhelma, które z funduszów rządowych są utrzymywane. W znaczniejszej części daje pieniądze rząd, w mniejszej części uczniowie, w formie t. z. szkolnego rocznego, które dość jest wysokie.

*Budżet ministerjum wyznań*, przyjęty przez izbę poselską w z. roku, zawiera następujące pozycje dla wyższych zakładów szkolnych w W. Ks. Poznańskim:

1.	dla gimnazjum	Ś. M. Magdaleny	69,000 m.
2.	„	Fryderykowskiego	43,000 „
3.	„	w Lesznie	23,500 „
4.	„	w Ostrowie	40,000 „
5.	„	w Krotoszynie	16,600 „
6.	„	w Międzyrzeczu	25,800 „
7.	„	w Sremie	21,300 „
8.	„	w Rogoźnie	22,000 „
9.	dla szkoły realnej	w Wschowie	21,000 „
10.	dla gimnazjum	w Bydgoszczy	28,000 „
11.	„	w Inowrocławiu	16,000 „
12.	„	w Gnieźnie	22,000 „
13.	„	w Pile	15,800 „
14.	„	w Wągrówcu	32,000 „
15.	„	w Nakle	12,300 „
16.	dla progimnazjum	w Trzemesznie	15,000 „
17.	„	w Kępnie	2,000 „
18.	dla szkoły realnej	w Bydgoszczy	14,700 „
Suma			440,000 marek.

Seminaryów nauczycielskich mamy pięć, z tych dwa katolickie, w Paradyżu i Kcyni, dwa protestanckie, w Bydgoszczy i Koźminie, a jedno simultanne w Rawiczu. Uczęszczało do nich 469 aspirantów. Stosunek narodowości nie jest mi wiadomy dokładnie.

Cosię tyczy sumy 440,000 marek, budżetem unormowanej na wyższe zakłady szkolne, wygląda ona dość okazale; ale gdy zważymy, że prusacy wszystkie fundusze dawne, a mianowicie wszystkie dobra duchowne zagarnęli, z wyraźną obietnicą, iż dochody użyte zostaną na



szkolnictwo, cyfra powyższa obietnicy nie wypełnią, chociaż i doliczymy jeszcze do wydatków *na szkolnictwo, fundusz t. z. prowincjonalny*, wynoszącą wedle etatu 68,600 marek.

Marzec bywa u nas miesiącem różnych walnych zgromadzeń, ujawniających w znacznej części obraz czynności obywatelskich około dobra powszechnego. Z nich, omówimy nasamprzód *walne zgromadzenie Towarzystwa Poznańskiego przyjaciół nauk* z marca. Przeważnym przedmiotem obrad była zmiana przepisów co do wyboru członków. W początku wybory te skuteczniały walne zgromadzenia, następnie wydziały, z warunkiem przecież, że zarząd i walne zgromadzenie zatwierdzą takowe. Sposoby te wszystkie nie okazały się dogodnymi. Po dłuższej dyskusji nad projektowaną zmianą, uchwaliło walne zgromadzenie następujące zmiany regulaminu: 1) każdy z członków czynnych ma prawo podawać kandydata, ale na piśmie, poczem zarząd przedstawia podanego członka następnemu walnemu zgromadzeniu, które głosuje tajnym wotowaniem; 2) każdy członek ma prawo polecić kandydata wydziałowi, do którego należy, ale wybór odbędzie się dopiero na następnym zebraniu wydziałowym i to za pomocą tajnego głosowania. O wyborze stanowi  $\frac{3}{4}$  obecnych członków, których najmniej ośmiu obecnych być winno. Następnie zarząd potwierdzić wybór winien, poczem nazwiska nowych tych członków ogłoszone zostaną następnemu walnemu zgromadzeniu. Zmiany te poddane będą jeszcze jednemu walnemu zebraniu, odpowiednio do ustawy obowiązującej. Z sprawozdania wydziałów dowiedzieliśmy się, że *wydział historyczny* pracował gorliwie, że i *lekarski* nie lenił się; że natomiast *przyrodniczy* pauzował w regule, a *ekonomiczny* zupełnie nie funkcjonował. Dowiedzieliśmy się dalej pod względem wydawnictwa: że *Kodeksu Wielopolskiego* już trzeci tom jest na ukończeniu i że rozpoczęty druk dzieła *Liber beneficiorum*, zbogacony będzie cennymi przypiskami ks. Kan. Korytkowskiego. Dowiedzieliśmy się, że ukończenia tak pożądanego budowy muzealnej spodziewać się należy z pewnością w ciągu roku bieżącego, że wszystko już jest przygotowane do rozłożenia zbiorów i książek, przygotowany także do druku katalog galerii obrazów, spis szkiców, wykopalisk, monet, medali i t. p.; że zaś biblioteki, z kilkudziesięciu już tysięcy tomów złożonej, nie dało się dotąd skatalogować dla braku tymczasowo miejsca na rozkładanie i gatunkowanie książek. W kasie Towarzystwa pozostał remanent:

w gotowiznie . . .	2,893	marek
[w papierach % . . .	38,250	„ ]
wpłynęło do kasy . .	10,022	„
było więc w gotowiznie razem	12,915	„
a że wydano . . .	12,628	„
więc pozostało na r. bieżący	287	„

Dowiedzieliśmy się także, że komisya wybrana do ułożenia *Słownika wyrażen prawniczych*, obiecuje przyspieszyć owę pracę tak, aby ukończoną została do 1 października.

Oto co o walném zgromadzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, z marca donieść mi przychodzi. Jak słusznie sprawozdanie wydziału historycznego opiewało, był on gorliwie czynnym, my zaś teraz dodamy, że pozostał takim samym. Odczyty odznaczają się od marca tak treścią jak formą. Ks. Kan. Korytkowski czytał resztę swęj pracy: *o arcyb. Łaskim*, ks. prałat Likowski: *dwa ustępy z dziejów Unii*; dalej czytano *o Radziejowskim*, *o Walce stronnictwa Słowiańskiego z Niemieckim w r. 1191—1195*, *z okazji wyboru biskupa dyecezy Szeceńskiego*. Czytano także *o Literaturze w Wielkopolsce w wieku XIX do r. 1830*. Z tego ostatniego odczytu pozwolę sobie przytoczyć ustępy niektóre. Zdawało się z razu wielu, gdy odczyt ten zapowiedziały gazety, że to będzie dopełnienie odczytu prof. Tarnowskiego; prelegent wszelako *wyraźnie* zaraz na początku zastrzegł się *przeciw* takiemu przypuszczeniu.

Celem jego właściwym było naszkicowanie nie literatury *wielkopolskiej*, bo wielkopolska geograficznie sięga aż Litwy, a znów z kądną odrębną nie przedstawia szkoły, ale *li literatury poznańskiej*. Prelegent podniósł, że miejscowe stosunki, oddalenie od Warszawy, stworzyły już zaraz w końcu XVIII wieku, kiedy jeszcze Warszawa i Poznań znajdowały się pod Prusakiem, oddzielną tu i tam literaturę. Szóstego stycznia r. 1793 wkracza Prusak do dawnéj Wielkopolski, oddziały dywizyi generała Byszewskiego cofają się pod Łowicz, z wyjątkiem oddziału majora Więckowskiego, który oparł się wojskom pruskim. Ogół obywateli wówczas oddał się niebawem rozrywkom; popłata produktów sprzyjała używaniu. Cóż zatem mogło wyrosć w literaturze? Maleńkie ona tylko wydawała owoce, a nasamprzód wychodziła od r. 1796 *Gazeta Prus Południowych*, pismo urzędowe, którego charakterystyczném znamię były inseraty i wiadomości rozliczne potoczne, rzucające jaskrawe światło na stan ówczesny umystów. Czasem zabłąkała się między wiadomości wieść jedna i druga o Dąbrowskim, o Kościuszcze jadącym z Petersburga do Ameryki, o „rebelantach“ polskich nad Dunajem.”

Od chwili utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, zamieszcza *Gazeta* sprawozdania z jego posiedzeń, z odczytów, a czasem i inne z Warszawy zawiera doniesienia. Jednocześnie z *Gazetą Prus Południowych*, wychodzą aż trzy niemieckie gazety w obrębie Poznańskiego. Stawiarski tłómaczy: *Prawo krajowe Pruskie* na język polski, podczas gdy ks. Gałęcki drukuje *Historią Hiszpanii*. Pismo, pod tytułem *Co Tydzień*, którego dwa tylko podobno wyszły numerami, powołał sam ks. biskup Ignacy Krasicki do życia, ale niewiadomo czemu tak prędko zaniechał. Jedno tylko istniało wówczas gimnazyum Poznańskie; na akademią jeżdżono do Frankfurta nad Odrą. Za ognisko oświaty mieć trzeba w owym okresie słynną szkołę po-pi-

jarską w Rydzynie, której rektorem był ks. Ignacy Przybylski, mąż dzielny, a gorącego serca dla kraju. Komi wojażerem, że się tak wyrazimy, idei narodowej był W. Bogusławski, który na przedstawienia teatralne zjeżdżał zwykle do Poznania w czasie kontraktów ś-to Jańskich. Nadszedł rok 1806. Napoleon przybywa. Gazeta Prus Południowych wychodzi dalej, ale, naturalnie, redagowaną jest stosownie do okoliczności i nowego położenia. Kursują z rąk do rąk wiersze przygodne dawnego konfederata Barskiego, Marcina Molskiego, mianowicie zaś nadaje mu szerszy rozgłos jego *Oda*. (Ten Marcin Molski bardzo był popularną w swym czasie figurą. Dzierżawił on jedną z wsi rządowych w okolicy Śremu, a że miał wielką łatwość wierszowania, i żył z bracią szlachtą na stopie dobrej komitywy, można było jeszcze przed laty trzydziestu, napotkać w wielu domach naszych rozliczne jego przygodne wiersze). Prelegent twierdził, że niezasłużenie zapomniane zostały Molskiego płody. Literatura ubogą i za Napoleona pozostaje. Pojawia się *Gazeta Poznańska*, pisze Surowiecki i oto wszystko. Wstępujemy w r. 1815. Traktaty przekazują dział, obejmujący dzisiejsze Księstwo Poznańskie, Prusom. Ruch literacki nie ożywia się. Wychodzić zaczyna *Gazeta W. Ks. Poznańskiego*, w roku 1821 *Mrowka*, miesięcznik, głównie pracami Fr. Królikowskiego zasilany, ale trwa tylko rok jeden. Kapitan Napoleoński, Turski, zaczyna w r. 1825 wydawać *Weterana*. Czuć w pisemku tém gorącego ducha i nie złą redakcją. Trudni się przeważnie historycznymi wspomnieniami, a między innymi zawiera rozprawę o Lisowczykach. Zamieszcza i wiersze, z których Łukasiewicza, później na inném polu chlubnie zasłużonego, nie odznaczają się niczem. Lepsze już są wiersze Nep. Kurcewskiego, sędziego poznańskiego, a nawet czasem zwiastują nie lada talent.

*Weteran* wszelako, mimo swe zalety i mimo sympatyą, upadł i pozostała tylko *Gazeta W. Ks. Poznańskiego*. Obok tych objawów literackich wspomniął jeszcze prelegent o *Gramatyce polskiej* poznańszczyzanina Muczkowskiego, profesora gimnazjum Poznańskiego a później zaszczytnie znanego prof. uniwersytetu Krakowskiego, o *publikacjach historycznych hr. Edwarda Raczyńskiego*, wreszcie o założonej przez siebie *bibliotece Raczyńskich* w r. 1829.

Mówiąc o Towarzystwie Przyjaciół Nauk tutejszém, nie godzi się w żaden sposób pominąć projektu *sekcji osobnej archeologicznej*, który temi czasy podany został przez jednego z członków Towarzystwa. Archeologia stała się dziś już nauką. Muzea i zbiory wszelkie zabytków dawnych wielkiego nabierają znaczenia. My dotąd przeważnie zbierali raczej cegły i cegiełki, aniżeli z takowych coś budowali. Niemcy wśród nas, przynajmniej trzeba, więcej w tym względzie czynią zabiegów. Dr. Schwartz, z Poznania, załączył do Wielkanocnego programu gimnazjum Fryderykowskiego, pracę p. t. *Nachtrag zu der Materialien zur praehistorischen Kartographie der provinzen Posen. Zusammenstellung der Funde und Fundorte seit Ostern 1875*, w której, tak jak



i w pierwszej pracy, z r. 1875, zestawia starannie wszystkie wykopaliska w W. Ks. Poznańskim i daje wykaz alfabetyczny miejsc, jako podstawę do projektowanej mapy archeologicznej Księstwa. Mapę taką już dawniej był projektował ś. p. hr. Aleksander Przezdziecki, ale materiały przezeń zbierane, dotąd nie ujrzały światła dziennego.

Autor projektu utworzenia sekcji osobnej archeologicznej w łonie wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, poruszył więc rzecz bardzo na czasie będącą, a wobec bliższego otwarcia muzeum, nawet konieczną. Przedewszystkiem niezbędnym jest katalog zbieranego w muzeum przedhistorycznego materiału. Zaś sekcji archeologicznej zadaniem być winno: 1) ścisłe oznaczenie charakteru archeologicznego poznańskiej dzielnicy, na podstawie wykopalisk i źródeł literackich; 2) systematyczne zbadanie zabytków za pomocą naukowo prowadzonych odkopowań; 3) bezustanna piecza nad całością znajdujących się w naszej dzielnicy pomników, naczyń i sprzętów; 4) systematyczne zestawienie zebranego materiału, wedle wymagań dzisiejszych nauki.

Wspomnieliśmy co dopiero o *Bibliotece Raczyńskich*. Otóż bibliotekę tę podarował był, jak wiadomo, fundator miastu Poznaniowi; dokument erekcyjny zastrzegł wszelako, że dozór nad jęj zarządem przysługiwać ma kuratorjum, w skład którego wchodzi prezes rejencyi, marszałek sejmu prowincjonalnego, arcybiskup i nadburmistrz miasta; prócz tego miał być członkiem kuratorjum właściciel ordynacyi Raczyńskich. Ordynacya ta tymczasem nie przysłała do skutku, więc familia nie jest reprezentowaną w kuratorjum. Władze miejskie mniemały mieć prawo wynajmowania lokali w bibliotece, zaprzeczając takowego kuratorjum. Sprawa poszła do sądu, sąd wyższy rozstrzygnął ją przeciw miastu, sąd najwyższy wyrok ten potwierdził niedawno. Tak więc zależy odtąd zawieranie umów lokatorskich wyłącznie do kuratorjum. Kiedy hr. Edward Raczyński fundował bibliotekę, marszałkami sejmu byli zawsze polacy, a nadburmistrze umieli trzymać szalę słuszności. Odtąd zmieniło się to: marszałkami są dziś zawsze Niemcy, a nadburmistrze grają rolę *pionierów kultury*.

W tym samym czasie co walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbyło się także „Walne Zgromadzenie Towarzystwa Pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego.” Pocieszać nas powinno, że wśród rozstroju umysłów, upadających lub zachwianych stosunków materialnych, Towarzystwo Nauk Pomocy nie szwankowało w ubiegłym roku, że nawet w porównaniu z 1877 rokiem, miało przeszło tysiąc marek więcej ze składek. Większej części komitetów powiatowych oddać trzeba tę słuszność, że starały się gorliwie o rozszerzenie zakresu składających, jak również pochwała należy skarbnikom, że z nielada mozołem przykre swe wypełniać starali się obowiązki. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie zbywa i na niechętnych... Bacząc na to, wystąpił był w r. 1877 jeden z członków Towarzystwa z wnioskiem gruntownie opracowanym: aby celem *zabezpieczenia* raz na zawsze ma-

teryjalnego bytu Towarzystwa, ustalić jego fundusz przez zobowiązanie stypendystów do zwracania później wsparć, otrzymanych z Towarzystwa. Wszelako pokazało się, że rzecz nie da się przeprowadzić: raz z powodu statutów, które nie pozwalają na jakąkolwiek przemianę Towarzystwa Pomocy Naukowej na Towarzystwo pożyczkowe; drugi raz z powodu prawnego, albowiem Towarzystwo nie posiada praw korporacyjnych. Znaleźli się i w ubiegłym roku dobroczyńcy, którzy zasilili nadzwyczajnymi funduszami kasę Towarzystwa, a mianowicie dali:

spółka Bazaru znów . . . . .	3000	marek
z balu na dochód Towarzystwa . . . . .	287	„
legat ś. p. prof. Jakóbowskiego . . . . .	3000	„
z legatu ks. Dreyzy tymczasowo . . . . .	225	„
od ks. Jankowskiego . . . . .	300	„
z daru ś. p. p. Kowalskiej . . . . .	150	„
razem . . . . .	6962	marek

Prośby o wsparcie nietylko ze wszystkich stron nie ustają, ale mnożą się niesłychanie. Mimo najlepszych chęci, niepodobna zadowolić petentów nawet w części; i otóż aż sto blisko proszącym odmówić trzeba było:

Przychodu było:

w papierach . . . . .	6,675	marek
w gotowiznie . . . . .	42,411	„

Wydatku:

w gotowiznie . . . . .	41,775	„
------------------------	--------	---

Pozostało więc:

w papierach . . . . .	6,675	„
w gotowiznie . . . . .	636	„

Ze zaś było remanentu w r. 1877:

w papierach . . . . .	116,785	„
w gotowiznie . . . . .	14,212	„

Zatém w końcu r. z. pozostało:

w papierach . . . . .	123,460	„
w gotowiznie . . . . .	14,849	„

Stypendystów było w końcu roku zeszłego 102, a mianowicie na uniwersytecie w Wrocławiu 23, w Grajfwaldzie 9, w Berlinie 4, w Lipsku 2, w Halli 1, w Wiedniu 1. Na akademiach budownictwa było 8, na Akademii przemysłowej 1, w Szkole politechnicznej monachijskiej 1, w Szkole politechnicznej w Louvain w Belgii 1, w Akademii rolniczej Prószkowskiej 1, w Akademii sztuk pięknych 1. Reszta stypendystów pobierających bądź całkowicie, bądź częściowe wsparcia, rozdziela się na gimnazya i inne szkoły.

Z odczytów profesorów krakowskich, otrzymało na rok bieżący Towarzystwo 600 marek, a jeden z dawnych stypendystów zwrócił nietylko sumę, jaką był od Towarzystwa otrzymał na swe wykształcenie, ale policzył zarazem i procenta. Do zarządu te same ponownie wybrane zostały osoby.

Trzeciém walném zgromadzeniem było: *Zebranie walne centralnego Towarzystwa gospodarczego na W. Ks. Poznańskie*. Dochód wynosił 14,552 marek; rozchód 13,896 marek.

Spółka bazaru udzieliła i ten raz rocznej subwencji dla Towarzystwa marek 3,000; procenta od kapitału 15,000 marek, przekazanego Towarzystwu przez ś. p. z Moraczewskich Stablewską, otrzymał jeden stypendysta. Z funduszków Towarzystwa następujące Zarząd udzielił zapomogi:

1. Na poparcie kółek włościańskich otrzymał niezmordowany patron tychże p. Jackowski z Pomarzanowic marek 750.

2. Dyrekcyi filii Szubińskiej na częściowe pokrycie kosztów wystawy powiatowej dano marek 300.

3. Towarzystwu pszczolniczemu średzkiemu 150 marek.

4. Na utrzymanie czasopism leśnictwu poświęconych, ofiarowano 90 marek.

Niezwykłe obniżenie cen zboża, mały urodzaj ziemniaków, mniejsza popłata nabiału, wzbudziwszy słuszną, obawę o los społeczeństwa, ściśle z losem rolnictwa u nas związany, spowodowało wnioski do Zarządu o zwołanie nadzwyczajnego walnego zgromadzenia, któreby petycją zaniósł do rządu w przedmiocie ceł opiekuńczych na zboże, zmiany taryfy na kolejach i utworzenia banków melioracyjnych rolniczych. Zarząd pośpieszył uczynić zadość owym wnioskom i zwołał walne zgromadzenie, na którym uchwalono wystąpienie stosownej do parlamentu petycji. Petycją rzezoną przesałem wam w kronice méj ostatniej, którą wydrukowaliście w zeszyte kwietniowym.

*W sprawie kółek włościańskich* odczytał zasłużony patron tychże p. Jackowski, obszerny referat, o którym w następnej kronice obszernie pomówię; dziś zaś tylko tyle nadmienię, że wszyscy niemal członkowie walnego zebrania dzielili przekonanie Zarządu o koniecznej potrzebie podtrzymania instytucji kółek i poświęcenia takowym jaknajwiększej uwagi i jaknajtroskliwszych starań. *Piąty rocznik kółek* w téj chwili wyszedł z druku.

Sprawa Szkoły rolniczej w Żabikowie pod Poznaniem, zajęta znów mocno walne zgromadzenie. Szkoła ta, jak wam zapewne wiadomo, zawieszoną została. Szczerze powiedziawszy, jest ona jednym z płodów poronionych, bo na stopę zbyt obszerną założoną została, a niemiała zkądinąd dość mocnej podstawy materyalnej. Fundusz roczny 15,000 marek, przeznaczony na szkołę rolniczą polską w dobrach Miłosławskich, wedle testamentu ś. p. Sewerynostwa hr. Mielżyńskich, płacił sukcesor zmarłych testatorów, wedle decyzji obranej *ad hoc* t. z. rady obywatelskiej miłosławskiej, na Szkołę Żabikowską. Szkoła ta nie funkcjonuje, więc sukcesor nie płaci na nią, natomiast udziela prywatnie do wysokości rzezonej sumy, stypendya agronomiczne. Komisya tymczasem, jaką walne zgromadzenie zeszlatorczne *ad hoc* wybrało, dopominała się u sukcesora płacenia funduszu na Szkołę rol-



niczą Żabikowską, bo inaczej otwarcie ponowne szkoły staje się niemożliwym.

Sukcesor odesłał komisję do rady obywatelskiej Miłosławskiej, która przecież zgodziła się na to, aby dalsze wypłaty ustały na Szkołę Żabikowską, która nie istnieje, uskutecznią wszelako była aż do dalszego czasu sumy przeznaczoną, a to w formie szczegółowych stypendyów dla agronomów. Oto jak sprawa ta się przedstawia nieuprzedzonym.

W opróżnionym po Szkole owiej Żabikowskiej zakładzie, umieszczoną jest stacya kontroli nasion. Zestawienie prób poucza, że taka stacya bardzo pożyteczną stać się może dla rolników. Zbadane próby koniczyn, lucerny i traw wykazały np. kilkakrotnie zaledwie pół wartości użytkowej w ziarnach, czego na razie żaden rolnik poznać nie może; więc też w własnym interesie korzystać powinien z rzeczonyj stacyi i zakupywać nasiona tylko od tych, którzy kontroli poddać się nie wahają.

Zmiana statutów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, co do wyboru członków, uchwalona na walnym zgromadzeniu tegoż Towarzystwa z marca, spowodowała Zarząd do zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia na dzień 6 maja, a to w moc § 10 statutów, wedle którego każda uchwała zmieniająca statuta, winna przejść przez dwa walne zgromadzenia, aby się stała prawomocną. Nadzwyczajne walne zgromadzenie z maja potwierdziło uchwałę poprzedniego, którą powyżej przytoczyłem. Druga sprawa, uznana za nagłą, dotyczyła utworzenia *Komisji archeologicznej*. Dyskusya była żywa, bo podczas gdy jedni członkowie za koniecznością takiej komisji obstawali, drudzy zwracali uwagę, czy szczupłe siły Towarzystwa bodaj wystarczą na to. Bądź jakbądź zgodzono się wreszcie na utworzenie rzeczonyj komisji z 4 osób złożonyj, z prawem kooptacyi. Posiedzenie zakończyło się sprawozdaniem uproszonych znawców o budynku muzealnym, w którego tylnym skrzydle pokazały się rysy. Znawcy stwierdzili, że rysów tych nie spowodowało usunięcie się fundamentów, tylko wyłączenie się szczytu w średniej jego wysokości i wyrazili nadzieję, że nietrudno jest zapobiedz dalszemu rysowaniu się budynku. Byłoby to fatalne, gdyby istotnie nadzieja ta zawiodła w chwili, gdy niezbędnie już budynek ten jest potrzebnym.

Poseł z Prus zachodnich p. J. Kyskowski, wydrukował był przed kilku miesiącami memoriał, w którym wykazał, że jeżeli rolnictwo w całym państwie w opłakanym jest stanie, tedy przedewszystkiem w fatalnym jest położeniu w Prusach Zachodnich i w W. Księstwie Poznańskim, gdzie bezustanne subhasty, tak większych jak i małych, t. j. chłopskich gospodarstw, mnożą się niepomierne. Czulić to i wiedzieli dobrze wszyscy nasi rolnicy, a gdy wiadomość o zwrocie ekonomicznym wszechwładnego kanclerza zaczęła nabierać coraz więcej konsystencyi, gdy mianowicie nadzieja zaprowadzenia ceł opiekuń-

czych na płody rolnicze zdawała się być niezawodną, pojawiły się, celem wykazania ich konieczności, petycje rolników naszych, z których najdonośniejszą zakomunikowałem wam w ostatniej kronice. Tymczasem *nowa taryfa celna*, normująca cła opiekuńcze: 1) na płody rolnicze; 2) na wyroby przemysłowe; 3) na towary kolonialne, wykazuje jasno, że rolnictwo, w zamian za małe korzyści, obarczone zostanie fatalnymi ciężarami, że pozycje celne na płody rolnicze w żadnym nie zostają stosunku do bardzo wysokich ceł na wyroby przemysłu i towary kolonialne, bez których rolnik w żaden sposób obyć się nie może. Kanclerz w swęj taryfie głównie ma na myśli *cła finansowe*, t. j. te, które państwu przysporzą dochodów, czyniąc zarazem rząd mniej zależnym od kontroli parlamentu.

Aby jasno przedstawić krzywdę, jaką nowa taryfa gotuje rolnictwu naszemu, zredukować należy pojedyncze jęj pozycje na procenta od wartości oclonych pŁodów rolniczych, wyrobów przemysłu i towarów kolonialnych. Tak zwany *Verein zur Vorderung des Freihandels* wyręczył nas w tém. Wypracowana przezeń tabela wartości przeciętnęj oclonych przedmiotów, oparta na cyfrach oficjalnych statystycznych, oraz na cenniku miasta Hamburga, oznacza jaknajwyraźniej, o czyje właściwie interesa chodzi w tęj nowęj taryfie. Udzielam wam tego mozolnego zestawienia caŁkowicie, bo mówi samo przez się.

### 1. Cła na płody rolnicze.

Pszemica 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, owies 7,14<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, żyto 3,57<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, jęczmień 2,50<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, kukurydza 4,17<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, groch 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, anyż, kminek i w. i. 4,17<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, rzep 1<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, mięso 12<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, smalec 12<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, masŁo 11,11<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, sęer 15,15<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, jaja 3,75<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, miód 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, buhaje 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, krowy 2,22<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, woŁy 6,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, mŁodociane bydŁo 6,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, cieleŁta 3,33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, trzoda chŁęwna 3,79<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, chmiel 7,94<sup>o</sup>/<sub>o</sub> suszony owoc 7,14<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, drzewo nieobrobione 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, piŁowane 4,17<sup>o</sup>/<sub>o</sub> kora 3,85<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

### 2. Cła na wyroby przemysłowe.

Bawełniane tkaniny grube 44,44<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, takięż rzadkie 20—40<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, inne bawełniane 33,33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, koronki 31<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, weŁna: a) sukno niżej 1/2 milim. grube 44,44—68<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, b) sukna grubsze nię 1/2 milim. 9—45<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, c) towary piŁśniowe 9<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, d) kobierce 41<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, e) maty na podŁogi 41,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. PŁótno surowe 4—13,33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, pŁótno inne 8—17<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, jedwabie 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, Źelazo surowe 20<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, w sztabach 15,62<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, blacha Źelazna surowa 15—25<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, biała blacha 11,36<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, szyny Źelazne 16,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, inne wyroby Źelazne 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, maszyny z łanego Źelaza 5,77<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, z kutego 6,94<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, skóra na podeszwy 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, delikatne wyroby ze skóry 2,50<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, zielone szkŁo 10,71<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, białe 13,33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, szybowe 22,22<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, malowane 17,65<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Wyroby z gliny polewane 6,25<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, inne gliniane 26,27<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, porcelana biała 12,96<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, kolorowa 15<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

### 3. Cła finansowe na towary kolonialne.

Kawa brazylijska 37<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, jawańska 17,30<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, pieprz 60<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, rodzynki 66<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, koryntki 75<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, ryż 13,33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, herbata 41,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, wino beczkowe 30<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, w butelkach 18,46<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, piwo 16,67<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, arak 40<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, wódka doprawiona 66<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, inne wódki i likiery 109<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, petroleum 30<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

Porównyując, choćby tylko pobieżnie, dane powyższej tabeli, cóż jaśniej uderzy w oczy, jak zamiar przeważnie fiskalny, a zarazem względność wielka dla wielkiego przemysłu, podczas gdy rolnictwo i mały przemysł, jakby dla *decorum* tylko w pozycjach tych figurują. Kanclerz się zarzeka ustnie i piśmiennie, że robił co mógł, aby w radzie związkowej lepsze i sprawiedliwsze dla rolnictwa pozyskać warunki, ale mu się nie powiodło. Ha! dlań główną rzeczą: *cła finansowe*. Lecz dość już tych, chociaż *koniecznymi* były, dat statystycznych!

Ośmset lat ubiegło dnia 8 maja r. b. od czasu zabicia ś. Stanisława, a pobożna tradycja pozostała żywą w narodzie; symboliczna legenda o orłach, strzegących poćwiertowanego ciała biskupa dopóty, dopóki ciało znów się nie zrosło, tak samo przeszła na własność narodu, jak i przeszła druga legenda o ś. Stanisławie, dodającym mężstwa hufcom naszym pod Grunwaldem. Myśl pielgrzymki na Skatkę znalazła chętnych wielu; w przeddzień święta wybrało się z jakie 700 osób, przeważnie wieśniactwa, w podróż do Krakowa. Tam wraz z wypełnieniem pobożnej myśli, dana będzie ludowi sposobność przypatrzenia się pamiątkom przeszłości, które nigdzie wyraźniej nie przemawiają do duszy jak w Krakowie, a im ta dusza prostsza, tém silniej zdoła napoić się niemi i w obfitém ziarnie rozrzucić je po niwie naszej, już przygotowanej do coraz dodatniejszego poczucia wspólności.

Tradycja, to łańcuch, którego magnetyzmu nic, w masach mianowicie, nie zastąpi.

A kiedy już mówimy o tradycji, trudno nie wspomnieć o piastunie ostatniej może żywej tradycji Napoleońskiej, o zmarłym przed miesiącem, 90 letnim generale Chłapowskim. Pozostawił po sobie liczne zapiski, a w nich może odżyje coś z tego eposowego nastroju, który cechował opowiadania zmarłego z onych heroiczych czasów. Kiedy Napoleon już znikł z widowni, ciężko zapewne było tym, co bliżej byli jego osoby, otrząść się wśród zmienionych całkiem warunków z zadumy. Zmarły dokazał tego. Czasy były ciężkie, majątek mocno obdłużony. Chłapowski rzuca się z energią do nauki gospodarstwa, dźwiga majątek podupadły, a co więcej w taki sposób zaprowadza w nim ład, że, mimo późniejszego oddalenia dłuższego i mimo niejednej zawieruchy, gospodarstwo jego stynie i przyciąga do siebie młodych wielu uczniów, którzy roznoszą przykład, na jaki się patrzyli po Księstwie i tym sposobem dopomagają do rozrostu kultury i dobro-



bytu. Na tę właśnie stronę działalności prawdziwie kulturowej zmarłego generała, niedosyć, zdaniem naszym, położyły przycisku tutejsze dzienniki.

Potrąciwszy o *dzienniki*, nie możemy pokryć milczeniem, jak nieraz zaniedbuje to lub owo pismo tutejsze, język nasz, a zaniedbuje dziś w własnych artykułach, jutro w nabytych. Niech mi daruje *Dziennik Poznański*, ale ten rodzaj polszczyzny, jaki czytaliśmy przed miesiącem w jego odcinkach, powinien był zwrócić uwagę redakcyi. Mówimy o druku odczytu, noszącym tytuł: *O wpływie kobiet na stosunki społeczne i polityczne narodów, a w szczególności na społeczeństwo nasze i sprawę naszą*. Są tam całe niemal stronnice, któreby na *pol-ski język* przełożyć dopiéro trzeba, bo tylko słowa są polskie. Rzecz dobrze była pomyślana, przeprowadzona bystro; prelegent zyskał uznanie, ale jakże zaniedbał język, ale jakże mógł dziennik żadnej na to nie zwrócić uwagi! Mamy tu wprowadzić ciężkie bardzo przeszkody w zachowaniu ducha i czystości języka naszego, ale to najmniej właśnie uniewinnia redakcyę i w ogóle ludzi wykształconych. Bo i któż ma przodować w usiłowaniach ogółu około zachowania czystości i ducha języka?

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce.* Tom I.  
Kraków, 1878 r. (W 8-ce, str. 378).

Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie rozpoczęło tę jedną z najważniejszych swoich publikacji, bo mającą podać materiały do dziejów literatury, a co większa do oświaty w Polsce.

Jeżeli co do dziejów literatury ojczystej postąpiliśmy znacznie i liczny szereg podręczników i prac poważniejszego znaczenia już posiadamy, co do oświaty w Polsce, dostatecznego nie zebraliśmy nawet materiału.

Myślano o tém przed pół wiekiem z górą i zacny a pracowity obywatel cyrkułowski Ignacy Lubicz Czerwiński, wydał w Przemyslu (w drukarni Jana Gołębiowskiego) 1816 r. dwutomowe dzieło p. n.: *Krys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego od wieku X do końca wieku XVII*, ale praca ta w żadnej części nawet nie odpowiada zadaniu swemu. Piękną myślą i zacnym chęciom zabrakło wątku, nie starczyło też i poglądów dostatecznych na sam tak rozległy

przedmiot. Możemy autora tłumaczyć brakiem źródeł, na którychby mógł osnować rzecz swoją i zaprawdę w owym czasie dopiero się literatura F. Bentkowskiego pojawiła. Dzieło Czerwińskiego tylko w spisie bibliograficznym może zająć miejsce.

Akademia Umiejętności w Krakowie, czując dobrze potrzebę dzieła *O oświacie krajowej* i widząc brak zgromadzonego a niezbędne-go materiału, przedsięwzięła temu zaradzić. Z wydziału filologicznego Akademii, dr. Antoni Małcki nakreślił plan do działania.

„Należy się, pisze on, zająć przedewszystkiemi nagromadzeniem tych przygotowawczych pomocy, bez których dziejopis podobnym jest do architekta, zmuszonego być zarazem i dostarczycielem, ba, nawet producentem materiału budowlanego.”

W dalszym rozwoju swoich myśli, żąda autor podniety od Akademii, wychodzącej w kierunku prac monograficznych, wydawnictwa dzieł rzadkich, studyów nad dziejami specjalnych nauk, nad historią ruchu religijnego, w szczególności zaś zebrania materiałów do dziejów wyższych naukowych instytucji w Polsce.

Z obszernego programu prof. dr. A. Małckiego, zawiązana pod przewodnictwem Stanisława hr. Tarnowskiego, komisya w r. 1876 mogła tylko część pewną wziąć na siebie. Monograficzne prace nie mogły wejść w jej zakres: podnieta do nich najskuteczniejszą stać się mogła chyba cenna i w rzadkości bibliograficzne obfitująca biblioteka ś. p. Cypryana Walewskiego, przekazana Akademii, jak niemniej wydawany przez wydział katalog manuskryptów Akademii Jagiellońskiej dr. Wisłockiego. Natomiast naturalnym jej udziałem stało się gromadzenie przygotowawczych pomocy, bez których dziejopis literatury podobnym jest do „architekta,” o którym mówi w swym programie prof. Małcki.

W tym kierunku postanowiła wysadzona komisya wydawnictwo, którego treścią być ma:

1. Pamiątki ruchu naukowego, jak niemniej ustawodawstwa administracyi, sądownictwa, najwyższych instytucji naukowych w Polsce, a mianowicie: uniwersytetów w Krakowie, Wilnie, Zamościu i Warszawie.

2. Zabytki usiłowań naukowych zbiorowych, a więc materiałowe przyczynki do dziejów Towarzystw uczonych w Polsce lub zagranicą, przez Polaków zawiązanych.

3. Pomniki dziejów nauczania w szkołach średnich i pospolitych, ich organizacyi i statystyki.

4. Zabytki rękopiśmienne literackie i naukowe, z wyłączeniem rzeczy historycznych i prawniczych, wchodzących w zakres wydawnictw odnośnych komisji akademickich, bez względu na język, t. j. zarówno polskie jak łacińskie, bez względu także na wiek, a więc z włączeniem płodów ostatnich epok literackich.

5. Rzadkości bibliograficzne mniejszych rozmiarów, zarówno polskie jak łacińskie.

6. Materiały do biografii autorów i uczonych w Polsce, bądź z zapisków archiwalnych, bądź z aktów i listów po nich pozostałych czerpane.

7. Bibliografia każdoroczna historii literatury i oświaty w Polsce się tycząca.

W takim zakresie publikacya ta, podająca obfity materiał dla dziejów literatury i oświaty w Polsce, prowadzoną być ma; komisya zapewniła już sobie bogate zasoby do swego wydawnictwa, w celu dopomożenia, ażeby ruch literacko-naukowy naszej przeszłości raz postawić „w świetle trzeźwój porównawczej krytyki.”

Tom ten obejmuje w sobie:

1. Statuta *Collegii Minoris* uniwersytetu Krakowskiego dotąd niewydane. Ze starożytnego rękopismu, przechowanego w archiwum uniwersytetu Jagiellońskiego, wydał dr. Józef Szujski w tekście oryginalnym. Statuta te sięgają dawnych wieków, albowiem spisane w roku 1429, nazwane już wtedy *antiqua*, odnoszą się do pierwszych lat restauracyi uniwersytetu w r. 1400. Mieszczą tóż przepisy najdawniejsze urzędzeń kolegialnych, które uniwersytetowi Krakowskiemu nadały wybitną cechę, wspólną z paryzkim i angielskimi, a różną od włoskich, gdzie system *hospicyów* (swobodnego mieszkania w mieście) panował, system, właściwy także Kazimierzowskiemu urzędzeniu z roku 1364.

Statuta te, obowiązujące przez długie lata, są ważnym przyczynkiem do dziejów uniwersytetu Krakowskiego. Toż znaczenie mają: *Założenie i urządzenie Collegii Minoris* przez dr. J. Szujskiego, wydane z rękopismu XV stulecia.

Jeżeli prace te zaznajamiają nas z urządzeniem uniwersytetu Jagiellońskiego w dawnych wiekach, drukowane przez dr. Władysława Wisłockiego: to *Ks. Szczepana Hołowczyca raport wizyty generalnej południowo-wschodnich wydziałów szkolnych, odprawionój imieniem komisji edukacyjnej w r. 1782*, przedstawia stan naszych szkół w zeszłym stuleciu, a praca ta dotąd nieznana, z rękopismu obecnie rozpowszechniona, nie małym jest przyczynkiem do historii oświaty w Polsce w XVIII wieku.

Komisya edukacyjna w r. 1781 ogłosiła wypracowany przez swego sekretarza ks. Grzegorza Piramowicza: *Projekt ustaw dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej* i rozesłała go szkołom niezwłocznie z poleceniem, ażeby na przyszły rok szkolny 1781/2, zaczynając z dniem 1 października zastosowały się do niego we wszystkiém bezwzględnie. Dla sprawdzenia, czy to rozporządzenie weszło w życie i wykonanie, wysłano czterech głównych wizytatorów, z włożonym na nich obowiązkiem, ażeby sumiennie przejrzawszy stan szkół oznaczonych, starali się zarazem poznać ludzi do nauczycielstwa publicznego użytych, co do ich przymiotów, zdatności i obyczajów, wejść we wszystkie szczegóły około wykonania przepisów co do pobieżności, co do fizycznej i moralnej edukacyi, co do porządku i sposobu



uczenia, zebrać wiadomość o wszystkich do dobrego szkół każdego miejsca, przeszkodach, wszystkich do tego końca użytych i użyć się mogących pomocach, jak się dowiedziéć o konwiktach i szkołach parafialnych." Mieli przytém poleczone cel niezmiernie ważny: „Wejrzyć i rozważyć, czy w sposobie dawania nauk wedle przepisów już ustalonych, zmienić czego lub poprawić nie należy.”

Ks. Hołowczyc był jednym z czterech głównych wizytatorów wysłanym, zwiedził miast 19 Rzlitéj, a w nich szkoły, a między témi: w Lublinie, Łukowie, Chełmie, Łucku, Oryce, Beresteczku, Krzemieńcu, Ostrogu, Żytomierzu, Humanu, Winnicy, Barze, Kamieńcu Podolskim i w. i. i o każdej szkole, w raporcie swoim zdaje szczegółową sprawę o rozkładzie dawanych w niej nauk, nauczycielach i uczniach, o sposobie odprawiania nabożeństwa, o stanie, w jakim znalazł dom, szkołę, bibliotekę, muzeum i księgi roku szkolnego, o ekonomice szkolnej, kandydatach proponowanych do stanu nauczycielskiego, uczniach funduszowych, edukacji fizycznej, dyrektorach, czyli domowych uczniów dozorców, o szkołach parafialnych i nauczycielach wysłuzonych.”

Drugim wizytatorem był ks. Grzegorz Piramowicz. Zamiarem komisji edukacyjnej było, po odbytych wizytach i otrzymanych raportach, wraz z rektorami uniwersytetu Krakowskiego i Wileńskiego, złożyć naradę i po wysłuchaniu ich zdania *Projekt ustaw* w r. 1781 wydany poprawić i uzupełnić.

Jakoż zjazd zamierzony w listopadzie 1782 r., doszedł do skutku pod przewodnictwem członka komisji edukacyjnej Ignacego Potockiego. Narady trwały sześć tygodni, w których udział brali: Hugo Kołłątaj, rektor uniwersytetu Jagiellońskiego, Poczobut, rektor uniwersytetu Wileńskiego i czterej wizytatorowie generalni, a po przyjęciu zaproponowanych przez nich poprawek i zmian w ogłoszonej ustawie 1781 r., wydała komisja w poprawnej edycji w r. 1783: *Ustawy komisji edukacyjnej*.

Dr. Władysław Seredyński w rozprawie: *Zapiski i dokumenta do dziejów instrukcji publicznej w Polsce*, podaje nam nie materyały, ale wielce zajmującą monografię, od czasu gdy Izba edukacyjna w r. 1812 przechodzi w dyrekcyę edukacyi, a od r. 1816 przemienia się w Komisję rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Jeżeli szacować tę pracę z należnym uznaniem przyjmujemy, nie możemy pominąć, że jéj autor, rodzaj wątpliwości o autorstwie S. B. Lindego: *Słownika języka polskiego* podaje. Sądziłiśmy, że kwestya ta już raz stanowczo ukończoną została i zarzuty bez podstawy prawdy, usunięte z dziejów literatury naszej; tymczasem autor w przypisku nieogłędnie wyraża: *Jego (Lindego) autorstwo z dość słusznych powodów popadło w wątpliwość*.

Te *dość słuszne powody*, albo autor powinien podnieść i uzasadnić, albo je zupełnie milczeniem pominąć.

Najbliżsi świadkowie pracy B. S. Lindego, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, żadnej *wątpliwości* w téj mierze co do autorstwa

nie mieli: otaczając należnym szacunkiem, niezmordowanego w pracy lingwistę.

Dr. Stanisław Tomkowicz podał: *Przyczynę do historii początków romantyzmu w Polsce* i wstępem opatrzył.

Autor wydobył napisaną w roku jeszcze 1811 przez Franciszka Wężyka rozprawę *O poezji dramatycznej*, w której uważa pierwsze objawy romantyzmu w Polsce.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk powzięło piękny zamiar obdarzenia literatury ojczystej, dziełem, na którym właśnie zbywało: *Historii literatury polskiej*, wraz z wykładem estetycznym, różnych rodzajów poezji i prozy. Pracę tę po przyjęciu planu szczegółowego, rozdzielono pomiędzy członków Towarzystwa. Stanisław Potocki wypracował i czytał na posiedzeniach rozprawę o literaturze polskiej w ogólności; tudzież o wymowie, guście i krytyce w szczególności. Kajetan Kozmian wziął rzecz o *Odach i pieśniach narodowych*, której nie napisał, J. U. Niemcewicz bajką się zajął, a jego rozprawa drukowaną jest na czele *Bajek* w dwu tomach wydanych. *O sielance* pisał Józef Lipiński. Franciszek Wężyk młodzieniec dwudziestopięcioletni, ale już autor tragedji *Barbary Radziwiłłówny* i *Bolesława Śmiałego*, przyjętych z zapalem na scenie teatru narodowego, zobowiązał się napisać rozprawę: *O poezji dramatycznej*. Owóż w tej pracy Wężyka, dr. Stanisław Tomkowicz uważa pierwszy objaw romantyzmu w Polsce.

Odczytaliśmy uważnie pomienioną rozprawę, i w niej nie znaleźliśmy bynajmniej tego śladów. Wprawdzie autor najwyżej w tym rodzaju poezji stawia Szekspira: uderza, na przyjętą zasadę *Trzech jedności*, kępujące samodzielność ducha, szanuje wszelako przepisy dalsze kodeksu klasycznego. Wyraźniejsze przecież ślady mamy w pismach J. U. Niemcewicza, który pierwszy wprowadził nieznaną rodzaj *ballad*, tłómacząc lub naśladowując tego rodzaju utwory z literatury angielskiej, gdy jeszcze o balladach Mickiewicza ani słychu nie było, bo wielki ten poeta był dopiero uczniem uniwersytetu Wileńskiego. Rozprawa Wężyka ma wysokie zalety, ze zdrowego poglądu na sam przedmiot; z głębokiej znajomości budowy dramatu i wprowadzonych na scenę postaci. Samodzielne, śmiałe jego poglądy, widać że były przez koryfeuszów ówczesnych w literaturze, uważane za zbyt zuchwałe, kiedy Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie umieściło jego pracy w swoich *Rocznikach*, zachowując w archiwum własnym z którego wydobyta, obecnie dopiero po raz pierwszy drukiem ogłoszoną została.

Wężyk sam poeta, pisząc dla sceny, czuł dobrze więzy, które go wedle przepisów klasycznych kępowały w pomysłowym rozwijaniu dramatu; młody, pełen zapału, musiał sarknąć nieraz, na wędzidła tamujące jego polot w oddaniu prawdy dramatycznej. Pomimo to w rozprawie Wężyka nienależałoby śledzić początku romantyzmu, którego cienia nawet, nikt za czasów Księstwa Warszawskiego dojrzeć nie mógł.

*Zdanie sprawy o piśmie Franciszka Wężyka o poezji dramatycznej* (maj 1814 r.), pokazuje z jaką sumiennością, w gronie Towa-

rzystwa Przyjaciół Nauk, rozbierano każdą pracę swoich członków. Jestto krytyka rozumowana, stawiająca jasno, gruntowne zarzuty młodemu poecie, i uwydatnione motywami powody, dla których rozprawa pomieniona Weżyka w *Rocznikach* niemogła być drukowaną.

Zamyka tom I archiwum: *Bibliografu z zakresu historii literatury i oświaty w Polsce* z lat 1877 i 1878 przez d-ra Wład. Wisłockiego. Jak ważną i pożyteczną jest tego rodzaju statystyka literacka każdoroczna, nie potrzebujemy wspominać: jestto pierwsza podwalina, na której dopiero zbudować można gmach *historii literatury* w danym okresie.

Z treści dzieła któreśmy podali, czytelnik łatwo oceni wartość i pożytek zebranego materiału podręcznego do napisania dziejów oświaty w Polsce. Nie powątpiewamy że dalsze tomy, nierównie zasobniejsze będą, a tak po przeciągu lat pewnych, przy gorliwości wysadzonej komisji z łona akademii umiejętności w Krakowie; wydawnictwo to cenne dopomoże do uzyskania zamierzonego celu i zebrania pożądanego plonu do dziejów oświaty w Polsce.

K. Wł. W.

*Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności.* Tom VI, w Krakowie. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Ignacego Stelcia, 1878 r.

Tom niniejszy zawiera rozprawy następujące:

Dr. Antoniego Kalinki: *O liczebnikach w języku staropolskim.*  
 Dr. Karola Mecherzyńskiego: *Wawrzyniec Korwin z Nowego Targu, poeta szlązki z końca XV wieku.* Dr. Władysława Wisłockiego: *Gwalter Burley i Marcin Bielski.* Dr. Józefa Oettingera: *Rys dawnych dziejów wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego od założenia tegoż w r. 1364 aż do reformy, wykonanej przez komisję edukacyjną w r. 1780.* F. Żebrowskiego: *Uwagi nad rozprawą profesora Maksym. Curtze w przedmiocie pisowni imienia i narodowości Wilka, autora Optyki z XIII wieku.* Nakoniec sprawozdanie z 1876 i 1877 r.

W chwili, kiedy coraz żywiej poczuwa się potrzebę posiadania dziejów naszego języka, nadzwyczaj pożądaniami są prace specjalne, a mianowicie: wycieczki do rozmaitych warstw organizacji języka, mające kiedyś posłużyć za członki składowe przyszłej budowy ogólniejszej. Do rzędu takich prac należy rozprawa dr. Antoniego Kalinki: *O liczebnikach w języku staropolskim.*



Z godną naśladowania starannością autor rozprawy zebrał szereg, a raczej szeregi kształtów, jakie przechodzi liczebnik nasz w ciągu znanych nam historycznie wieków języka. Lubo jestto praca wyłączeni speyalna, autor jednak wynurza się niekiedy z ogólnemi poglądami na budowę naszej mowy. I tak powiada on (str. 4): „porównanie liczebników staropolskich z odnośnemi utworami liczebników staroczeskich, uzna każdy za usprawiedliwione, jeżeli się zwróci uwagę z jednej strony na blizkie pokrewieństwo obydwu języków, jako téż przede-wszystkiém na wpływ, który język czeski wywierał na książkowy rozwój języka polskiego; z drugiej strony uwydatni nam się przez to tém bardziej rodzimość naszego języka, który pomimo swego powinowactwa z drugimi słowiańskimi językami (powiedzmy raczej: z innemi językami słowiańskimi), przecież już za doby historycznej narodu polskiego posiadał takie charakterystyczne zasoby ustroju gramatycznego, które mu nadawały znanie gwary samodzielnej.”

Autor zrzeka się z góry zamiaru szerszego wprowadzenia przedmiotu na grunt filologii wszech-porównawczej, uznając, że dotąd rozbiór pierwiastku liczebników głównych, nie został zadawalniająco wyjaśnionym. I dlatego to rozpoczyna od faktów już ukształtowanych na stopę krajową. Na wstępie podaje nam wypis źródeł, z których fakta swoje zaczerpał, poczynając od *Psalterza Małgorzaty, Biblii królowej Zofii*, aż do *Statutów Wawrzyńca z Prażmowa, Książęcia Konrada* i w. i. Nie pominał téż i mowy ludu. W ten sposób przechodzą u autora liczebniki główne, porządkowe, przysłówkowe, podziałowe, ułamkowe i t. d. Ponieważ, jak zauważaliśmy, autor daje odprawę stanowczą stronie psychologicznej, przeto i kwestyą liczebników z tego gruntu usuwa. Zdaje się nam jednak, iż nie przypuszcza on zasady ugrupowań konkretnych, jakeimi odznacza się słowiański, a tém bardziej nasz język w swojej pierwotności, stojącej niezależnie, a przynajmniej bezwiednie względem wszelkiego systemu liczebnego w abstrakcyi (np. monarnego, tryarnego i t. d.).

Najciekawszym jest dział o liczebnikach głównych (str. 4—51).

Obok formy pospolitej *jeden, jedna, jedno*, autor przypomina nam drugą formę, która ją poprzedziła, t. j. liczebnik *jena, jeno* (bez rodzaju męskiego) i podaje jój przykłady z *Biblii*, np. „jena niewiasta, jena rzecz, jeno koń”; oraz formę: *jana* (nie czyniąc przekazy ni janej—ni jednej, w Statucie wiślickim).

Z ustępu o wyrazie *dwa* domyślaćby się należało, że autor nie uznaje iloczasu w języku staropolskim, na co jednak zgodzić się nie możemy. Iloczas *był* niewątpliwie w naszym języku i *dziś* nawet jeszcze odszukaćby się dał, nawet w mowie naukowej, gdybyśmy tylko chcieli zdać sobie sprawę z pewnych odcieni fonetycznych; w mowie zaś ludu iloczas istnieje w całej wydatności do chwili obecnej. Mowozuawcy, piszący rozprawy o języku naszym piórem zagranicznym, po największej części powodują się tylko *okiem*, ale rzadko *uchem* i ztądto pochodzą ich kwestye o *mniemanym* (podług ich mniemania) iloczacie

samogłosek staropolskich. Radzimy np. wsłuchać się w przysłówkę albo i przymiotnik stopnia wyższego (piękniejszy, piękniej), a dosłyszemy tam długość samogłoski.

Pod liczebnikiem porządkowym spotykamy się z ciekawymi szczegółami historycznymi. Żeby jednak pogłos *ta* (w liczebnikach np. piąty, szósty) miał tu być spokrewnionym z formą urabiającą stopień najwyższy (str. 51), tego nie przypuszczamy; owszem bierzemy go za ów indo-europejski pierwiastek wskazujący, który tak rozległe ma zastosowanie w budowie pojęciowej naszej mowy. Formę *pierwy* bardzo słusznie uważa autor za dawniejszą od *pierwszy*.

Wogóle z wielkiem zajęciem przebiega się za autorem rozprawy po dziejowych szczeblach owój pierwszej materji, z której urobił się czasem język Woroniczów, Śniadeckich, Mickiewiczów i Słowackich i urabia się, asymilując wprawdzie i z zewnątrz, ale tylko to, co z duchem i naturą jego jest spokrewnione. Dr. Antoni Kalinka sumiennie opracował przedmiot, daj Boże, aby ta i jój podobne specjalności doprowadziły kiedyś do syntezy, wielkiej, spójnej, całokształtowo historycznej. Podnosimy też jego wyrazy końcowe: „z takiego analitycznego traktowania przedmiotu, skorzysta rzecz sama na wszechstronności i pewności.”

W dalszych pracach autora, bo spodziewać się ich mamy prawo i obowiązek, prosilibyśmy o utrzymanie się terminologii utartej (przypadek pierwszy, drugi i t. d.), bo *dopelniać*, narzędniki i t. p. niepotrzebnie krępują uwagę czytającego, tymczasem przy utartych terminach czytelnik szybko porozumiewa się z autorem.

W dalszym ciągu tomu VI czytamy pouczającą rozprawę *O Warzyciu Korwinie z Nowego Targu, poccie szlązkim* (dr. Karola Mecherzyńskiego).

Korwin urodził się między trzecią a czwartą ćwiercią wieku XV. Z rodu Szlązak, szlachetny Korwin gorąco był przywiązany do wielkiej rodziny, na której chwiejnych już wówczas kresach ujrzał światło życia. Ukochał Kraków i jego wszechnicę nazywa czułą matką, która surową jego (*rude pectus*) karmiła. Korwin, wśród niewolniczego naówczas naśladownictwa Muzy klasycznej, był jednym z małej liczby poetów, którzy zdołali zboczyć niekiedy od rutyny i wyśpiewać to, co czuli. Do najcelniejszych utworów Korwina autor zalicza: a) *Ode o Polsce i jój stolicy (De Polonia et ejus Metropoli Cracovia)*, *Saliny Wielickie*.

b) *Epithalamium na uroczystość zaślubin Zygmunta I z Boną (In nuptiis S. R. Maj. Poloniae et Reginae Bonae)*. Cracoviae 1518. Autor rozprawy przyznaje tu wyższość Korwinowi nad Krzyckim, który ten sam przedmiot opiewał, ale przesadą mitologiczną scenę uroczystą zaślubin przypisał o chłód i nienaturalność.

c) Rozmowa (dyalog) o zbawiennój rozumu namowie do zamięłowania nauk wyzwolonych i o boskiej nauce Platona, największego z fi-

lozofów, wiodącej do cnoty i religijnej pobożności (*Laurentu Corvini Noviforensis Dialogus de mentis saluberrima persuasione i t. d.*) Cracoviae 1518.

Z podanych przez naszego autora wyjątków wybieramy udatnie przełożony ustęp (z dyalogu), w którym Melpomene ostrzega człowieka, ażeby zadaleko nie zapędzał się rozumem.

Daremnie rzeczy wielkie badać chcesz zuchwały,  
Gdy do pojęcia drobnych twój rozum zamały.  
Powiedz mi, czemu z ziarka lichego powicia  
Kłos wyrasta? Zkąd bierze wzrost i siły życia?  
Jak winorośl w swe grona słodki owoc roni?  
Czemu palma nie rodzi owoców jabłoni?  
Zkąd ten kwiat w tyłu odmian stroju tajemniczym?  
Lilia w bieli, róża z rumieńcem dziewiczym?  
Dlaczego kasztan, owoc hodując zakryty  
Na łubiastych pancerzach strojne wieszka kity? i t. d.

Jak widzimy, *Sancta simplicitas Korwino*, który życzy nowożeńcom (Zygmuntowi i Bonie) zdrowia i pomyślności dopóty, dopóki *Wisła* zasilać będzie wody *Dunaju*, miewał chwile prawdziwie wzniosłe... A było to dopiero w początkach wieku XVI—o! gdyby nie łacina!...

Z prawdziwem zajęciem i pożytkiem czyta się Rozprawa dr. Mecherzyńskiego (str. 74—130).

Dr. Władysław Wisłocki w Rozprawie swojej wyjaśnia nam dotąd nieznaną stosunek Marcina Bielskiego do scholastyka angielskiego: Gwaltera Burleigh'a. Dowiadujemy się iż książka Marcina Bielskiego p. t. „Żywoty filozofów to jest mędrców nauk przyrodzonych i téż innych mężów cnotami ozdobionych ku obyczajnemu nauczaniu człowieka każdego krótko wybrane,” nie jest utwór oryginalny, lecz przeróbka, a raczej przekładanie niedość szczęśliwie dokonane (choć gładką polszczyzną) książki Burleigh'a (urodz. 1275 † 1337), o życiu filozofów i poetów starożytnych. Pomimo wad swoich (może zajaskrawo nieco zaakcentowanych przez Dr. Wisłockiego), dzieło Burleigh'a starannie upowszechniane po Europie w wieku XIV i XV, zapewne krążyło i po Polsce.

Autor Rozprawy zestawia dość obszerne teksta z obu pisarzy, a mianowicie z życia Talesa, na dowód że Bielski wyraźnie przerabiał Burleigh'a, skracając go, a niekiedy przekręcając. Co ważniejsza, Bielski „wybierając” żywota filozofów powtarza błędy nawet geograficzne Burleigh'a. Tak np. powtarza za nim niewolniczo, że Solon, opuściwszy Krezusa, udał się do Sycylii (w czém i Burleigh, albo jego przepisywacz, zamiast Cylicyi, pomieścił Sycylią, w której Solon mądry nie był).

Na chlubne wspomnienie zasługuje Rozprawa dr. Oettingera, zawierająca rys dawnych dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym to rysie autor na wstępie z wysokiém odzywa się uznaniem o pracach



poprzednich, a mianowicie o pismach dr. Józefa Majera, Brodowicza i Skobla. Czytelnik znajdzie tu mnóstwo źródłowych tekstów nadania, ustaw, przyczyny wzrostu, lub застоju w uprawie nauk lekarskich, rzecz o głównych cechach urządzenia uniwersytetu, o bursach, o sporach uniwersytetu z Jezuitami, ogólne znamiona wiekowe (XV i XVI), gdzie autor przenosi nas w stosunki uniwersytetu ogólnie dziejowe. W jakiej formie odbijały się w murach akademii ówczesne prądy, świadczą zestawiane przez autora dwa przeciwległe fakta: Edykt Stefana Batorego (1579): „Niechaj sprawi rektor i profesor, aby każdy uczący się młodzieniec mógł swobodnie i bezpiecznie uczęszczać na wykłady nauk, bez względu na stan, zawód, a nawet wyznanie”... a następnie słowa Radywińskiego, który (w w. XVII) opisując dzieje akademii, czyni dzięki Bogu i N. Maryi Pannie, iż tenże edykt nie doszedł nigdy swego wykonania!!!

Świetnie opisuje nasz autor zatargi akademii z Jezuitami (str. 235 i dalej). Pamiętnym w dziejach wydziału jest rok 1562: Krakowianin, Stanisław Zawadzki Dziecioł, ubiegał się o potwierdzenie pozyskanego w Padwie stopnia doktora medycyny. W dyspucie swojej młody doktorant rzucił rękawicę dawnym przesądom, na powagach Galena, Hippokrata i logice Arystotelesa opartym. Jakież to gromy spadły na głowę nowatora! Naprzeciw niemu powstaje sędziwy szermierz w obronie alchemii, amuletów i zażegnywań. „Jeżeli, powiada, medycy wzgardzą gwiazdami, to czegoż nakoniec braknąć będzie, abyśmy zaliczeni zostali do rzędu bydła, które o gwiazdy się nie troszczą? Tu już sławę, imię i życie ludzkie na grę postawiono.” Zgoła sądzono, że i wywody młodego autora, wraz z książką jego—jeżeli już nie z nim—zniszczyć, *wytepić* należy (*exterminda est*). Następnie mamy poczet znakomitych mistrzów i wychowawców lekarskich w wieku XVI.

Ta znakomita Rozprawa zajmująca połowę tomu, może być uważaną za ważne dopełnienie do pracy Sołtykowicza.

Pan T. Żebrawski, w krótkiej, ale treściwej odprawie daniej profesorowi Curtze (z powodu jego *Sur l'ortographe du nom et la Patrie de Witelo (Vitellion), note de M. M. Curtze*), a przypominającej polemikę o Koperniku dowodzi stanowczo polskości twórcy optyki. Podnosimy z tej odprawy punkt piąty. „W razie wątpliwéj narodowości człowieka (mówi p. Żebrawski, str. 435) najlepszą i najwyraźniejszą jest teźże wskazówką własne jego zeznanie, za jakiego narodowca sam się uważa. Jeżeli więc nasz Witek sam powiada „w ziemi naszéj, to jest Polskiej” (*in terra nostra, scilicet Poloniae*), to już dostatecznie usuwa wątpliwość rzuconą przez profesora Curtze; niemiec bowiem nie nazywałby Polski ziemią *swoją*, ani téż Polska żadnemu z rządów niemieckich naówczas nie podlegała.”

W końcu należy się uznanie autorowi „studyów do historii retoryki za czasów Augusta,” p. Kazimierzowi Morawskiemu, gdzie czytelnik pozna lub odświeży sobie w pamięci obrazy stanu krasomówstwa

za Augusta i teorye najgłówniejszych estetyków słowa z pierwszych chwil Cesarstwa.

Do tomu VI dołączone są w końcu sprawozdania z posiedzeń wydziału i komisji wydziałowych.

F. J.

*Jan Herburt kasztelan sanocki.* Rys biograficzny. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1879. (W 16-ce str. 56).

*Bogaty jak Ostrogski, rozumny jak Herburt*, takie w ustach szlachty polskiej, krążyło przysłowie w końcu XVI i na początku XVII wieku. U ludu zaś w okolicach Dobromila, dziedzicznego gniazda Herburtów, dochowało się podanie, że każdy umierający Herburt, po zgonie przemieniał się w orła, ażeby o sto lat najmniej przedłużyć żywot, przypatrując się z najwyższego szczytu Tatrów, co się dzieje w ojczyźnie i jak idzie w Dobromilu.

P. Klemens Dzieduszycki wybrał z grona Herburtów wydatną postać Jana, urodzonego w początkach XVI wieku i z godną pochwałą sumiennością, kreśli nam jego życiorys, branie udziału w sprawach krajowych, w których niepoślednią odegrywał rolę. Działaniem swoim, poświęceniem dla spraw publicznych, wreszcie pracami literackimi, podtrzymując dawną o Herburtach przypowieść, kładł piękne zasługi dla Rzeczypospolitej przez ciąg całego żywota.

Rodzina Herburtów w dawniej Polsce zajęła tak wybitne stanowisko i zostawiła po sobie tyle pamiątek, że mało który dom szlachecki porównać się z nią może. Pod panowaniem każdego króla, krew swą w obronie kraju przelewali. Spokrewnieni z najznakomitszymi Rzeczypospolitej domami, byli szczepem, z którego po kądzieli wyszli: Mikołaj Rej, Jan Zamoyski i król Jan Sobieski.

Jan Herburt pochodząc z rodu zamożnego panów polskich, już z samego urodzenia jako syn podkomorzego przemyskiego, miał do razu szerokie pole do usług Rzeczypospolitej. Jakoż po skończeniu nauk w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, dalsze wykształcenie pobierał w Lowanium, a za powrotem do kraju Zygmunt August mianował go swoim sekretarzem. To mu otworzyło wrota do dalszych godności; jako podkomorzy przemyski w r. 1552 zasiadał na sejmie w Piotrkowie, pamiętnym głośnym sporem biskupa Dziaduskiego ze Stanisławem Orzechowskim. Równocześnie zachęcany przez króla, zaczął pracować nad ułożeniem *Statutu polskiego*. Dzieło to jego po polsku jakkolwiek sankcyi prawa nie otrzymało, gdyż niektóre ustawy w nim opuszczone, inne dodane, otrzymało jednak *auctoritatem fori*, to jest znaczenie, że sądy w dwu wiekach następnych, przywodziły Her-

burta jako źródło prawa. Dzieło to wyszło p. n.: *Statuta i przywileje koronne, z łacińskiego na polski język przełożone, nowym porządkiem zebrane*. Kraków 1570 r.

Nie będziemy za autorem powtarzali ciekawych szczegółów działalności Herburtu w usługach Rzeczypospolitej, pod panowaniem dwu królów następnych, Henryka Walezyusza i Stefana Batorego, jak podróży i poselstwa do Paryża po obiorze Walezyusza, popierania elekcji Maksymiliana cesarza na tron polski i wiele innych, które czytelnik znajdzie w samej monografii; tu tylko nadmienimy, że w każdej sprawie jako prawy obywatel kraju szedł, ale ulegał głosowi większości. Jako dziejopisarz pozostawił po sobie pamiątkę wydaniem w r. 1571: *Krótkie zebranie dziejów Polski od czasów bajecznych do śmierci Zygmunta I, t. j. do roku 1548: „Chronica sive historiae Polonicae compendiosa etc. Authore magnifico viro Joanne Herburto de Fulstin Regni Poloniae Senatore.”* W Bazylei (1571 r. fol: str. 368).

Kronika ta podzielną na XX ksiąg, odznacza się systematycznością w ugruntowaniu przedmiotu. Dzieło to było wielce czytane, miało kilka wydań, a we dwa lata po pierwszej edycji przełożone zostało na język francuzki. Zdaje się że do tego przyłączyła się ta okoliczność, że po wyniesieniu na tron polski Henryka Walezyusza, pragnęła cała Francya zapoznać się z dziejami kraju, w którym jeden z jej książąt miał panować.

Gorliwy katolik, pragnąc chwiejących się w wierze, przy nawalnej reformie religijnej utrzymać, wydał po łacinie dzieło p. n.: *Locorum de fide communum liber*. (Główne o wierze artykuły), które zaraz wyszło i po polsku p. n.: *Jana Herburtu z Fulstyna kasztelana sanockiego, głównych o wierze artykułów po polsku i po łacinie pisanych, księgi pierwsze, w których prawego kościoła chrześcijańskiego, z doktorów i z konciliów, pewne a bardzo jasne pokazanie znajdziesz*. Kraków u Macieja Siebeneychera 1568. (w 4-ce, str. 213). Pracę tę przypisał królowi Zygmuntovi Augustowi; a w sześciu rozdziałach po sobie idących, pokazuje się gorliwym obrońcą wiary swoich przodków.

Mówca znakomity jako dyplomata i polityk, przedstawia się téż Herburta w wybitnych rysach. Jak z jednej strony gorący zwolennik swobody zdania dla każdego z obywateli, tak z drugiej szanujący głos większości, chociażby mu na ofiarę przynieść ustępstwo z własnego przekonania. Kronika jakkolwiek oparta na znanych poprzednikach i z nich wysnuta, mieści w sobie jednak samodzielne poglądy i trafne nieraz wnioski. Umarł ten mąż zastużony 1578 r.

W badaniach dziejów przeszłości, wiadomo jak dzielną pomoc przynoszą monografie nie tylko pewnych okresów i wypadków historycznych, ale i jednostek, które wpływ przeważny w kraju wywierały. Ztąd życiorysy znakomych mężów, ściśle się łączą z dziejami krajowemi. Do takich i Jan Herburta należy, a rys biograficzny p. Klemeusa Dzieduszyckiego, pełniejszy od dotychczasowych jakie posiadamy, zasługuje na uwagę poważnych badaczy.

R.



*Don Żuan Bajrona.* Pieśń druga, trzecia i czwarta (Opowiadanie o Haidzie). Przekład Wiktora z Baworowa. Tarnopol. Druk Józefa Pawłowskiego, 1879 r. Nakład i dochód na korzyść Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczyw wszechnicy lwowskiój

Wśród spuścizny poetyckiej po wielkim człowieku, który nietylko założył szkołę bohaterów pieśniarzy, ale zarazem namaścił pewne dogmata ludzkości dotyczące, *Don Żuan* jest utworem najobszerniejszym, najbardziej gatunkowym w swoim rodzaju, a więc do przekładu najtrudniejszym.

W chwili tworzenia pierwszych pieśni *Don Żuana* (pomiędzy rokiem 1817--1820) geniusz Bajrona był już oddawna na pełnym morzu, ale, trzymając się metafory, nigdzie u naszego poety nie czujemy, w wyższym natężeniu, nastroju z burzą morską równoważnego, jak w *Don Żuanie*. Przymiemy wchodzi tu wszystkie sprężyny geniuszu Bajrona od majestatu, głębi i szczytności, aż do najjadowitszej satyry, od gromów potępienia, aż do łzy bratniego lub ojcowskiego rozczulenia, i, rzecz niepojęta, wszystkie te sprężyny porusza tu siła zapachu i zimnej krwi zarazem. Wielkie to podobieństwo z Czard-Haroldem, ale upodwładnienie sobie przedmiotu wyższe, dojrzalsze w *Don Żuanie*. Niektórzy z dostojnych krytyków, lubujących się w zestawianiu Bajrona z Napoleonem <sup>1)</sup>, nie omieszkali dodać w końcu, że poeta nasz, równie jak cesarz wielkiego narodu, złożonym został z tronu <sup>2)</sup>. Detronizacya, zaiste, nieco zapośpieszna. Bajron umarł z wieńcem królewskości na skroniach, a tron po dziś dzień wakuje.

Jako dowód wszechstronności sprężyn w *Don Żuanie*, wspomnieć możemy np. oktawę 7 w II-iej pieśni; gdzie Bajron występuje z humorystyką, zacierającą granice pomiędzy *wielkością* a śmiesznością, cięciem istic Napoleońskim. Oto jego apostrofa do pięknej Hiszpanii, kraju słońca i miłości (w przekładzie p. Wiktora z Baworowa).

„...o! słoneczny kraju  
Miłości jeśli stracę pamięć twego raję,  
Niech paoierza zapomnę!”

Czytelnik domyśla się, że miało to być „przyschnięcie języka do ust,” antyteza do psalmu!

Nieocenionym jest *Don Żuan* w kreśleniu scen przyrody, ale jeszcze wyższym w kolorycie psychicznym, jakto widzimy np. w opisie sypialnego apartamentu odalisk, w chwili ich uspienia (pieśń VI, str. 68).

<sup>1)</sup> Sam poeta przyznaje się, że go krytycy porównują z Napoleonem (w *Don Juanie*).

<sup>2)</sup> Thomas Shaw. *History of English Literature.* 1878.

Charakterystyka w *Don Żuanie* jestto arcydzieło anatomii naszego jestestwa moralnego, daje nam nietylko kontury, ale i wszystkie fałdowania tak cnoty, jak i wad piekielnych. Sam Mickiewicz nie poszedł głębiej w rysopisie duszy Waleńroda, jak Bajron, który, nawiasem mówiąc, równie jak i nasz poeta, obok ogólnego streszczenia charakterystyki bohatera, rozprasza przytém jój rysy po całym poemacie.

Również wspaniale prowadzone są w *Don Żuanie* katastrofy, tam poeta krwi nie żałuje, pociski wymierzone w serce głównego działacza, wskrós jego pierś przebiwszy, dosięgają aż w serce czytelnika— jeżeli ten czytelnik ma serce. W tym dziele przychodzi nam na pamięć ustęp pieśni III, gdzie właśnie nad położeniem zawisło widmo straszliwe: zemsta ojca, zadraśniętego śmiertelnie na czci ojcowskiej i dumie. Przed wymierzeniem ciosu, poeta uchyla przed nami drzwi tajników téj duszy, przerażającej namiętnością korsarza, ujętą w karby flegmy szatańskiéj. Oto zarys charakteru Lambra (przekład p. Wiktora z Baworowa).

„Nie bez tego, by nie był Lambro popędliwy,  
Lecz nigdy w ważnych sprawach i wobec zdobywcy;  
Wtedy nieprzenikniony, cichy, tajemniczy,  
Jak wąż boa na puszczy czatował straszliwy.  
Nie było jeszcze strachu, gdy gniewem zapłonął,  
Gdy oburzał się srogi, nie ciekły krwi strugi;  
Ale rozsiewał grozę, gdy w *sobie* utonął  
I już (wtedy) po jednym ciosie zbyt czynnym był drugi.  
(pieśń III, str. 48).

Ponad wszystkiemi znamionami (a właśnie może w skutek tak różnorodnego otoczenia typów, jakiém odznacza się *Don Żuan*) góruje tu *patoś*, królowa potęg duchowych w poezyi, ukoronowana dłońią Shelley'a, Keatsa'a i Bajrona. Nic rzewniejszego nad obraz śmierci Haidy; zaledwie wierzyłoby można, aby poeta, prawicą wielkoluda, wywracający skały z jój posiad, aby ten sam poeta zdobyć się mógł na serdeczność tak miniaturową, tak oddech tamującą, tak macierzyńską, jak w pieśni IV, str. 69 (przekład naszego tłómacza):

(Kiedy porwano jój oblubieńca, okuto w kajdany i wrzucono na okręt, w celu zaprzędania go do niewoli, Haida wpadła w niemoc śmiertelną).

„Dwanaście dni i nocy męczyła się, wreszcie  
Bez wyraźnego jęku, westchnienia, spojżenia,  
Jakby nie umierała, skończyła cierpienia;  
Téj rozstania się chwili jój grono niewieście,  
Nawet dostrzedz nie mogło, aż Ten, który zmienia  
Jasne lica w przybytek ponurego cienia,  
W szklany blask zmroził oczy, te śliczne, to czarne.  
Zaświtać, ach! i zgasnąć.”

Z żalem prawie odrywamy się od zwłok Haidy, ażeby, jakto i Bajron ma zwyczaj, szczególnie w *Chalid-Haroldzie* i *Don Żuanie*

ażeby tak cudnie sformowany obrazek, w końcu zamącić satyrą. Albo to chorobliwe zjawisko w dziejach duszy Bajrona, albo przyznać trzeba, że wytlómaczyć sobie nie umiemy, co spowodować mogło poetę do przetykania najczulszych miejsc jakąś cierpką nutą, piskliwą, cyniczną, skrzypienie po szkle przypominającą. I tak np. nasz Hidalgo w chwili żegnania się z ziemią ojczystą, dostaje ataku choroby morskiej i tak w ciągu czterech aktów poeta drażni nas rytmicznie idącymi po sobie paroksyzmami wspomnień miłosnych i wybuchów emetykowych.

Przytoczyliśmy tedy cały szereg czynników, jakimi Bajron posługuje się w prowadzeniu poematu, nadmieniwszy z góry, że w *Don Żuanie* wszystkie wruch wprowadzonymi zostały. Podobny wstęp zdawał się nam koniecznym dla uprzedzenia czytelnika, jak trudnego zadania podejmuje się tłómacz Bajrona, obierając sobie za przedmiot pracy: zbiorowość wszystkich ważniejszych pierwiastków przedstawienia poetycznego. Dodajmy jeszcze do tego niesłychane umiejscowienia pewnych charakterów, dążności i dążeń, zwyczaje i zabobony tak salonu, jak chaty, obozu lub trybuny, tysiączne napomknienia o jednostkach, ich ambicyach i t. p. a jeszcze dotykalsz się nam trudności przekładu.

Stanowisko p. Wiktora z Baworowa, jako tłómacza poważnych utworów poezyi, już jest uznaném, przekłady *Don Żuana* niewątpliwie wzmocnią i rozszerzą to uznanie wśród naszych *dajrzalnych* czytelników. Wiele miejsc przytoczyłyby nam przyszło, gdybyśmy chcieli wykazywać zalety niniejszego tłómaczenia *Don Żuana*; poprzestaniemy więc na kilku ustępach, z których dotknięte wyżej cechy pióra Bajronowskiego, głównie przeliterują; przedewszystkiem zaś może i wbrew zwyczajowi, wspomnimy o języku w przekładzie *Don Żuana*. Cóż bowiem przyjsć nam może z najpiękniejszych nawet pomysłów, jeżeli wypowiedziano je nie po naszymu. A wypowiedzieć po naszymu, to znaczy: w danéj myśli pierwotworu przetłómaczyć siebie samego pod ciśnieniem téj myśli. Wyrażenie to „przekład wprost z oryginału” jest czystą przenośnią. Wprost z oryginału tłómaczył niegdyś Marcin Błażowski dzieje Kromera. Ale jak téż je tłómaczył! To, co jest rdzeniem w języku, te kształty pomysłów narodu, co jako najcięższe, na dnie osiadły, wszystko to właśnie stanowi poetyczną warstwę mowy. I dlatego, szczególnie w poezyi, szukanie zwrotów zagranicznych jest wadą najzgubniejszą. Język naszego tłómacza jest czysto-polski w całym znaczeniu tego wyrazu. O pocie-pochlebcy, co to w życiu widział różne zmiany i obracał się jak igła magnesowa, umiał się łąsić, wnećić, o takim pocie tłómacz powiada, że: „wschodził nieposiany;” o Wordsworthie Bajron mówi: „jeszcze nieoclony, nienajęty” (przymawiając, że został później poezyografem dworu); tłómacz nazywa go „niewziętym jeszcze na żołąd,” poetę noszącego płaszcz na dwu ramionach (*trimmer*) nazywa „wierutnym ewikiem.” Te i tym podobne wyrazy a raczej zacięcia (wiele jest takich u tłómacza), wymownie świadczą, ile to naszemu pracownikowi chodziło o polskość przekładu. Również posługuje



się on rozległym repertoarem dźwięków polskich, a ważny to przywilej być Pompejuszem, na którego tupnięcie wydobywają się legiony słów, o których istnieniu jakoby już nie wiadano, dla braku sytuacji, któraby je wywołać mogła. W toku składniowym tłómacz wzbija się do plastyczności Woronicza. W opisach tłómacz oddaje całe bogactwo dźwięków na posługi zadaniu. Oto np. strój Haidy (pieśń III, str. 72):

„Tak samo na podbiciu nóg drobnych, znamiona  
Jój godności świeciły, złociste obrączki;  
Głowa w klejnoty, jakby w gwiazdy wyiskrzona,  
Dwunastoma pierścionki ozdobione rączki.  
Spadająca fałdzisto, powiewna zasłona,  
W gors dużą czarną perłą była przyszpilona;  
Pomarańczowej barwy, buchaste, jedwabne  
Szarawarki zwisały na kostki jój zgrabne.”

Nieradzi, napotyamy u tłómacza, acz rzadko, nie nasze i bardzo nie nasze zwroty tego rodzaju:

„Lecz srom marny, łza stracona,  
Nie przywrócić dni ubiegłych.”

albo:

„Łgał z taką dobrą wiarą, że słuszną pretensyę,  
Rościł wysłużyć sobie laureata pensyę.”

albo:

„Żuan tedy z kochanką swą, twarz obok twarzy  
Odpoczywali sobie...”

albo:

„Ona nie z tych, co płaczą i co desperują.”

Albo podobny układ akcentu:

„Lecz jój ząbki, jój usta i, o nieba! oczy.”

W niektórych, acz rzadkich, miejscach, myśl przedwstępna zdaje się nam niedosyć mocno osadzoną. Tak np. kiedy poeta, po zboczeniu od przedmiotu, przywołuje sam siebie do porządku, należało nową ok-tawą rozpocząć nieco energiczniej:

„Ci rokoszanie wazą się na waszym grobie  
Nad pięknem, i rozsądkiem zdrowym gwizdać sobie”...  
Do méj powieści.

(t. j. ależ wracaj do rzeczy, angielskie *Your tale* miało znaczyć: „a twoja powieść”).

Nie dosyć stosownym wydał się nam taki rozkład zdania:

„Ale nie trzeba wątpić, że to wpływ miesiąca  
W nas takie zmiany sprawia”...

W pieśni II str. 209 czytamy:

„Jestem wrogiem płochości—gardzę, nienawidzę,  
Brzydę się i wyrzekam i potępiam *człeka*,  
Co sprawy serca”...

tu podciągnięto wyraz: *człowieka* pod rozmaite rządy słów (gardzę człowiekiem, nienawidzę człowieka i t. d.), chyba, że tłumacz chciał je brać niezależnie; w takim razie należało powiedzieć: „gardzę, nienawidzę, brzydę się i wyrzekam—potępiam człowieka.”

Skracanie (z francuska?) imion klasycznych: Owid, Belizar, Pompej nie zdaje się nam właściwem.

Przy całym poszanowaniu dla prowincjonalizmów, nie możemy zgodzić się na używanie bez potrzeby staropolskiego albo ludowego przyimka *we* (we wierze), chyba, gdyby szło o obrazki ludowe, a wtenczas zgadzamy się na wyrażenie: we dworze, ode dwora, pode słomą i t. p. Wyrazy „niebiesny, udar” brzmią nie sympatycznie.

Takie tylko *ale* upatrzeć mogliśmy, przy najściślejszym przegłądzie pracy p. Wiktora z Baworowa pod względem języka; nie rażą nas one tam gdzie „plura nitent” gdzie ogólny bieg idzie płynnie, poważnie i po naszymu.

Jeszcze poważniejsze wrażenie sprawia artystyczna strona przekładu. Jest on i ściśle wierny, jak to na przykładzie zobaczymy, i dowodzący nietylko zrozumienia, ale i pojęcia pierwtworu. Rzadko kiedy zdarzyło się tłumaczowi zatrzeć nieco grę wyobrażeń. W pieśni II str. 54, poeta maluje także położenie:

Po rozbiciu się okrętu, ocalona osada wtłoczyła się na łódki, jak mogła; a jednak położenie rozbitków bardzo mało się polepszyło, bo tak potężnie wciąż wiało, że nie było nadziei przybicia do brzegu, „przytém (mówi tłumacz), zbyt tłumno było, choć nie liczna kupa.” Tłumacz zaznacza tu jedyny stosunek liczby do objętości łodzi; Bajron zaś ubolewa nad stosunkiem liczby ocalonych do liczby pierwotnej, mówi bowiem: „zawielu ich było, choć tak mało.” Dla pokazania wierności przekładu bierzemy z pieśni II str. 52, część obrazu w chwili rozbicia się okrętu. W pierwotworze czytamy: „Wtedy od morza ku niebu wzbity się dzikie głosy pożegnania, trwożliwi krzyczeli, dzielni stali w milczeniu; potem ci i owi zeskoczyli z wyciem straszliwem, żądni wyprzedzenia grobów swoich; na okół okrętu morze zionęło, jak piekło i wchłoneło w siebie wirujące bałwany; jak ów, co szarpie się z wrogiem i zdusić go pragnie nim skona.”

P. W. z Baworowa mówi:

„W téj chwili pożegnania ostatnie wleciały  
Z topielisk, bojaźliwy wołał, milczał śmiały;  
Kilku z wraskiem rzuciło się zapamiętałe  
W nurty, jak gdyby chcieli uprzędzić skonanie.

Roztworzyły się wody, jak piekiel otchłanie,  
Okręt za sobą wciągnął wirujące fale,  
Jak ten, co swego wroga porwawszy w ramiona,  
Usiłuje go zdławić pierwej niż sam skona.”

Nie będziemy się rozszerzali nad tém, czyli, i o ile korzystnym byłoby dla nas, gdyby tłumacz zachował był tę ramę, którą Lingg kró-

lową wiersza nazywa: oktawą; nadmienić jednak winniśmy, że usiłował on dość często brak jęj zastąpić wszelką możliwą różnaitością rymu. W każdym razie miléj jest posiadać Don Żuana w ścistém odbiciu, aniżeli w oktawach, ale ze zmienionemi rysami. Uwzględniamy téż i to, ile tłómacz miał do roboty z ustawiczną grą wyrazów, którą Bajron nie mniej zwykł wywijać, jak Szekspir.

Do najpiękniejszych w oryginale, a najudatniejszych w tłómaczeniu, pomiędzy innemi należy jeden z bocznych obrazów katastrofy. Po klęsce rozbicia nastąpił głód i jego wylęg straszliwy: kanibalizm. Odwróćmy oczy od tego widoku. Było tam dwóch ojców pomiędzy garstką nędzarzy, każdy ze swoim synem; obaj synowie ciężko złożeni byli chorobą, jeden wreszcie umarł w chwili, kiedy zdawał się zdrowszym na twarzy. Ojciec, gdy mu doniesiono, obejrzał się w głuchém odrętwieniu i zdał na wołą bożą, niemy, z suchém okiem, widział jak nieboszczyka spuszczałi do morza.

„Drugi ojciec miał dziecię wåtlesze, z wybladłą,  
Schorowaną twarzyczką; ale z większą siłą,  
Wytrzymało męki i dłużej zносиło  
Cierpliwie, z rezygnacją, co tak losem padło;  
Milczał chłopczyzna, tylko czasem się uśmiał,  
Jak gdyby z ojcowskiego serca ciężar spychał  
I łagodził zrzádenia okrutnego nieba.  
Kiedy myśl przychodziła, że rozstać się trzeba,  
Ojciec schylał się nad nim, oczy obłąkane  
Topił w trupich jagodach, z ustek zmywał pianę  
I zawsze jeszcze patrzył w konające lica;  
A gdy chłódząc powietrze spadła nawałnica  
I gasnącego życia już szklanne spojrzenie  
Jakoby zabłysnęło w jaśniejsze promienie;  
Wycisnął z wilgotnego płótna nieco wody  
W usta dziecięcia, ale daremne zachody:  
Syn oddał ducha, starzec dźwignął sztywne ciało,  
I długo się wpatrywał; a gdy już niestało  
Ni puls, ni nadziei, i na jego łonie  
Zwłoki nie zostawiały zwątpienia o skonie,  
Ciągłe nad niemi tkliwie czuwał, aż bałwany  
Uniosły trupa, kędy zniknął pochowany;  
Wtedy padł już bez zmysłu, bez opamiętania,  
Jeden dając znak życia: konwulsyjne drgania.”

Prześlicznym jest także obrazek szaréj godziny, przypominający pocie chwile wiary dziecięcój i najrzewniéj z temi wspomnieniami zespolona myśl o wieczorném *Ave Maria*; dzieje miłości Don Żuana i Haidy, z jednéj strony, a z drugiéj Lambro w majestacie grozy stający niespodzianie w obec dwojga kochanków i t. d.



W dalszych pieśniach t. j. w piątój i następnych, epopea przybiera strój inny, Don Żuan przeistacza się w swój ideał coraz jaskrawiej; natężenie dramatyczne wzmagą się nieustannie i Bajron do swojej normy dojrzewa. Przeto z niekłamaném utęsknieniem wyglądamy dalszych pieśni.

Tłómacz zasłużył sobie na wdzięczność prawdziwych hołdowników, to jest *znawców* Bajrona; nie możemy téż zamykając ocenę pracy p. Wiktora z Baworowa, przemilczeć ofiarnej jój celu: „na korzyść Towarzystwa Bratniej Pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej.”

*Feliks Jezierski.*

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Maj 1879 r.* — Jakkolwiek od wielu lat wychodzi zbiór pieśni ludowych z Podola, Ukrainy i w Małorossyi, z melodyjami, dopiero znajdujemy je u nas. Wyszło téj szanownej publikacji już dziesięć zeszytów p. t. *Pisni, Dumki i Szumki Ruškoho naroda na Podoli, Ukraini i w Małorossyi, spisani i perełożeni pid muzyku Ant. Kocipińskim.* W Kijowie i Kamieńcu Podolskim. Wychodzi w podwójnym formacie: w pokroju arkuszowym i książkowym w 8-ce. Wybornie dopełnia zbiory etnograficzne Oskara Kolberga. Zbieracz Antoni Kocipiński już nie żyje, czy ta publikacja po jego zgonie dalej prowadzoną będzie, nie wiemy. Te melode rzewne a śpiewne, wyniańczyły J. B. Zaleskiego, usypiały w kołyskach Seweryna Goszczyńskiego, Tymka Padurrę, Aleksandra Grozę, Tomasza Olizarskiego i w. i.: słowem cały piękny orszak poetów ukraińskich, którzy następnie w utworach swoich poetycznych tak wstawili i ziemię stepową i dawnych jój mieszkańców.

— W starożytném mieście Sandomierzu dotychczas niema księgarni, chociaż jój potrzeba dotkliwie czuć się daje. Ztąd ks. Alfons Bałakowski w liście prenumeratorów dany jako księgarz, przez omyłkę został pomieszczony. Jest wprawdzie jako stały prenumerator od lat kilku naszego pisma, ale zajmuje stanowisko w pomienioném mieście jako kanonik sandomierski i profesor seminarjum dyecezyalnego.

— Pomnikowe wydawnictwo *Encyklopedyi Rolniczej*, pod redakcją księcia Tadeusza Lubomirskiego, Ed. Stawiskiego i Stanisława Przysiańskiego, w przysłym miesiącu czerwcu r. b. ukończoném zostanie, w którym wyjdą ostatnie tego dzieła zeszyty. Prenumerować tę publikację można we wszystkich księgarniach krajowych.

— Nakładem księgarzy Gebethnera i Wolffa wyszły powieści J. I. Kraszewskiego: 1) *Skrypt Fleminga*, powieść historyczna z czasów Augusta II. (Dwa tomy), 2) *W starym piecu*. Studium psychograficzne (w 8-ce).

— Nakładem Michała Glücksberga wydawcy *Bluszezu*, wyszła Nowella Sygurda Wiśniowskiego: *Światelka w ciemnym kraju*. (W 12-ce).

— *Inżynieria i budownictwo cywilne, przemysłowe i rolnicze*, z każdym poszytem coraz większego doznaje uznania i rozpowszechnienia. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem ogłosiło konkurs na architektoniczne nakrycie pomnika grobowego ś. p. Stanisława Moniuszki. Premiowany projekt wykonany przez architekta Władysława Marconiego w nr. 7 pomienionego pisma, mamy w drzeworycie podany. W ostatnim zeszycie X, znajdujemy początek rozprawy p. L. Święcanowskiego architekta, z pola estetyki, trzy pytania: Czy istnieje bezwzględne piękno? Czy Grecy znali jego prawa? W jaki sposób jest możebnem odrodzenie sztuki?

— Niezmordowany pomimo sędziwego wieku artysta-badacz, Napoleon Orda, w zbieraniu pamiątek przeszłości, i wzbogacania swego cennego *Albumu*, rok zeszyły poświęcił na przerysowaniu miejscowości pamiętnych w historii w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Pracy téj owocem jest nowa serya widoków, która w zakładzie litograficznym Maksymiliana Fajansa, tak jak i poprzednie serye wykonaną zostanie. O niektórych tylko miejscowościach wydawniejszych wspomniemy, szczegółowsze sprawozdanie zachowując do wyjścia całości na widok publiczny. Mamy w téj seryi: *Kruszwicę nad jeziorem Goplem*, wraz z *Myszą wieżą*, w której zgon Popiel znalazł — *Gniezno, Poznań, Tzemeszno*, kościół jednej z najstarszych fundacyi w pierwszym wieku Chrześcijaństwa. *Rogoźno* pamiętne gwałtowną śmiercią Przemysława I. *Kurnik, Sroda, Szamotuly. Rogalin* posiadłość rodziny Raczyńskich. *Winna góra* własność Henryka Dąbrowskiego twórcy Legionów. Tu ten bohater umarł dnia 26 czerwca 1818 r., tu spoczywa w kaplicy przybudowanej do kościoła założonego w r. 1357. Dziś właścicielem Winnéj góry jest syn generała Bronisław Dąbrowski. *Miłostaw*, gdzie umarł Seweryn hr. Mielżyński w r. 1872, właściciel téj miejscowości, gorliwy opiekun nauk i oświaty krajowej. *Toruń* nad Wisłą, z widokiem domów gdzie się urodził S. B. Linde i Fryd. hr. Skarbek. *Pila*, gdzie się urodził Stanisław Staszic. *Malborg*, stolica mistrzów krzyżackich. *Złotoryja* sławna w dziejach panowania Ludwika króla węgierskiego i polskiego. *Gdańsk* i w. i. Do każdéj ryciny dodany tekst historyczny po polsku i po francuzku.

— Dr. Hubert hr. Krasiński w *Wieku* drukował rozprawę obchodzącą nasz ogół p. t. *Gawędy naukowe o Warszawskiej wodzie do picia*, oddzielnie ogłosił broszurę: *Przyczynę do nosogenii cholery i dżumy*, właśnie w chwili, gdy w łonie Towarzystwa lekarskiego odbywały się obecnie konferencye o epidemii grasującej w gubernii Astrachańskiej, „Oparty na własnych doświadczeniach nad istotą cholery.”

Za powyższą pracę autor został wybrany członkiem Towarzystwa Warszawskiego lekarskiego.

— Ban chorwacki Mazuranicz, w czasie ostatnich uroczystości z powodu srebrnego wesela cesarza Franciszka Józefa w Wiedniu, rozmawiając po polsku z deputacją polską, pomiędzy innemi dowodził, że każdy Słowianin ukształcony powinien znać wszystkie główne języki słowiańskie. Obecnie znany petersburski *Golos* opisując ten fakt, taką robi w końcu uwagę: „Któż z prawdziwych słowianofilów, Słowian duszą i sercem, nie powtórzy z głębokim uznaniem słów bana Mazuranicza! O ileżbyśmy my Rossyanie stali bliżej celu, gdybyśmy szli za przykładem Mazuranicza. Co byłoby, gdybyśmy np. w miejsce języka greckiego, uczyli nasze dzieci głównych języków słowiańskich: polskiego, czeskiego, serbskiego i bułgarskiego? Wszystkie one mają tak wiele wspólnego między sobą, że wyuczenie się ich jest daleko łatwiejsze, aniżeli języka greckiego, a ileżby przyniosło korzyści, ileż usunęłoby nie-nawieści, i jakby nas ze Słowianami zbliżyło!...

— Ogłoszony został prospekt na przerwane wydawnictwo *Biblioteki Umiejętności Prawnych*, które, nie wątpimy, że obecnie znajdzie silne poparcie w naszej społeczności i nie dopuści zawieszenia nanowój szacownej ze wszystkich względów publikacji.

Gdy w r. 1872 grono prawników, wychowaućców b. Szkoły Głównej w Warszawie rozpoczęło wydawnictwo *Biblioteki Umiejętności Prawnych*, przewodniczyła zamiarom jego nadzieja, że tym sposobem uczyni zadość jednej z niezbędnych potrzeb naszego społeczeństwa, a w nagrodę swych usiłowań i zabiegów zdobędzie przeświadczenie, iż spełniło jeden z ważnych obowiązków publicznych.

Społeczeństwo nasze zrazu nie odmówiło swego poparcia tym usiłowaniom i zapewniło *Bibliotece* byt niezależny. Dopiero zmiany w r. 1876 zaprowadzone, przekształcające z gruntu nasze stosunki prawnicze, wpłynęły niekorzystnie na dalsze losy wydawnictwa. Obecnie redakcja, podejmując nanowój pracę dwukrotnym niepowodzeniem przerwana, objaśnia w wydanym prospekcie, dla czego tak uporczywie pragnie wywalczyć dla *Biblioteki Umiejętności Prawnych* prawo istnienia i jakie upatruje pożytki w podtrzymywaniu wydawnictwa, które dzisiaj od szczupłego tylko grona osób znajduje poparcie i uznanie.

„Rozwój nauki prawa, krzewienie za jej pośrednictwem zdrowych pojęć społecznych, wzbogacanie języka narodowego własnym słownictwem prawnym, przytym piecza nad dokładnym zrozumieniem potrzeb publicznych i stosunku tych potrzeb do prawa obowiązującego; wreszcie pojęcie gruntowne obowiązków obywatelskich: oto zadania, jakie społeczeństwo winno mieć przedewszystkiem na względzie, jeżeli chce istnieć samoistnym życiem publicznym i pragnie na równi z innemi postępować po drodze rozwoju cywilizacyjnego.

„Wierząc w rzetelną pożyteczność powyższych celów, pierwotna redakcja pragnęła przedewszystkiem pobudzić do prac samodzielnych specjalistów naszych, przez zapewnienie i ułatwienie im możliwości pu-



blikowania takowych, a zarazem pragnęła dostarczyć uczącym się gruntownych podręczników i rozpraw specjalnych, któreby ich wcześniej przyuczały do szanowania literatury narodowej.

„Z drugiej strony, przy dzisiejszej organizacji sądów gminnych i zamierzonej reformie podatków gminnych, przy bliżkiem wprowadzeniu samorządu miast, udział obywateli w pracy około dobra publicznego coraz ważniejszym się staje i coraz rozleglejsze przybierać będzie rozmiary.

„W takim położeniu rzeczy, gruntowna znajomość stosunków miejscowych i odpowiednie wykształcenie prawne, stają się potrzebą nieodzowną.

„Zgodnie z tą myślą przewodnią, program nasz obejmować będzie cały obszar nauki prawa: to jest filozofią prawa, prawo państwowe, międzynarodowe, administracyjne, kanoniczne, skarbowe, karne i cywilne wraz z procedurami, oraz ekonomią polityczną i inne nauki społeczne. W dziedzinie nauki prawa będzie jednak dane pierwszeństwo takim pracom naukowym, które objaśnią czytelnika o prawodawstwie miejscowem, wykazywać będą jego niedostatki oraz środki zapobieżenia ich następstwom.

Niezależnie od tej publikacji i od następnych obszerniejszych prac naukowych, dla związania *Biblioteki Umiejętności Prawnych* z życiem codziennem społeczeństwa naszego i nadania jej tém samém większej żywotności, redakcyja w zeszytach, co pewien peryod czasu wychodzić mających, traktować będzie kwestye bieżące z dziedziny ruchu prawnego i społecznego. W zeszytach tych pomieszczać się będą krótsze rozprawy w materyach wyżej wymienionych, przeglądy literatury zagranicznej, kronika i bibliografia.”

Przy wydawcy i redaktorze odpowiedzialnym Mścisławie Godlewskim, głównym współpracownikiem jest Aleksander Rembowski.

— *Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza* przez lat siedm wydawana przez p. Aleksandra Makowieckiego, przestała wychodzić dla braku prenumeratorów. Odznaczało się to pismo doborem treści, jak i opracowania; poświęcenie redaktora uległo pod zbyt niskim poziomem w masach oddających się rzemiosłom u nas, oraz indyferentyzmem właścicieli zakładów na postępy pracujących.

— Dr. Artur Wołyński, organizator *Muzeum Kopernika* w Rzymie, dekretem króla włoskiego Humberta, mianowanym został kawalerem orderu korony włoskiej.

— Trzechsetna rocznica zgonu Jana Kochanowskiego, przypadająca w r. 1883, ma być uczczona pomnikiem wydaniem wszystkich dzieł polskich i łacińskich wieszczą z Czarnolasu. O tém pięknem przedsięwzięciu, ze wszech miar godnym najgorętszego poklasku, znajdujemy w *Tygodniku Ilustrowanym* nowe szczegóły. Przedewszystkiem zawiązano komitet redakcyjny pod przewodnictwem prof. Józefa Przyborowskiego. Do grona tego komitetu wchodzi: pp. Ludwik Jenike, Adam Kryński, Rafał Lewenfeld, Roman Plenkiewicz i Tadeusz

Włoszek. Komitet, na czterech odbytych dotąd posiedzeniach, postanowił: 1) Wydać dzieła Jana Kochanowskiego w 2-ch edycjach, z których jedna zupełna i ozdobna, obejmie wszystkie tak polskie, jak i łacińskie utwory; druga, popularna, tylko polskie, zastosowane do powszechnego użytku, łacińskie zaś w tłumaczeniu, z odpowiedniemi objaśnieniami. 2) Edycja zupełna i ozdobna, mająca przytém zastąpić badaczom języka pierwotne, dziś już rzadkie wydania, wydrukowana zostanie w czterech tomach *in quarto*, podług pisowni pierwszego wydania *Psalterza*, z uwzględnieniem wariantów w innych wydaniach, oraz z pomieszczeniem utworów w porządku przyjętym przez Jana Januszowskiego w edycji z r. 1585. 3) Edycja popularna wyjdzie w tymże samym układzie, w dwu tomach w 8-ce, podług dzisiejszej pisowni. 4) Każdy utwór ma być poprzedzony wstępem krytycznym, obejmującym: wyjaśnienie treści, motywów przez poetę użytych, oraz oznaczenie czasu, do którego powstanie utworu odnieść należy. Nadto w przypiskach pomieszczone zostaną przy każdym objaśnienia mitologiczne, historyczne, językowe i warianty. 5) W skład edycji zupełnej i ozdobnej wejdą prócz tego: biografia poety, którą opracuje Roman Plenkiewicz, bibliografia przez Józefa Przyborowskiego, i rozprawa o języku Jana Kochanowskiego przez Adama Kryńskiego. Nadto komitet redakcyjny zajął się wyborem współpracowników, na których dotąd zaproszeni zostali: Antoni Bądzkiewicz, Piotr Chmielowski, Władysław Dębicki, Felicyan Falcński, Kazimierz Kaszewski, Floryan Łagowski, Lucyan Malinowski, Walerya Marrené, Władysław Nehring, Aleksander Niedźwiecki, Władysław Nowca, Adolf Pawiński, Seweryn Smolikowski i Julian Adolf Świącicki.

— O zgonie zasłużonego pracownika na polu literackim, Karola Drzewieckiego (syna znanego szefa Józefa) już wspomnieliśmy; podajemy teraz list J. I. Kraszewskiego, z tego powodu pisany do jednej z gazet galicyjskich.

„Bolesna dochodzi nas w tej chwili wiadomość o zgonie Karola Drzewieckiego (syna szefa), po długich cierpieniach zmarłego w Kunce (w powiecie Hajsyńskim) na Podolu, dnia 20 marca r. b.

Od lat dziesiątka ś. p. Karol był męczennikiem na ciele, gdyż władzy ruchu był pozbawiony, ale żywy ów umysł, jakim się niegdyś odznaczał, pozostał mu do zgonu. Dnia 18 b. m. telegram mieliśmy od niego, a dnia 20 już nie żył. Serce złote, zdolności wielkie, trzeźwy i rozumny pogląd na sprawy ludzkie go odznaczał. Napół żołnierz, gdyż służył z odznaczeniem się w r. 1830, półliterat i poeta, natura ciekawa i chciwa wiedzy, nieboszczyk Karol dopóki miał siły, rzucał się na wszelką pracę z młodzieńczym zapałem i każdej szczęśliwie mógł podołać. Główną spuścizną po nim stanowią dramata, z których najcenniejszym jest obraz dramatyczny *Jeremi Wiśniowiecki*, i komedye właśnie będące pod prasą (u Żupańskiego), po raz pierwszy przez nas w jedną wiązkę zebrane. Karol nie dożył na nieszczęście tego wydania, któreśmy inu gotowali. Z podróży jego na Wschód przedsięwziętej,

kilka listów nadesłanych drukowało *Ateneum*. Więcej ich zapewne pozostało w tece, jak równie pism różnych, pisanych dopóki mógł włądać ręką, potem dyktowanych najzacieśniej małżonce, która łoża chorego była wiernym, nieznużonym stróżem do zgonu. Kilka razy na dzień potrzeba było dźwigać i podnosić, przesadzać, a czuwać nieustannie. Cześć temu poświęceniu bez granic, do jakiego tylko polska niewiasta zdolną jest, bez szemrania, bez wysiłku...

Kto znał jak my z bliska, poufale ś. p. Karola, ten tylko ocenić go potrafi. Potrzeba się doń było sercem zbliżyć, żyć, spoufalić, aby z niego dobyć te skarby myśli i uczucia, które w sobie nosił. Człowiek najlepszego towarzystwa chętnie widziany wszędzie, ś. p. Karol wolał nad świat zacisze domowe, książki swe i pracę ducha nad mnogimi zagadnieniami, które umysł jego zajmowały.

Nie dosyć ceniono jego obraz dramatyczny *Jeremi Wisniowiecki*, odznaczający się doskonałym wniknięciem w ducha czasu, wiernym korytem i poetycznym wypełnieniem głównych charakterów, do których pojęcia źródła nam skąpe zostawiły wskazówki. Komedyjki jego również zalecają się odmalowaniem wiernym społeczeństwa, z którego do nich treść czerpał, i tym dowcipem ostrym a trafny, który odznaczał ś. p. Karola. Mówił nie wiele, lecz ile razy się odezwał, tryskało jakieś światło ze słów jego.

Nie godzi się pominać w tém pobieżnym wspomnieniu jego przywiązania do ojca, jego głębokiej, rzewnej miłości dla kraju, jego wylania się dla dzieci, rodziny i przyjaciół. Jeden to był z tych ludzi, co choć cicho przeszli przez życie, zostawiają po sobie pamięć trwałą, a szacunek i miłość towarzyszą im do grobu.

Niech ci ta ziemia, którąś tak ukochał, lekką będzie, zacny Karolu mój, pokój Tobie!“

*J. I. Kraszewski.*

— Doroczne posiedzenie publiczne Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 3 b. m. pod prezydencją namiestnika hr. Potockiego, oraz prezesa akademii d-ra Majera, w obecności arcyksięcia Fryderyka, reprezentantów władz rządowych i miejskich, przy licznym zebraniu członków akademii.

Posiedzenie zagaik hr. Potocki w następujących słowach: „W imieniu najdostojniejszego protektora Jego Ces. Wys. arcyksięcia Karola-Ludwika mam zaszczyt zagaik posiedzenie i powitać was panowie. Znowu zamknął się jeden okres znakomitej i zbawienniej działalności tej wysokiej instytucji naukowej, a że był pełen rzetelnych rezultatów, że znaczy postęp na drodze szlachetnej pracy około wiedzy, zaprzeczyćby mogli chyba ci, co gorączkową niecierpliwość naszego wieku radziby przenieść na pole poważnych prac i badań nauki, która nie znosi skoków, a wolna od płochych porywów, zmudną, ale tém trwalszą, tém szerszą i pewniejszą toruje sobie drogę. Pracując w tém poważnym kole, torujecie taką bezpieczną drogę do nowych zdobyczy nauki i wiedzy. Wskazujcie pole szlachetnych trudów młodzieży, która oby brała z was przykład, że najdorzalszy owoc daje tylko praca spokojna, na-



maszczona miłością prawdy. Tradycję takiej pracy, przykład takich szlachetnych dążeń daje społeczeństwu ta piękna nasza instytucja; obyż działalność wasza i nadal tak jak dotąd niosła duchowy pożytek krajowi, spełniając szlachetne intencje Miłościwego pana, wspaniałomyślnego założyciela i dobroczyńcy téj Akademii.“

Na tę mowę dr. Majer odpowiedział: „Pochlebne dla nas wyrazy waszjej eksc., o ile przyczynić się mogą do utwierdzenia nas w błogiem przekonaniu, że praca nasza nie była daremna, o tyle większego jeszcze przez to nabierają znaczenia, że rozwijasz je ekscellencyo na tle w całość pełni pojętego zadania prawdziwej nauki. Tak jest, pragniemy na tym gruncie pracować, pragniemy być drogowskazami w szlachetnym zawodzie rozszerzania wiadomości, skrzepiania ducha pracą, w tym kierunku jasno celu swojego świadomą, a więc w dążeniu do niego równie spokojną, jak wytrwałą i niepowstrzymaną. Sądźmy, że tak postępując, odpowiadamy i zamiarowi najdostojniejszego założyciela téj instytucji, i oczekiwaniu kraju, dla którego najbliżzej założona została. W uznaniu twojem, eksc., że to nasze dążenie nie zostało bez skutku, śmiemy widzieć zarazem i uznanie tego, w którego zastępstwie w tém miejscu przemawiasz, i tego, który za wszem pośrednictwem rozciąga nad nami najwyższą opiekę. Wdzięczni za jój błogie skutki, pamiętni komu akademii zawdzięcza swoje istnienie, kto był jój pierwszym hojnym dobroczyńcą, radośnie przyłączyliśmy się do hołdu, jaki w 25-tą rocznicę szczęśliwych zaślubin Ich Cesarskich Mości ludy monarchii składały najdostojniejszej parze ze swoich serc wierności i ze swoich nadziei. Nie był to głos niewolników, którzy z obawy skutków, ulegając przemocy, łzawem okiem zadają kłamstwo objawom pozornej radości; lecz był to wyraz przekonania, że w składzie austro-węgierskiej monarchii, dom cesarski jest symbolem jedności, równej miłości i troski o pomyślność i prawa pojedynczych ludów. W tymto zgodnym chórze nie zabraknie głosu Akademii, złożonego w dziękczynnym adresie. Skromna, jak na nas przystało jego powierzchowność, jeżeli nie nęciła oka, to niejmy nadzieję, że treść jego trafiła do serca, bo z serca wzięła początek, a poparta imionami najdostojniejszego protektora i jego zastępcy, drogę do tego miała ułatwioną. Szczęśliwy jestem, że co półwieczas wyrażało pismo, dziś mogę żywem słowem objawić publiczności! Szczęśliwszy, że świadkiem tego objawu jest obecny tu właśnie jeden z członków najdostojniejszego domu cesarskiego, czego wdzięczne wspomnienie Akademia w rocznikach swoich zachowa. A teraz dziękujemy ci ekscellencyo, za twoje równie głęboko pomyślane, jak pełne dla nas otuchy wyrazy, upewniając cię zarazem, że kroki nasze nie zбочą z drogi, jaką rozum i sumienie, miłość nauki i kraju, doświadczenie życia i twoja życzliwość zgodnie nam wskazują.“

— W dniu 8 maja r. b. obchodzono w Krakowie uroczyste jubileusz ośmsetnej rocznicy męczeństwa Ś. Stanisława, który odbył się przy wielkim udziale włościan z najdalszych nawet okolic kraju. Pielgrzymi, którzy dniem przedtém przybyli do Krakowa, pomieszczeni zo-

stali obozowiskiem w obszernych krużgankach i korytarzach klasztoru Franciszkańskiego, oraz dzięki gościnności obywateli krakowskich w domach prywatnych. Zabrakło w Krakowie słomy na pościel dla wszystkich. Ze świtem dnia jubileuszu zaroily się ulice Krakowa od świątecznie przybranego ludu w malowniczych strojach różnych okolic, począwszy od krakowskich kaftanów i karazyj, mazurskich płótnianek i magierek, góralskich guni i kapeluszy, aż do kuczmy, świtek i wysokich czapek baranich z Pokucia i Podola. Nie brakło i niemieckiego już cokolwiek kroju Szlązaczek oraz surdutów Wielkopolan. Od rana pielgrzymi zapełniali kościoły i oblegali konfesjonały, a przystęp do Wawelu i na Skałkę stawał się niemożliwym z powodu tłumów pobożnych. Wiec zagajony przez zasłużonego dobrze księdza Stojałowskiego, odbył się po południu w ogrodzie Strzeleckim, w obecności grona duchownych i obywateli przybyłych z całego kraju oraz krakowskich. Zgromadzenie przez aklamację powołało na przewodniczącego prezydenta miasta dr. Zybliekiewicza, który też serdecznie imieniem starożytnéj stolicy powitał gości i otworzył obrady. Z mówców książd dr. Pelczar, profesor uniwersytetu, przeszedł różne potrzeby ludu, wykazując przyczyny niedoli i środki zapobieżenia złemu; następnie książd Stojałowski, hrabia Henryk Wodzicki, pan Alfred Szczepański i redaktor *Przyjaciela ludu* ks. Chotkowski, podnosili wiele spraw praktycznych i pożytecznych w sposób trafiający do pojęcia i przekonania włościan. Zgromadzenie rozeszło się wśród okrzyków podziękowania prezydentowi miasta za przewodniczenie, księdzu Stojałowskiemu za gorliwość w urządzeniu pielgrzymki, oraz na cześć starszój braci: duchowieństwa i wyższych klas społecznych.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs imienia S. B. Lindego na warunkach następujących: 1. Przedmiotem konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mogące posłużyć do uzupełnienia *Słownika* Lindego, a mianowicie monografie z zakresu gramatyki, historii języka i jego związku z innymi słowiańskimi, zwłaszcza starosłowiańskim, zbiory prowincjonalizmów językowych, opracowane w sposób odpowiedni dzisiejszym wymaganiom naukowym. 2. Prócz tego ostatniego warunku, wymaga się od każdej pracy, mającej być przedmiotem konkursu, ażeby stanowiła pewną, w sobie zaokrągloną całość. 3. Nadsyłane być mogą prace, równie w rękopismach, jak i drukowane w ciągu trwania niniejszego konkursu. 4. Praca za najlepszą uznana, otrzyma nagrodę w ilości 665 rs. 5. Termin konkursu ustanawia się najdalej do 1 stycznia 1882 r. 6. Przyznanie nagrody i zawiadomienie o przyznaniu na publiczném posiedzeniu, nastąpi w pierwszych dniach maja, wypłata zaś w dniu 8 tegoż miesiąca. 7. Gdyby praca uwieńczona, była już drukowaną poprzednio, autor przed wzięciem nagrody, złoży w Akademii 50 egzemplarzy; pracę rękopiśmienną winien autor ogłosić drukiem, najdalej w ciągu jednego roku i nadesłać Akademii 50 egzemplarzy, w przeciwnym razie Akademia postąpi z ręk-

kopismem według własnego uznania. W razie ogłoszenia go drukiem, nadeszłe autorowi 50 egzemplarzy.

— Dzienniki Lwowskie ogłaszają: „Najwyższym postanowieniem z dnia 27 kwietnia b. r. został zaprowadzony język polski, jako urzędowy w uniwersytecie tutejszym, a to w tej samej rozciągłości, w jakiej ten obowiązuje władze sądowe i administracyjne od roku 1869. Będzie więc obowiązującym w manipulacji wewnętrznej, jak również w korespondencji z władzami pozakrajowymi i wojskowymi. Protokół będzie prowadzony po polsku, z dodaniem tylko przekładu niemieckiego dla ministerjum. Prócz tego język polski w moc powyżej cytowanego najwyższego postanowienia, zostaje językiem urzędowym przy egzaminach ścisłych (rygorozach), z jedynym wyjątkiem historii prawa niemieckiego i to tylko tak długo, dopóki przedmiot ten będzie wykładany po niemiecku.” Jednocześnie rektorat uniwersytecki ogłosił następujący komunikat urzędowy: „W uwzględnieniu wniosków senatu akademickiego z dnia 23 grudnia 1878 r. do l. 201, rozporządził Najjaśniejszy Pan najwyższym postanowieniem z d. 27 kwietnia b. r., że językiem urzędowym władz uniwersytetu Lwowskiego, jako też językiem egzaminacyjnym przy egzaminach ścisłych na wydziałach świątecznych, jest język polski. We Lwowie, dnia 14 maja 1879 roku. Rektor Uniwersytetu *dr. Leon Biliński.*”

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, ogłasza konkurs na zadanie następujące: „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawniej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.” W rozwiązaniu tego zadania pożądanym jest szczególny wzgląd na: *a)* związek etnograficzny między pomienionymi plemionami słowiańskimi a ludnością Polski Piastowej; *b)* stan kultury tychże plemion w ową epokę, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustroj polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle; *c)* zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególnym uwypatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion; *d)* wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską. Praca wyczerpująca w zupełności ten przedmiot, oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1,500 marek nagrody. Jeśliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, t. j. odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania, otrzyma 900 marek nagrody. Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzednim, albo też rozdziela się między rozprawy przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące. Prace nagrodą uwieńczone, pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeśli uzna za stosowne, ogłosi je swym kosztem na do-



chód Towarzystwa. Rękopism przeto musi pozostać w rękach zarządu. Każdy rękopism opatrzone być winien dewizą lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równym oznaczeniem. Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1 października 1879 roku pod adresem Hieronima Feldmanowskiego w Poznaniu, ulica Młyńska nr. 35.

— Jedno z poważniejszych pism niemieckich, tygodniowych *Magazyn piśmiennictwa polskiego*, dość często otwierające swoje kolumny pracom o naszej literaturze, podaje obecnie szereg artykułów p. Eugeniusza Lipnickiego p. t.: *Bohaterowie romantyzmu polskiego (die Helden der polnischen Romantik)*. Po charakterystyce Mickiewicza, i wogóle szkoły litewskiej, autor zwraca się do Seweryna Goszczyńskiego, a mianowicie do jego *Zamku kaniowskiego*. Usadawiając ducha poezyi ukraińskiej w obec litewskiej na podstawie znamion już nietylko artystycznych, lecz szerszych, bardziej stanowczych, bo na różnicy dogmatów społecznych, p. Lipnicki widzi w szkole ukraińskiej poruszenie się uśpionej dotąd, albo nieuznawanej przez poezycę sprężyny *plebeistycznej*. Za sprzymierzeńca takiego poglądu autor uważa dla siebie i ten fakt, że romantycy litewscy wobec przeciwników swoich, klasyków, poczuwali się równoważnymi pod względem położenia społecznego: „Mickiewicz pochodził ze starego rodu szlacheckiego, który nigdyś piastował godność książęcą.” Przeciwnie, poeci ukraińscy pochodzili z warstw niższego ludu, zostającego od wieków w walce z wyższymi warstwami.” Wzrastali oni w chatach i wespół z dziećcami laty kroczyli oni wśród świeżych jeszcze wspomnień o krwawych wstrząśnieniach wieku XVIII. I dlatego (ciągle przytaczamy poglądy autora) w poetycką walkę pojęć wieszczowie ukraińscy wprowadzili niejakaś *rubaszność plebeistyczną*, którą przemógł sam tylko Bohdan Zaleski. Z powodu *Zamku kaniowskiego* dostoyny autor dotyka zasadowych zagadnień sztuki, które tak streścićbyśmy mogli: „czy kolosalność typów wogóle uprawnia je do znaczenia artystycznego?” czy Nebabowie i im podobni nadają się pod rylce wieszczca, równie dobrze jak pod pióro kronikarza lub dziejopisa? Otóż autor sądzi, iż postaciom *Zamku kaniowskiego* braknie treści poetycznej. Goszczyński (podług autora) popełnia ten sam błąd, jaki popełniają dzisiejsi „naturaliści” francuzcy, np. Zola, ze zbytnią błogością malując przedmioty pospolite. Szkoła ukraińska wprowadza okropność, zgrozę, ponocność. Wolelibyśmy wprawdzie, aby autor do tych i tym podobnych znamion odszukał był wcale innego klucza, aniżeli jakichś tam obiektywnych warunków osobistości poetów, w każdym jednak razie i poważność traktowania przedmiotu i gorącą ku niemu miłość. Następnie autor zwraca się do Słowackiego, któremu już poprzednio (w r. 1878) obszerny artykuł poświęcił.

— H. Kiépert. *Podręcznik do geografii starożytniej* (Handbuch der alten Geographie). Część druga. Berlin 1878. D. Rejmer.

W obecnie wydanej części ważnego dzieła, znany badacz podaje nam geografją starożytnąj Europy. Po skreśleniu ogólnego ukształtowania Europy, autor daje obraz Grecyi społem z Macedonią, następnie środek i Wschód Europy to jest kraje Pontu, Illiryi i Tracyi. Dalej następuje Italia, Sycylia, Sardynia i Korsyka, przytém obszerna topografia miasta Rzymu (topografia Aten nieco zaskąpa), nakoniec Zachód i Północ Europy: Galia, Brytania i Germania, oraz kresy Wschodu i Północy, podług wyobrażenia starożytnych. Imię Kiéperta dosłużyło się tyle powagi naukowej, że i obecna jego praca szerokich reklam nie potrzebuje.

— Literackie wywajemnianie się pomiędzy pisarzami polskimi a niemieckimi coraz szersze przybiera rozmiary. Jak dla nas miłém bywało zasłyszec o niemieckim przekładzie utworów naszego piśmienictwa, tak również Niemcom *zaczyna* być miło dowiadywać się o polskich tłumaczeniach piękności germańskich. Pan German, widocznie pseudonim, podnosi głos o pracach p. Zatheya'a, a mianowicie o znakomitym jego rozbiornie przekładu ś. p. Lucyana Siemieńskiego (*Homer w Polsce*), tegoż studyum o epepei Mickiewicza *Pan Tadeusz*, który w Magazynie Literatury zagranicznej, zapewne z winy zecera, nazywa się: *Pan Tadeuse*, a nareszcie o świeżém jego tłumaczeniu drobniejszych poezyi Goetego, ocenioném niedawno w naszym piśmie). P. German, oceniając zasługi literackie p. Zatheya'a, uznaje pomniejsze poezye Goetego za tak *niemieckie*, że przekład ich zdaje mu się z góry niemożliwym na jakikolwiek z obcych języków. Zgadzać się z p. Germanem na *niemieckość* Goetego, nie w zupełności jednak podzielaemy jego *a priori*. Gdyby to, co nazywamy najdalej wysuniętą, typowością narodową w poemacie, mniejszym lub większym, było rzeczą nie do powtórzenia, wtedy nawet Iliady nie moglibyśmy posiadać w przekładach. Przekład p. Zatheya'a, o ile się nam zdaje, zalekko zbytym został przez szanownego recenzenta, ma on, oprócz przymiotów sztuki w ogóle, swoje zalety gatunkowo, właśnie w rozumieniu szanownego recenzenta, to jest oddaje wiernie i wydatnie samą niemieckość Goetego.

† W drugiej połowie marca r. b. umarł w Warszawie ś. p. *Jan Müncheimer*, artysta medalier i rytownik. Urodził się w Warszawie, kształcił się w swéj sztuce w Paryżu, dokąd wysłany został kosztem rządu. Za powrotem do kraju objął w Banku Polskim posadę naczelnego sztycharza przy wyrabianiu pieniędzy papierowych.

Otrzymawszy emeryturę założył pracownią swoję, w której oprócz medalów wykonywał piękne monogramy. Obok tego założył pierwszą drzeworytnię w Warszawie, i zaczął kształcić młodzież na zdolnych rytowników. Za jego przeważnym wpływem sztuka ta wzrosła znakomicie, a wśród jego uczniów odznaczył się chlubnie jeden z najpierwszych drzeworytników artysta Jan Styń Warszawianin. Gro-

no tych uczniów było liczne i zdolności niebrakło, którzy dopomogli do rozwoju naszych polskich ilustracyi. Obecnie już zasilają i zagraniczne pisma illustrowane. Od 1 kwietnia 1861 r. rozpoczął Müncheimer wydawać pismo illustrowane *Przyjaciel dzieci*, który następnie przeszedł w inne ręce, ale pod kierunkiem Müncheimera odznaczał się wydatnie stroną artystyczną. Medale przez niego wykonane, są ozdobą zbiorów prywatnych. Żył lat 70.

— W mieście Litynie w gubernii Podolskiej, d. 3 maja r. b. w 80 roku życia umarł ś. p. **Adam Idźkowski**, budowniczy restaurator kościoła katedralnego w Warszawie, znany i na polu literackim. Oprócz obszernego dzieła dotyczącego architektury, za powrotem do kraju z zagranicy, pierwszą jego pracą był „projekt drogi podziemnej pod Wisłą, drukowany i przedstawiony z planami księciu Lubeckiemu ministrowi kom. rz. przychodów i skarbu.

— Dnia 21 kwietnia r. b. w Krakowie umarł **Piotr Burzyński**, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i członek Akademii Umiejętności w Krakowie. Znany to autor prac w gałęzi nauk prawnych. W r. 1844 drukował rozprawę: „O stosunkach majątkowych między osobami różno-krajowemi, zawierającemi związek małżeński.” W r. 1852 wydał: „Wykład prawa cywilnego francuzkiego.” „O prawie polskiem prywatnem.” Umarł mając lat 64 życia.

— Dnia 29 kwietnia r. b. umarł w Warszawie ś. p. **Roman Bierzyński**, b. Referendarz b. Rady stanu, współpracownik wielu pism czasowych. Z rozpraw oddzielnie drukowanych po polsku, doznało szerszego rozgłosu jego studjum ogłoszone po francuzku p. n. *Sommatologie de la feume*. Zakończył życie licząc lat 81 wieku.

## SPROSTOWANIE,

w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc kwiecień r. b.

Na str. 146 w wierszu ostatnim powinno być *Trembecki* zamiast: książę biskup warmiński. Na str. 151 w wierszu 28 zamiast grotę kamienia, powinno być *epokę kamienia*.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójoicki**.

Wydawca **Józef Berger**.



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM,

Z R. 1879.

—

## *Historya.*

stron.

Pamiętniki Kantora katedry krakowskiej. Przez Lucyana Siemienińskiego. . . . .	20
Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	74
Stosunek Władysława Jagiełły do husytów Czeskich. Napisał Julian Sutowicz. . . . .	327
Kircholm, pieśni historyczne z 1605 r. Przez K. Wł. Wójcickiego.	416

## *Filozofia.*

Cnota i występpek. Rzecz o rozwoju wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciccha hr. Dzieduszyckiego. I. . . . .	225,341
Nirwana wobec metafizyki, czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia, w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna. Przez Seweryna Smolikowskiego. . . . .	91

## *Bijografia.*

Antoni Oleszozyński. Przez S. z Ż. Duchyńską. . . . .	364
---	-----

## *Archeologia.*

Obrazy z zamierzonych dziejów. Przez Zygmunta Glogera. . . . .	143,390
--	---------

*Literatura.*

Przegląd literatury hiszpańskiej. Przez Juliana Adolfa Świącickiego. 185

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kurs profesora Chodźki w kolegium francuzkiem: *Historya i pieśni Bułgarów*.—Odczyt p. Michała Żmigrodzkiego w Towarzystwie historyczno-literackiem: *Historya cywilizacyi Polski w pierwszej epoce jój istnienia*.—Przekład *Boskiej komedyi* na język francuzki średnich wieków, przez Littrego.—Nowe poezye Wiktora Hugo: *La pitié suprême*.—*Methodé Teleologique de H. Wroński*, przez Bukatego.—*Yamato* dramat japoński p. Maeda.—Artysta dramatyczny Dutertre (Bolesław Pluciński).—Przygody Władysława Bolskiego, dramat Cherbulier'a.—*L'ennemi des femmes*, powieść osnuta na tle życia społeczeństwa pseudo-galiczyjskiego.—*Fryderyk Chapin*, monografia przez p. Karasowskiego.—Dwie uroczystości w Towarzystwie Geograficznem: jubileusz Cooka, przyjęcie podróżnika p. Savorgnan de Brazza.—Odczyt Legouvego w Towarzystwie francuzkiej młodzieży.—Mowa Renana, z powodu przyjęcia do Akademii francuzkiej; odpowiedź Meziera.—Koncerta panien Buleskich, p. Alberta Sowińskiego. 249

Przegląd literatury polskiej. 1. Compendium politicum, seu brevis Dissertatio de variis Poloni imperii Vicibus etc. Varsoviae, 1760, str. XII i 169. Scripsit Pyrrhus à Varillaeo, Eques Gallus. 2. Dzieje Polski w zarysie, p. M. Bobrzyńskiego. Warszawa 1879, str. V i 457, w 8-ce. Przez F. K. . . . . 280

*Dramat.*

Syn Margrafa. Tragedya z X wieku w pięciu aktach. Przez Bronisława Grabowskiego. Bolesławowi Ładnowskiemu w hołdzie autor. . . . . 52, 401

*Nauki przyrodzone.*

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . 234

*Podróże i odkrycia.*

Z podróży i przechadzek po południowo-zachodniej Norwegii. Z luźnych notatek spisał Stanisław Belza. . . . . 435

## Korrespondencya.

Kronika poznańska. . . . .	130, 449
Muzeum Kopernika w Rzymie. . . . .	429

*Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Pisma Franciszka Wętyka. Poezye z pośmiertnych rękopisów. Tom I. Tłómaczenie klasyków: Wergilego, Marona, Enejda. Kraków; nakładem rodziny autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i spółki, 1878 r. Przez F. Jezierskiego. . . . .	155
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik pierwszy, Toruń, nakładem Towarzystwa Naukowego 1878 r. (w 8-ce, druk J. Buszczyńskiego w Toruniu, str. 98 i trzy tablice litografowane). Przez W. . . . .	170
Teatra w Polsce, przez Estrejchera. Tom III, w Krakowie, czcionkami drukarni Czasu, 1879. (W 8-ce, str. 741). Przez W. . . . .	174
Infanty polskie, poprzedzone ogólnym rzutem oka na siedmiowiekową przeszłość całych Infant. Skreślił Gustaw Baron Manteuffel, przedmowę napisał J. I. Kraszewski. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1879 r. (w wielkiej 4-ce, str. 167 z wielą drzeworytami). Przez K. Wł. W. . . . .	298
Wykład arytmetyki handlowej. Część ogólna obejmująca zastosowanie zasad arytmetyki do potrzeb i zwyczajów kupieckich, przez Stanisława Kramsztyka, magistra nauk fizyczno-matematycznych, urzędnika Banku polskiego i nauczyciela Szkoły handlowej prywatnej w Warszawie. Warszawa, nakładem Szkoły handlowej 1879 r., str. 258, w 8-ce. Przez Władysława Gosiewskiego. . . . .	304
Bartolomeo Berecci architekt kaplicy Zygmuntowskiej † 1537 roku, oraz kilka wiadomości do świeżej publikaoyi p. t.: Album ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej i t. d. Skreślił Wł. Łuszczkiewicz prof. Szkoły Sztuk Pięknych i członek Akademii umiejętności. Kraków. Nakładem zarządu Muzeum tech. przemysł., 1876 r. (w 8-ce, str. 35). Przez R. . . . .	306
Dopełnienia historii prawodawstw słowiańskich, nakładem zapisu ś. p. Michała Konarskiego, opracowywane i w kilku artykułach osobne dzieła stanowiących, drukiem ogłoszone przez Wacł. Aleks. Maciejewskiego. Warszawa, w drukarni K. Kowalewskiego, 1872 r. Przez Fr. Habura. . . . .	307
Samobójca, poemat. Toruń, druk Buszczyńskiego, 1878 r. Przez F. Jezierskiego. . . . .	310
Fragment nach der Glosse der heiligen Theresia von Siegmund Krasiński aus dem polnischen frei übertragen von Siegfried Lipiner (Urywek podług glossy S. Teresy, Zygm. Krasińskiego; wolny	



	stron.
przekład p. Z. Lipiner'a). Wiedeń, w drukarni Wiener Zeitung, 1878 r. Przez F. J. . . . .	314
Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom I. Kraków 1878 r. (W 8-ce, str. 378). Przez K. Wł. W. . . . .	461
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom IV, w Krakowie. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1878 r. Przez F. Jez. . . . .	466
Jan Herburt kasztelan sanocki. Rys biograficzny. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1879. (W 16-ce, str. 56). Przez R. . . . .	471
Don Żuan Bajrona. Pieśń druga, trzecia i czwarta (opowiadanie o Haidzie). Przekład Wiktora z Baworowa. Tarnopol. Druk Józefa Pawłowskiego, 1879 r. Nakład i dochód na korzyść Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy lwowskiej. Przez F. Jez. . . . .	473
<b>WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART.</b> 176, 315, 479	
<b>OD REDAKCYI.</b> . . . . .	326
<b>NEKROLOGIA.</b> . . . . .	183, 325, 489
<b>SPROSTOWANIE.</b> . . . . .	490

---